MARCIN PALADE ANALIZUJE

Pełny prawicowy pakt senacki to klucz do sukcesu



Korwin-Mikke tłumaczy różnicę między narodem a państwem

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 31/691 27 LIPCA–2 SIERPNIA 2026
CENA **14,90 ZŁ** (W TYM 8% VAT)



NOWEJ „ODYSEI" BRAKUJE PIĘKNA
ESEJ PIOTRA GOĆKA

Jak radykalizm zżera amerykańskich demokratów

Trzecia wojna światowa. Czy to już?



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 3d3726ab61



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Zemsta na Orbánie

Po tym, co Donald Tusk zrobił z opozycją w Polsce, nikogo nie powinny dziwić działania premiera Pétera Magyara na Węgrzech. Polska okazała się prekursorem. Tusk jako pierwszy pokazał, że głównym narzędziem walki politycznej mogą stać się prokuratura i służby specjalne. Nowa definicja liberalnej praworządności jest bardzo prosta: próbujemy wsadzić naszych oponentów politycznych do więzienia, a jeśli to się nie udaje, to odbieramy im de facto prawa obywatelskie. Dokładnie to stało się ze Zbigniewem Ziobrą i z Marcinem Romanowskim, banitami z Polski.

Było to możliwe dzięki wprowadzeniu do polskiego systemu prawa całkiem nowego rozumienia kluczowych pojęć i nowych interpretacji. Na przykład polityk, który wykorzystuje pieniądze publiczne do celów publicznych, jeśli jest w tym skuteczny i zdobywa uznanie wyborców, a więc odnosi korzyści polityczne, może zostać uznany za przestępcę. W ten sposób polski premier razem z kolejnymi ministrami sprawiedliwości, najpierw Adamem Bodnarem, a obecnie Waldemarem Żurkiem, całkiem na nowo zdefiniowali państwo prawa i system demokratyczny.

Trzeba jednak przyznać, że nawet oni nie posunęli się w walce z opozycją tak daleko, jak robi to obecny premier Węgier. Przyczyna jest prosta – nawet jeśli tak Tusk, jak jego otoczenie marzyliby o tym, żeby po prostu przeciwników politycznych powsadzać za kratki, to mają zbyt słaby mandat społeczny. Na szczęście dla Polski wybory prezydenckie wygrał nie Rafał Trzaskowski, a Karol Nawrocki; na szczęście rządzący układ to koalicja, która z coraz większym trudem zachowuje większość.

Na Węgrzech sytuacja jest pod tym względem inna. Dysponując formalnie większością konstytucyjną, rząd premiera Magyara zachowuje się nie jak władza demokratyczna, ale rewolucyjna. Doskonałym przykładem było wtargnięcie sił porządkowych do siedziby Fideszu – partii teraz opozycyjnej. Jak podały media, „śledczy z prokuratury pojawili się bez zapowiedzi w budynku obsługującym serwery Fideszu, zamierzając przejąć cały system komunikacji oraz bazy danych partii".

Zastanawiam się, czy można wyobrazić sobie dalej idące naruszenie reguł demokratycznych niż przejmowanie przez podległą rządowi prokuraturę kontroli nad serwerami i danymi największej partii opozycyjnej. Warto zauważyć, że niezależnie od wszystkich możliwych oskarżeń pod adresem Viktora Orbána w czasie jego rządów podobna sytuacja – wtargnięcie prokuratorów i przejęcie danych serwerów TISZY – nie miała miejsca. Wybory, w których TISZA wygrała, miały charakter demokratyczny. Nie doszło do rewolucyjnego przewrotu, ale normalnego przejęcia władzy. A skoro tak, to podobnie jak w Polsce należy uznać działania obecnych węgierskich władz za przykład rażącego naruszenia reguł tego, co wcześniej nazywano praworządnością.

Sam Orbán ostro skrytykował nie tylko to wtargnięcie, lecz także wcześniejsze posunięcia premiera Magyara, a więc wymuszenie rezygnacji prezydenta Tamása Sulyoka i praktyczne rozbicie Trybunału Konstytucyjnego. Wprowadzając ustawą górny limit wieku dla sędziów, czyli 70 lat, TISZA pozbyła się w trakcie kadencji Pétera Polta, 70-letniego prezesa Trybunału Konstytucyjnego. W obu przypadkach ustawy przyjęte przez sejmową większość uderzyły w konkretne osoby.

Nie mam wątpliwości co do tego, co będzie się działo dalej. Wkrótce zostanie przez parlament przyjęta ustawa o utworzeniu Narodowego Biura Ochrony i Odzyskiwania Mienia. Teoretycznie nowa instytucja ma zajmować się walką z korupcją oraz odzyskiwaniem majątku publicznego, faktycznie stanie się ona nowym, zbrojnym ramieniem służącym do walki z opozycją. Po 16 latach rządów Fideszu można być pewnym, że większość działaczy i polityków tej partii w ten czy inny sposób wykorzystała swoje stanowisko do… osiągania korzyści politycznej.

Wszystko też wskazuje na to, że nowa instytucja nie będzie musiała się przejmować starą rzymską paremią lex retro non agit – prawo nie działa wstecz. W przypadku walki z Fideszem nie będzie ona obowiązywać. Zakładam, że na Węgrzech, tak jak i w Polsce, pojawi się nowe rozumienie nie tylko „korzyści", lecz także „zorganizowanej grupy przestępczej", do której to po prostu zostaną zapisani wszyscy przeciwnicy obecnej władzy TISZY. Skutki tego polowania na czarownice będą nieporównanie gorsze niż w Polsce, ponieważ w węgierskim systemie prawnym wszystkie bezpieczniki, a więc niezależne od władzy większości sejmowej instytucje, zostały wyłączone.

Nie mam też wątpliwości, że prędzej czy później wśród oskarżonych znajdzie się sam Viktor Orbán. Za dużo krwi napsuł brukselskim eurokratom, żeby nie wykorzystali teraz szansy i zrezygnowali z zemsty. Zbyt długo bronił wartości konserwatywnych i zbyt długo śmiał prowadzić suwerenną politykę jak na to, żeby teraz nie dopadła go karząca ręka liberalnych globalistów z Brukseli. W tym przypadku osobista zemsta premiera Magyara i unijna zemsta eurokratów mają ten sam cel – odegranie się – nawet jeśli na użytek gawiedzi można to, co robią, obłudnie nazywać przywracaniem praworządności. ©℗

eprasa.pl 3d3726ab61



TEMAT TYGODNIA

14 ADAM WIELOMSKI
TRZECIA WOJNA ŚWIATOWA. CZY TO JUŻ?
Kto trzyma palec nad czerwonym guzikiem

17 MICHAŁ KRUPA
NIEBEZPIECZNY KOKTAJL

KRAJ

22 PIOTR SEMKA
NAJOSTRZEJSZY ZAKRĘT PIS
Kaczyński kontra Morawiecki

24 MARCIN PALADE
PEŁNY PRAWICOWY PAKT TO KLUCZ DO SUKCESU

27 ŁUKASZ WARZECHA
RZECZNIK PRAW PARTYJNYCH

30 ROZMOWA Z ALEKSANDRĄ BINISZEWSKĄ
SAMI ZAKŁADAMY SOBIE SZNUR NA SZYJĘ

34 FILIP MEMCHES
PARTIA DLA „FAJNYCH" POLAKÓW

36 ROZMOWA Z MARKIEM GAWORSKIM
ZAMKOŁAZ Z MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
I DOKĄD TA PODRÓŻ?
Dlaczego warto wracać do Homera

41 GRZEGORZ KONDRASIUK
POWROTY WYSPIAŃSKIEGO, „BOYA", SŁONIMSKIEGO

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

48 JANUSZ KORWIN-MIKKE
NARÓD I PAŃSTWO
Odkłamać podstawowe pojęcia polityczne

51 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
JESZCZE JEDNA KASTA: LEKARZE

54 PAWEŁ CHMIELEWSKI
UPIÓR SYNODALNOŚCI

HISTORIA

56 PIOTR SEMKA
NORWESKIE WESTERPLATTE
Jak uratowano władcę skandynawskiego królestwa

ŚWIAT

60 PIOTR WŁOCZYK
RADYKALIZM ZŻERA AMERYKAŃSKICH DEMOKRATÓW
Wśród wyborców maleje poparcie dla kapitalizmu

63 AGNIESZKA WOLSKA
CHADECKA HIPOKRYZJA

66 JACEK PRZYBYLSKI
NIEUDANA ROSZADA MAGYARA

EKONOMIA

68 JAKUB WOZINSKI
BAŁKANIZACJA POLSKICH WYNAGRODZEŃ
Na państwowym można więcej

70 JACEK PRZYBYLSKI
FIFA ROZBIŁA BANK

LATO Z „DO RZECZY"



74 JACEK PAŁKIEWICZ
UNIKALNY CHIŃSKI KRAJOBRAZ
Przewodnik Jacka Pałkiewicza: Zhangjiajie

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (67), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 3d3726ab61

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Filip Singer, Robin Van Lonkhuijsen, Ramil Sitdikov/EPA/PAP**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratapraswy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Historia Polski według Grzegorza Brauna, „DRz" nr 30/2026

Droga Redakcjo, po raz kolejny piszę, by pogratulować odwagi. Zrobienie okładki z Grzegorzem Braunem (o ile nie jest to paszkwil) to w dzisiejszych realiach oznaka dużej odwagi [...].

Jan P.

Eksperci od siedmiu boleści

Szanowni Państwo, rzeź Polaków na Wołyniu i liczba ofiar ukraińskiego bestialstwa budzą powszechne przerażenie. Lecz nie u etatowych ekspertów. Redaktor Żakowski sądzi, żeśmy sami sobie winni, bo za kolonizację, polonizację itd. Ukrainy należała się Polakom słuszna kara. Profesor Antoni Dudek również lansuje podobne poglądy z wyżyn profesorskiego autorytetu. Polski ambasador w Kijowie, pan Łukasiewicz, wyraża współczucie dla zamordowanych polskimi rękami Ukraińców, a wiceminister Szeptycki porównuje UPA do Żołnierzy Wyklętych. Towarzyszy im chór pomniejszych „ekspertów" od wszystkiego, aktualnie od ludobójstwa.

Najwyraźniej naczytali się „jakubowych opowieści" noblistki Tokarczuk, która – podobno przy wydatnej pomocy sztucznej inteligencji – twierdzi, że skoro polscy panowie odcinali ukraińskim chłopom uszy, to sami napytali sobie biedy. Zgodnie z tą logiką powstańcy warszawscy czy żydowscy także zasłużyli na swój los. Trzeba było nie prowokować. Nie wiadomo, co jest straszniejsze: sama zbrodnia czy jej relatywizowanie. Rodzimi „eksperci" z pewnością rozwiążą tę kwestię.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

Wyjaśnienia

Do przeprowadzonego przeze mnie wywiadu z Marią Filiną, przewodniczącą Związku Kulturalno-Oświatowego Polaków, który ukazał się w „Do Rzeczy" (nr 28/2026) wkradł się błąd. W 1998 r. przypadła nie 100., lecz 200. rocznica urodzin Adama Mickiewicza. Za błąd przepraszam.

Adam Hlebowicz

W rozmowie z prof. Wojciechem Roszkowskim pt. „Gwiaździsty sztandar" („Do Rzeczy" nr 29/2026) podaliśmy błędną datę. Konstytucję USA uchwalono 17 września 1787 r. Weszła w życie 4 marca 1789 r. Przepraszamy.

Krzysztof Masłoń i Tomasz Zapert

KONDOLENCJE

Z głębokim smutkiem i żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ŚP.

Ryszarda Mularczyka

Europosłowi Arkadiuszowi Mularczykowi oraz Jego Rodzinie składamy wyrazy szczerego współczucia i słowa wsparcia w obliczu tej bolesnej straty.

Łączymy się z Państwem w bólu i modlitwie.

Adam Bielan – Przewodniczący Delegacji Prawa i Sprawiedliwości w Parlamencie Europejskim

Patryk Jaki – Współprzewodniczący Grupy Europejskich Konserwatystów i Reformatorów w Parlamencie Europejskim

eprasa.pl 3d3726ab61



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

AfD w NRD-owskim sosie

Kampania do wyborów landowych w Saksonii-Anhalt wyznaczonych na 6 września 2026 r. wchodzi w kluczową fazę. Liderem w sondażach jest partia Alternative für Deutschland (Alternatywa dla Niemiec), która osiąga w badaniach aż do 42 proc.

I oto nagle doszło do wydarzenia, które zaszokowało wielu Niemców. Podczas jednego z wieców wyborczych AfD w Dessau-Roßlau na koniec dyskusji panelowej miano zaśpiewać niemiecki hymn narodowy, czyli „Das Deutschlandlied". Ale uczestniczący w dyskusji artysta kabaretowy Uwe Steimle zamiast obecnego hymnu RFN zaczął śpiewać pieśń „Auferstanden aus Ruinen" („Powstając z ruin") – niegdysiejszy hymn Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Ta pieśń na fali sentymentu do dawnego państwa Ericha Honeckera przeżywa szokujący renesans popularności. Na YouTube znajdziemy co najmniej tuzin rockowych lub utrzymanych w stylu techno wersji tej dawnej propagandowej pieśni. W Niemczech Wschodnich nucenie hymnu NRD stało się formą podtrzymywania swojej osobnej tożsamości.

Dlatego przewodzący spotkaniu współprzewodniczący AfD Tino Chrupalla i lider listy Alternatywy w Saksonii Anhalt Ulrich Siegmund uśmiechnęli się i odśpiewali pieśń wraz z kilkoma setkami osób uczestniczących w spotkaniu. Dla dokładności trzeba dodać, że po wykonaniu NRD-owskiej pieśni odśpiewano również aktualny niemiecki hymn narodowy.

W reakcji na ten incydent cały niemiecki establishment polityczny i medialny wybuchł oburzeniem, co oczywiście AfD przyjęła jako darmową reklamę. Szef kancelarii federalnej Thorsten Frei z CDU z irytacją mówił dla podcastu internetowego dziennika „Die Welt": „Uważam to za wyjątkowo dziwne. Zwłaszcza gdy robią to politycy, kiedy chcą powiązać to z interesem politycznym". Niemiecki „Spiegel" z kolei oburzył się, że politycy AfD przyłączając się do śpiewania hymnu państwa czerwonej dyktatury, przyczyniają się do banalizacji problemu NRD jako państwa terroru.

Prędzej czy później musiało do tego dojść. AfD zdobywa najwięcej wyborców na terenie „nowych landów". Partia ta unikała dotąd bezpośrednich odniesień do NRD-owskiego dziedzictwa, ale też jak mogła, starała się nie urażać uczuć „wiecznie wczorajszych dederonów". W poszanowaniu AfD dla dawnych tradycji pruskich po cichu zawsze mieścił się pewien szacunek dla dawnej NRD jako miejsca, w którym zakonserwowały się tradycyjne cnoty opozycji do wymieszanych kulturowo Niemiec Zachodnich. A jeśli teraz taki ukłon wobec „Ossich" może przynieść władzę, to Tino Chrupalla czy Ulrich Siegmund bez wahania są gotowi zapłacić tę cenę.

W latach 80. w Polsce nazywano niekiedy NRD czerwonymi Prusami. Teraz wraz z wizją dojścia do władzy AfD w pierwszym niemieckim landzie ta specyficzna zbitka ideologiczna może stać się faktem politycznym. Pokolenie rewolty 1968 r. nazywano w RFN „dziećmi Marksa i Coca-Coli". Teraz na horyzoncie może pojawić się elektorat „dzieci Honeckera i Bismarcka". ©℗



FOT. STEPHANE MAHE/REUTERS/FORUM

POŁUDNIE EUROPY W OGNIU

Z kilkuset pożarami walczyli w ubiegłym tygodniu strażacy we Francji, Włoszech, w Hiszpanii i Portugalii. Ogień objął m.in. 2,4 tys. ha w departamencie Żyrondy w południowo-zachodniej Francji. Konieczna była ewakuacja 20 tys. osób. Według francuskiego MSW od początku roku wybuchło 12,5 tys. pożarów, które strawiły 44 tys. ha. W Portugalii akcja gaśnicza spowodowała utrudnienia na lotnisku w Lizbonie. Poważne pożary wybuchły też na Sycylii oraz na południowy zachód od Madrytu. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 3d3726ab61

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 3d3726ab61



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Wieczne prowizorium

Czy mają państwo radio w samochodzie? Zakładam, że tak. A czy płacą państwo z tego tytułu abonament RTV? Sto cztery złote rocznie, od przyszłego roku sto siedemnaście? Zakładam, że nie. Prawie nikt w Polsce nie płaci nawet od telewizorów i radioodbiorników posiadanych w domu. Tym, którzy ich nie posiadają, przypomnę, że powinni zapłacić trzysta siedemdziesiąt dwa złote rocznie od każdego posiadanego smartfona, komputera i innego urządzenia, na którym mogą oglądać telewizję lub słuchać radia, także internetowego. Tak wynika z orzeczenia Naczelnego Sądu Administracyjnego sprzed trzech lat: ustawa skonstruowana jest tak, że haracz na państwowe media płacony ma być nie od ich oglądania czy słuchania, ale posiadania urządzenia, które to umożliwia, bez uwzględnienia faktu, że od czasów Gomułki to i owo się w technice masowego komunikowania zmieniło.

Jest to tak głupie, że władza nawet nie próbuje wspomnianego orzeczenia wyegzekwować, a podatek od telewizorów ściąga praktycznie tylko od instytucji i urzędów. Nieustannie przy tym obiecuje, że abonament zniesie albo przeznaczy na przysłowiową już „onkologię dziecięcą" i że jest to istotnym elementem przygotowywanej ustawy medialnej, która już, już lada moment „stanie na posiedzeniu". Staje mniej więcej równie długo, jak ustawa deregulacyjna, z takim samym skutkiem, choć na razie bez medialnego odpowiednika pickomisji Rafała Brzoski.

Ale może niebawem powstanie. W minionym tygodniu bowiem media poinformowały, że Donald Tusk zarządził wycofanie projektu, który miał być wysyłany do Sejmu. Powód taki sam, jak w wypadku deregulacji: koalicjanci się nie mogą dogadać co do podziału łupów. Stan wiecznej likwidacji, wiecznego zawieszenia i pompowania w „onkologię dziecięcą" pieniędzy z budżetu wszystkim koalicjantom odpowiada, bo każdy jakiś tam kawałek tortu sobie wykroił. Teraz widać, na czym polegał pomysł „stu konkretów": nie dotrzymywać aż tylu obietnic naraz, żeby nikt nie ogarniał. ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Zdrowa prawda NASK

Równolegle z procedowaniem tzw. lex szarlatan ukazuje się raport NASK o dezinformacji zdrowotnej. Przypomnę – nowelizacja ustawy o Rzeczniku Praw Pacjenta gwałci konstytucyjne prawa obywateli, umożliwiając tylko decyzją administracyjną m.in. wymierzanie grzywny do 1 mln zł i ograniczanie działalności gospodarczej. Z jednej strony parlament tworzy narzędzia do wy eliminowania z rynku wszystkich zajmujących się medycyną alternatywną, naturoterapią, dietetyką i ziołolecznictwem, a z drugiej zakłada utworzenie publicznego rejestru podmiotów zajmujących się tzw. dezinformacją medyczną. Kłopot w tym, że posługując się niezdefiniowanymi terminami, nowelizacja urąga wymogom pewności prawa.

I tu z odsieczą przychodzi NASK. Teraz Rzecznik Praw Pacjenta będzie miał „naukowy" instrument eliminowania z przestrzeni Internetu wszystkich siejących „dezinformację medyczną". Raport NASK, jak piszą autorzy, zajmuje się przede wszystkim edukacją zdrowotną, prawami reprodukcyjnymi i szczepieniami. W ujęciu autorów dezinformacją jest np. nazwanie przerywania ciąży zabiciem dziecka. Dezinformacją jest też sprzeciw wobec obowiązkowej edukacji zdrowotnej, która – jak wiemy – od najmłodszych klas wprowadza do szkół szkodliwe ideologiczne treści. Czy można poważnie traktować naukowców używających terminu „zdrowie reprodukcyjne", który oznacza przecież nieograniczony dostęp do aborcji? Według ekspertów NASK także postulat dobrowolności szczepień i informowanie o realnych powikłaniach to fałszywe narracje „ruchów antyszczepionkowych".

O wiarygodności raportu najlepiej świadczy partner NASK, czyli GIS i Paweł Grzesiowski. To on, miesiąc przed wjazdem do Polski miliona niezaszczepionych uchodźców z Ukrainy, zapowiedział, że nowy wariant C-19 spowoduje armagedon, infekcyjne tsunami i masowe zgony na niespotykaną skalę. ©℗

eprasa.pl 3d3726ab61

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Statki kosmiczne na szynach



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Mają rozmach, ale mogliby jeszcze z większym rozmachem się rozmachnąć! Zaraz podpowiem. Stop. Donald Tusk zapowiedział teraz jakoś, że on będzie budował najnowocześniejszą sieć kolejową w Europie, że pociągi mają śmigać po Polsce do 350 km/h, a budowa będzie trwać nawet do 2050 r. Stop. Tak mi się przypomniało, że jak PiS budował Centralny Port Komunikacyjny, to wice-Tusk Trzaskowski mówił, że a na co to, przecież jest lotnisko w Berlinie, Domański, że to gigantomania, a sam Tusk, że to projekt polityczny. Stop. Nie będę się czepiać, że zapowiedzi budowy dotyczącej kilkudziesięciu lat, mając perspektywę rządów kilkunastu miesięcy, są zbyt śmiałe, bo władza musi przecież planować. Tusk np. planował, że dzięki niemu elektrownia jądrowa zacznie działać w Polsce w 2024 r., no ale jeszcze nie działa, może dlatego, że nie rozpoczęto budowy, a budowy nie rozpoczęto, bo nie wiadomo kto, gdzie i z kim, ale pieniądze, kto miał wziąć, ten wziął, a to jest najważniejsze. Stop. A teraz doradzę ekipie Tuska, jak uzyskać jeszcze większy rozmach medialny przy projekcie: w związku z zapowiedziami premiera, że będzie budować statki kosmiczne w Polsce, to on powinien wystąpić i powiedzieć ludożerce, że zamiast połączeń kolejowych będziemy mieli połączenia kosmiczne, bo zaczynamy przecież budować te statki, które prawie z prędkością światła atakują przestrzeń, to po co nam lokomotywy? Stop. Że to by była bzdura i kłamstwo? Stop. No i co? Cóż szkodzi obiecać? Stop. Stosunek Polaków do tego, co opowiada Tusk, wydaje się ustalony: po przeanalizowaniu komentarzy w Internecie (Res Futura) 80 proc. komentujących uważa, że superkolej „to obietnica Tuska, która nigdy się nie ziści". Stop. No i?

Jest przełom! Minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska powołała do życia lasy, a dokładnie lasy społeczne. Stop. Wcześniej w miejscu tych lasów były zwykłe lasy, a teraz są społeczne, po powołaniu. Powołanie ministerialne jest tu decydujące. Stop. W takich lasach społecznych to ludzie będą mogli teraz być, chodzić, biegać, jeździć na rowerze, oddychać. Stop. Takie lasy będą oczyszczały powietrze i gromadziły wodę. Stop. Ktoś mógłby drwić, że to jakaś lipa, że były lasy, a teraz są społeczne, że o co chodzi. Stop. Chodzi o to, że geniusz objawia się w drzew prostocie! ©℗

eprasa.pl 3d3726ab61



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

WIELKI COME BACK

Rozstanie Poli (żona numer pięć) i Michała Wiśniewskich to niezła pożywka dla wszystkich lubiących celebryckie ploteczki. Obok wzajemnych pretensji i żalów będących w trakcie rozwodu małżonków lider Ich Troje zrzucił prawdziwą medialną bombę – ogłosił, że znowu spotyka się z Mandaryną (Martą Wiśniewską), czyli drugą żoną, ale pierwszą, z którą wziął na początku lat 2000. ślub kościelny. Wiśnia potwierdził powrót do eks w internetowym oświadczeniu. – Jestem z Mandaryną i zdradziłem z nią Polę. Nie wiem, w styczniu, nie wiem kiedy. Ale ani w styczniu, ani w marcu, od kiedy się rozstaliśmy, tylko zaczęliśmy się spotykać pod koniec czerwca tego roku – powiedział, kpiąco odnosząc się do stwierdzeń aktualnej (jeszcze) małżonki, że zaczął zdradzać ją z eks kilka miesięcy temu. – Trochę zostaliśmy wepchnięci w swoje ramiona przez całą tę sytuację i bardzo się z tego powodu cieszę. Być może te pięć lat razem i 21 lat osobno pozwoli nam pewne rzeczy zrozumieć, przeanalizować i zrobić inaczej. Nieważne, czy dacie nam szansę czy nie, my to po prostu zrobimy – podkreśla Wiśniewski. – Chyba o to w życiu chodzi, żeby być szczęśliwym, czego Poli również życzę czy Paulinie – skwitował. Małe ćwiczenie z logiki: skoro Michał Wiśniewski rozwodzi się z piątą żoną i wrócił do swojej drugiej żony, to oznacza to, że jeśli zdecyduje się na kolejny ślub z Mandaryną, to będzie to już jego dziewiąty z szóstą żoną? Czacha paruje.



FOT. PIOTR MATUSEWICZ/EAST NEWS

DZIECI KOMENTUJĄ

Pod artykułem na temat powrotu gwiazd jedna z internautek napisała: „Czuję się, jakby moi rozwiedzeni rodzice wrócili do siebie po latach (nie mam rozwiedzionych rodziców)". Trzeba przyznać, że w przypadku Wiśni i Mandaryny to doświadczenie pokoleniowe. A co z prawdziwymi dziećmi potencjalnych „eks, ale przyszłych" małżonków? Redakcja portalu ESKA.pl skontaktowała się z synem Mandaryny oraz Wiśniewskiego. Para ma dwoje dzieci – syna Xaviera i córkę Fabienne. Nagłe zejście się mamy i taty było szokiem, ale dzieci pary są zadowolone. – Był to dla nas szok, ale super widzieć ich szczęśliwych, a tak jest, gdy są przy sobie. Trzymam za nich mocno kciuki, na pewno na razie roznieśli Internet – powiedział Xavier. Łyżka dziegciu w tej beczce miodu – Wiśniewski i wciąż aktualna żona Pola mają wspólnie dwoje dzieci. I o nich, w tym całym medialnym cyrku, też warto by było pamiętać.

KONIEC TRUDÓW W TV

Skoro mowa o dużych zmianach, to Julia Wieniawa odchodzi z jury programu TVN „Mam talent!", w którym to jury zasiadała od 2024 r. Według serwisu Pudelek na korytarzach TVN mówi się o tym, że 27-latka mogła zostać „podkupiona" przez konkurencję. Wieniawa zamieściła na Instagramie post, w którym potwierdziła spekulacje. „Wygląda na to, że zostałam trochę wywołana do tablicy, więc czas powiedzieć to także od siebie. Tak, po trzech sezonach kończę swoją przygodę z »Mam talent!«. To były trzy lata pełne emocji, wzruszeń, śmiechu i spotkań z niezwykle utalentowanymi ludźmi. Jestem ogromnie wdzięczna, że mogłam być częścią tego programu i przeżyć tyle pięknych chwil" – napisała gwiazda. Nie zabrakło podziękowań dla uczestników programu i dla ekipy odpowiedzialnej za produkcję. Julka wspomniała o zakończeniu „rozdziału" przed rozpoczęciem kolejnego. „Dziękuję widzom za to, że byliście z nami przez ten czas. Dziękuję wszystkim uczestnikom za odwagę i serce, które zostawiali na tej scenie. I dziękuję całej ekipie – przed kamerą i za kulisami – za wspólnie spędzone sezony. W życiu wszystko ma swój czas. Każdy rozdział kiedyś się kończy, żeby mógł zacząć się kolejny. Odchodzę z wdzięcznością, pięknymi wspomnieniami i ogromną ciekawością tego, co przede mną. Dziękuję za tę przygodę. Do zobaczenia" – zakończyła. Wieniawie musiało ulżyć, bo jeszcze w lutym rozwodziła się nad trudami pracy jurora w TV show. – Bycie jurorem np. jest oczywiście ogromną nobilitacją i czymś absolutnie wyjątkowym. Mało kto może być jurorem w czymkolwiek w swoim życiu, więc cieszę się, że dostałam taką szansę. Jest to ogromna odpowiedzialność i nie ukrywam, że jest to taka najtrudniejsza dla mnie fizycznie i umysłowo praca, którą mam – przekonywała w śniadaniówce „Dzień dobry TVN". Górnicy, budowlańcy i nauczyciele wczesnoszkolni słyszą?

ODCHAMIENIA CZAS

Chwilka dla kultury. Niestety, chwilka, bo później profesura musi wracać do świata tych wszystkich Polaków-prostaków-cebulaków. Jakiś czas temu „etyczka-filozofka" Magdalena Środa wzięła udział w festiwalu Góry Literatury, organizowanym przez fundację Olgi Tokarczuk. „Jestem na Górach Literatury, festiwal literacki i idealna wersja społeczeństwa obywatelskiego, są tu ludzie, którzy czytają książki, którzy wysłuchują debat, nie tylko o książkach, lecz także o migracji, o Żydach, o zwierzętach... którzy uśmiechają się do siebie i z pewnością są demokratami, otwartymi na świat i idee... sentymentalne, nie? Ale to trwa tylko osiem dni..." – rozmarzyła się prof. Środa. Wpis został przytoczony wiernie – gdyby ktoś pytał, co to za dziwne zwierzęta, które się uśmiechają do migrantów i Żydów. My też nie wiemy. ©℗

eprasa.pl 3d3726ab61



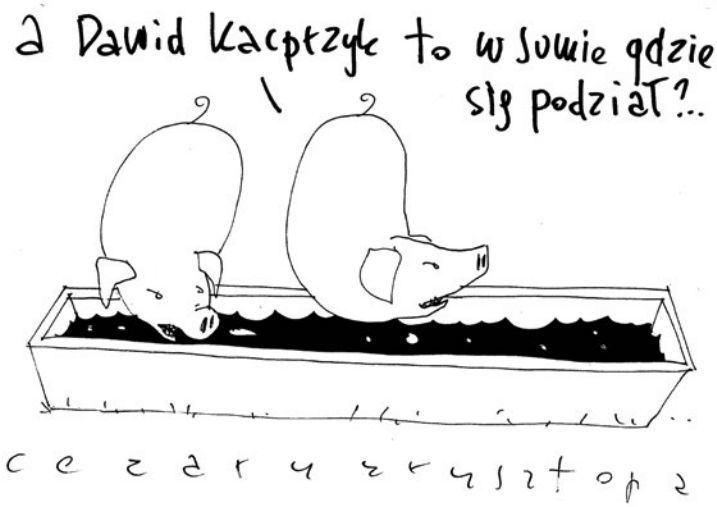
MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, tydzień temu pisaliśmy Wam o naszej propozycji dotyczącej zmiany paradygmatu komunikowania o psieciach. Wiecie, iżby wykreślić ze słownika języka polskiego wszelkie stygmatyzujące powiedzenia i przysłowia, a także aby zacząć używać innych we właściwym uwspółcześnionym kontekście.

Weźmy bowiem pod uwagę trochę przykładów na to, jaki był dotychczas językowy obraz świata typowego Janusza z podkarpacia i jakie miejsce zajmowały w nim osoby psie. Jednocześnie uprzedzamy wrażliwszych z was, iż może to być ciężka lektura z uwagi na duży ładunek negatywnych emocji, jaki był jawnie ukryty w języku przeciwko osobopsom.

Kiedy Janusz wstał z łóżka i zobaczył za oknem, iż pada deszcz, mruczał pod wąsem, iż „pogoda dzisiaj pod psem". A tymczasem dziś jako pogodę pod psem możemy rozpatrywać przyjemne ciepło, takie do 20 stopni, iż nie można przesadzać z tym ociepleniem, kiedy psieci mogą wychodzić na psie place zabaw, a ich opiekunowie siedzieć na ławeczkach i popijać drożdżówkę z poziomkami za 129 zł matchą o smaku wegańskiego fileta z łososia.

O czymś bezużytecznym mówiło się kiedyś, iż jest to „psu na budę", co sugerowałoby, że psoosoby przez wieki żyły w domostwach skleconych z byle czego. Może nadal tak jest na głębokiej prowincji – gdzieś na wsiach 100 km za Warszawą, ale obecnie psoosoby zamieszkujące wielkie miejskie ośrodki mają do dyspozycji często własny pokój w mieszkaniu, w najgorszym wypadku własne łóżko z pościelą, poduszką i ulubionym misiem. To nie



te czasy, kiedy Azor musiał żyć w budzie skleconej ze starego koca, kawałka eternitu, opony do stara i smutku.

W staropolskim języku konserwatywnym przywykło się też mówić, iż jest się wobec kogoś „wiernym jak pies", podczas gdy po pierwsze sami wiecie, iż kategoria wierności nie może być traktowana w sensie dosłownym i uznawana za coś naturalnego, tak jak to było 500 lat temu, a dwa, iż psoosoby były niegdyś wierne, wynika po prostu stąd, iż żyły trzymane na łańcuchach. Teraz psieci mają większą swobodę, a jeśli są wierne i nie uciekają na spacerach swoim kohabitującym osobom ludzkim, to oznacza, iż „wierność" jest ich chwilowym wyborem, a nie przymusem.

Skąd z kolei wzięło się powiedzenie „wieszać na kimś psy"? Serio, trochę boimy się pomyśleć, ale pewnie z tej samej małej miejscowości, z której pochodzi „darcie kotów". Podejrzewamy, iż wieszanie psów było jakąś karą za wolnomyślicielstwo i krytykowanie nauczania Kościoła, ale nie możemy odnaleźć źródeł. W każdym razie obecnie tego rodzaju powiedzenie wskazujące na przemoc fizyczną nie powinno mieć swojego odpowiednika i nawet nam się wydaje, iż po prostu nie ma, jako że przestaliśmy normalizować jako społeczeństwo wieszanie kogoś na kimś.

A na koniec pomyślcie sobie, iż taki Janusz przyjeżdża do wielkiego miasta i widzi tłumy millennialsów z ich psiećmi i myśli sobie: świat zszedł na psy! Dla Janusza to obelga, iż świat się psuje, ale dla nas jest to sygnał, że wszystko idzie w dobrym kierunku i jako społeczeństwo zapraszamy psoosoby do swojego życia. Świadczy to jedynie o byciu open-minded i nie human-oriented, a jednocześnie pokazuje, jak bardzo jesteśmy dog-friendly. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Wódz? Głupie skojarzenie

Mariusz, nie możemy mieć więcej takich sytuacji jak z Mateuszem.

Przygotowałeś ten ryt przysięgi na wierność?
Tak, Jarku, mam tutaj opis.

Pokaż... No nie, nie mogą mnie nazywać „wodzem", zaraz ktoś będzie miał głupie skojarzenie.
Dobrze, zmienię na „naczelnik". A ten element?

„Przysięgający nacina sobie ramię i łączy swoją krew z krwią wodza"... My mamy samych posłów ponad 180. Ty chcesz, żebym się wykrwawił?
Nie pomyślałem... To może krew z jakiegoś kurczaka weźmiemy? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Nie da się zawetować miłości".

KATARZYNA KOTULA, *wiceprzewodnicząca Nowej Lewicy, sekretarz stanu w KPRM, o zawetowaniu przez prezydenta ustawy o statusie osoby najbliższej*

eprasa.pl 3d3726ab61

dwaj panowie g

Ludzie pytają nas z niepokojem: „Jak teraz będzie?”. Odpowiadamy: „Tak jak wcześniej, tylko bardziej”. Z tego bowiem, co wiemy, wyrzucenie Morawieckiego i jego ludzi z PiS niczego nie załatwia. Tak się bowiem składa, że jego partyjni przeciwnicy to nie jest jakaś jedna zwarta grupa. Tylko doraźne pospolite ruszenie, w którym każdy ma swoje interesy. No i przede wszystkim: każdy chciałby być przyszłym premierem.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Oznacza to, że zakończenie konfliktu z morawianami otwiera natychmiast inne wewnętrzne spory o to, kto byłby lepszym Czarnkiem od Czarnka w roli kandydata na kandydata na premiera. Jak wiadomo, miał on odbierać wyborców Braunowi i Mentzenowi. Teraz słyszymy, że część „maślarzy” chciałaby na kandydata na kandydata wysunąć Tobiasza Bocheńskiego. Po co? Żeby odbierać zwolenników Morawieckiemu.

Tak czy inaczej, dla autorów rubryk plotkarsko-politycznych nadeszły złote czasy. W życiu partii najpiękniejsze są bowiem chwile, kiedy wchodzi ona w etap radiostacji: wszyscy na siebie nawzajem nadają i nawet niespecjalnie się z tym kryją. Ten raj ziszcza się zwykle przed wyborami, gdy stary reżim upada, a nowy dopiero nadchodzi. Natomiast PiS wszedł w tryb radiostacji ot, tak po prostu, w związku ze sporem o STROP (Stowarzyszenie Rozwój Plus). I my to doceniamy. Już byliśmy zmęczeni donosami z Platformy o tym, kto i ile gdzie zarabia na szpitalach. Wreszcie mogliśmy zająć się czymś innym. Jeśli wyczuwacie w tych słowach sarkazm, to macie rację.

Tryb radiostacji jest fajny, bo wreszcie ludziska zrzucają z serca to, co im tam zalegało. I tak morawianin Piotr Müller ogłosił listę najważniejszych intrygantów w PiS. Trafili na nią Jacek Kurski, Jacek Sasin i Patryk Jaki. Powątpiewamy. Otóż intrygant to osoba, która działa podstępnie i ukrywa swoje zamiary. Tymczasem wspomniane osoby raczej swych zamiarów nie ukrywają.

Tenże sam Piotr Müller po spotkaniu ostatniej szansy Kaczyński – Morawiecki przekazał, że morawianie przedstawili „21 konkretnych propozycji mechanizmów, które mogą uspokoić sytuację”. Domyślamy się, że znamy trzy z tych mechanizmów. Pierwszy: żeby Jacek Kurski nie intrygował. Drugi: żeby Jacek Sasin nie intrygował. Trzeci: żeby Patryk Jaki nie intrygował. W sumie uskładalibyśmy pozostałe 18 nazwisk, ale nam się nie chce.

eprasa.pl 3d3726ab61

Nie możemy 21 konkretnych propozycji nazwać postulatami sierpniowymi, gdyż ten termin jest już zajęty. No i zostały złożone w lipcu. Nazwiemy je więc artykułami czwartkowymi. Gdyż zostały ogłoszone w czwartek. Jednym z nich była rezygnacja ojca Mateusza ze stanowiska wiceprezesa PiS i został zwykłym szeregowym członkiem PiS. To wielu ludzi bardzo podejrzliwie nastawiło. W PiS jest tylko jeden zwykły szeregowy poseł. I wiecie, jak się nazywa.

Bardzo nam się podobało też sformułowanie, którego użył rzecznik PiS Rafał Bochenek, informując, że ostatnie rozmowy „miały charakter konstruktywny". Pamiętamy doskonale „Dziennik Telewizyjny" z czasów PRL i wiemy, kiedy się tak mówi: gdy rozmowy wała dały. Zwykle używało się potem sformułowania: „Obie strony zgodziły się kontynuować pogłębiony dialog". Otóż w tym przypadku – nie zgodziły.

Àpropos Bochenka. Słyszeliśmy od morawian, zwanych też „harcerzami", że osoba rzecznika partii walnie przyczyniła się do kryzysu. Gdyż należy do osób odpowiednio filtrujących wiadomości docierające do szeregowego posła Jarosława Kaczyńskiego. Z tego, co jednak wiemy, szeregowy poseł czerpie wieści od większej liczby ludzi, niż się niektórym wydaje.

Tak czy inaczej, jednym z efektów przesilenia jest wzmocnienie pozycji Jacka Sasina. A był już moment, gdy owa pozycja osłabła. Wiemy więc już, przeciwko komu teraz będą spiskowali intryganci w PiS – przeciw Sasinowi. Oczywiście tylko w tych wolnych chwilach, kiedy nie będą spiskowali przeciwko Czarnkowi.

Wracając do ostatniej karty, którą zagrał ojciec Mateusz, deklarując publicznie, że on może zrezygnować ze stanowiska wiceprezesa PiS, a jego ludzie ze wszelkich funkcji partyjnych, oraz zamrozić działalność STROP. Otóż w PiS odczytano tę propozycję tak: „Aha! Teraz niby będą siedzieć cicho, weźmiemy ich na listy, a wyjdą z partii, dopiero jak się dostaną do Sejmu!".

Doskonale oddaje to poziom zaufania panujący aktualnie między frakcjami. Ludzie to jednak wilki.

Wbrew medialnym próbom wciągnięcia w cały bardak Dużego Pałacu oraz osoby głowy państwa prezydent Karol Tadeusz postanowił trzymać się od tego wszystkiego z daleka. I swoim ludziom też kazał się trzymać z daleka. I my to rozumiemy, gdyż jemu, w odróżnieniu od PiS, rośnie. Neutralność i izolacjonizm nie przyszły Pałacowi łatwo – pełno tam ludzi, którym bliżej do Morawieckiego niż do „maślarzy". Bogucki, Szefernaker, Andruszkiewicz itd.

Tryb radiostacji rozszerzył się na polemiki międzypartyjne, dzięki czemu wiemy, że Sławomir Mentzen nazwał publicznie Marka Suskiego gnomem. Oczekujemy riposty równie zaskakującej i fantazyjnej. Od razu zauważyć chcieliśmy, że do wskazanej rodziny istot mitycznych i fantastycznych należą skrzaty, krasnale i trolle. O, chyba już znamy odpowiedź!

Na marginesie sporu „maślarzy" z „harcerzami" czy też morawian z zakonnikami. Otóż w trakcie liczenia szabel w partii szeregowy poseł i prezes Jarosław Kaczyński postanowił wysondować, za kim opowie się Adam Bielan. Odpowiedź brzmiała: „Nie po to 13 lat wracałem do PiS, żeby z niego teraz odchodzić".

Na miejscu „maślarzy" nie bylibyśmy natomiast tacy zadowoleni ze swojej skuteczności. Wiewiórki mówią, że to właśnie „maślarze" głosili w partii, że morawianom trzęsą się portki i że się szybciutko poddadzą, gdy każe im się podpisać lojalki. Otóż nie poddali się i nie pękli. Co nie pomaga w budowaniu wizerunku „maślarzy" jako ludzi, którzy wiedzą, co mówią.

Tak czy inaczej, rozmaici posłowie PiS zaczynają się nerwowo rozglądać za możliwością dostania się na listy wyborcze gdziekolwiek. Gdyż powoli zaczynają rozumieć, że klub PiS w przyszłym parlamencie będzie niezbyt duży. Niestety, na wolnym rynku osób i idei po prawej stronie od PiS wartość rynkowa posłów PiS spada z tygodnia na tydzień.

Władysław dwojga nazwisk Kosiniak-Kamasz przesłał do Dużego Pałacu listę swoich propozycji na nominacje generalskie na 15 sierpnia, czyli Święto Wojska Polskiego. Lista liczy 25 nazwisk. Możemy chyba ujawnić, że zaakceptowana przez prezydenta Karola Tadeusza zostanie ok. połowa kandydatów. I to nie za darmo. Pałac chce, by w zamian za tych 12 Władek zawnioskował o nominacje dla kandydatów prezydenta. W dodatku nie jest to transakcja fifty-fifty. Lista prezydencka liczy mniej niż 10 nazwisk.

Skoro już jesteśmy przy Władku Kosiniaku-Kamaszu, to nie możemy nie zauważyć, że kręci się wokół niego niejaki Siewiera. Obu panów łączy medyczne wykształcenie. Siewiera Jacek ma w dodatku doświadczenie wojskowe, wszak jest nie tylko oficerem Wojska Polskiego, lecz także byłym szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Nasze wiewiórki utrzymują, że chce wychodzić u Władka fuchę szefa wojskowej medycyny na kraj. Tenkraj.

Zentuzjazmem przyjęliśmy propozycję rządu Kołalicji Łobywatelskiej, żeby wreszcie podnieść podatki. Nareszcie! I to w dodatku komu – największym darmozjadom i leniom: fryzjerom, kosmetyczkom, zegarmistrzom, krawcowym, pralniom, a nawet nianiom. Słusznie! Dość tego dojenia państwa! Przez takich jak wy brakuje potem pieniędzy na oddłużanie tych wszystkich szpitali, w których pracował Dawid Kacprzyk!

Na koniec trochę lajfstajlu. Byliśmy w Krakówku i widzieliśmy słynne Porsche Andrzeja Sebastiana. Można powiedzieć, że była osoba głowy państwa chce się upodobnić do reszty społeczeństwa. Otóż autko liczy sobie 13 lat, czyli nieznacznie mniej niż przeciętny samochód jeżdżący po polskich szosach. Nasz znajomy mechanik pochwalił wybór prezydenta. – Boxster S to ostatni model, w którym można jeszcze czerpać przyjemność z jazdy za rozsądną cenę – mówi. ©℗

eprasa.pl 3d3726ab61

Czy grożą nam trzecia wojna światowa i MAD?





Adam Wielomski

Zamiast dwóch wielkich graczy z okresu zimnej wojny nagle mamy ich czterech, przy czym gracz europejski jest kompletnie nieprzewidywalny, gdyż tworzy go wiele państw i rządów. Czy w tej mozaice ryzyko globalnego konfliktu i użycia broni jądrowej jest realne?

Sytuacja międzynarodowa jest dziś na tyle poważna, że coraz częściej zadawane jest tytułowe pytanie, czy grozi nam trzecia wojna światowa. Często pojawiają się ni to pytania, ni to stwierdzenia, że właściwie już wybuchła i się toczy. Prawdę mówiąc, to te pytania/stwierdzenia wynikają z problemu ze zdefiniowaniem „trzeciej wojny światowej", gdyż każdy co innego sobie pod tym pojęciem wyobraża.

JAK WYGLĄDAŁABY TRZECIA WOJNA?

Cechami charakterystycznymi pierwszej i drugiej wojny światowej były ich niezwykle brutalny przebieg, wielkie i bezpośrednie zaangażowanie mocarstw, totalna mobilizacja zasobów ludzkich i ekonomicznych. Były to wojny totalne, gdzie nie zawsze odróżniano żołnierzy od cywilów, a prowadzone były z zaangażowaniem wszelkich możliwości technologicznych.

O zwycięstwie w nich koalicji antyniemieckich zadecydowały dwa czynniki: przewaga demograficzna, wiążąca się z możliwością zrekrutowania o wiele większej liczby żołnierzy, i przewaga produkcyjna. Przypomnę, że w pierwszej wojnie światowej Państwa Centralne zdołały zmobilizować ok. 25 mln, a ententa ok. 43 mln żołnierzy. W drugiej wojnie światowej Niemcy i ich sojusznicy zmobilizowali ok. 32 mln żołnierzy, a koalicja antyhitlerowska ok. 70 mln. W pierwszym konflikcie Państwa Centralne wyprodukowały ok. 90 mln ton stali, a ententa ok. 175. W drugiej wojnie światowej te proporcje wyniosły odpowiednio 730 do 225 mln ton.

Gdybyśmy te pojęcia wojny totalnej przenieśli na współczesny konflikt USA wespół z NATO, Japonią, Koreą Południową i Australią przeciwko Chinom, Rosji, Iranowi i Korei Północnej, to po ludzkości nie byłoby czego zbierać.

Oczywiście ewentualna trzecia wojna światowa zaczęłaby się od klasycznego konfliktu konwencjonalnego. Mamy sygnał ostrzegawczy, aby zorientować się, że konflikt taki jest na horyzoncie. Jest nim wprost ogłoszona powszechna mobilizacja rezerwistów. Zwracam na ten element uwagę, ponieważ w polskich mediach zbyt pochopnie używa się pojęcia „wojny pełnoskalowej", choćby po to, aby tak określać tę, która toczy się obecnie na Ukrainie. Tak, Kijów toczy wojnę pełnoskalową, powołując pod broń, kogo tylko może, i wyłapując swoich obywateli na ulicach i w autobusach, ponieważ brakuje mu żołnierzy. Jednak z punktu widzenia Rosji wojna nie jest pełnoskalowa, gdyż Putin cały czas walczy wyłącznie najemnikami, a nie rezerwistami. Był taki moment, gdy po kontrofensywie ukraińskiej w obwodach charkowskim i chersońskim powołano pod broń 300 tys. rezerwistów, lecz ci już zdążyli wrócić do domu. Brak powołania pod broń rezerwistów świadczy, że na razie wielka wojna z Zachodem nie jest w najbliższych planach Kremla. Podobnie jest w Europie Zachodniej, gdzie wciąż

eprasa.pl 3d3726ab61


FOT. ADOBE STOCK

się dyskutuje o poborze, lecz nikt nie śmie go wprowadzić, bojąc się katastrofy w najbliższych wyborach.

Gdyby do trzeciej wojny światowej miało dojść, to powszechna mobilizacja będzie jej uprzedzającym sygnałem. Podobnie było zresztą w latach 1914 i 1939. Gdyby już ta wojna wybuchła, to konflikt byłby bardzo trudny i krwawy, nie przynosząc większych zysków terenowych z powodu „dronizacji" współczesnych wojen. Druga wojna światowa i późniejsze konflikty zbrojne przyzwyczaiły nas do wielkich i przełamujących front ataków pancernych. Tych jednak nie będzie, gdyż na froncie ukraińsko-rosyjskim drony sieją spustoszenie pośród czołgów, bojowych wozów piechoty i transporterów opancerzonych, praktycznie czyniąc siły pancerne nieprzydatnymi.

Z kolei rakietowe systemy przeciwlotnicze dziesiątkują samoloty. W tej sytuacji zostają okopy i ich mozolne zdobywanie, niczym w pierwszej wojnie światowej. Wiedzą to już rosyjscy generałowie, którzy nie mogą skorzystać ze swojej przewagi pancernej i lotniczej, tak jakby tego chcieli. Wiedzą to już generałowie amerykańscy i dlatego jak ognia boją się operacji lądowej w Iranie, choć tutaj i tak mają prościej, gdyż Persom brak rakietowych systemów przeciwlotniczych, ale pewnie wkrótce kupią je w Chinach lub Rosji i nauczą się ich obsługi.

Trzecia wojna światowa byłaby wojną na wyczerpanie i wygrałby ją ten, kto dałby radę zmobilizować więcej żołnierzy i czyja gospodarka dłużej wytrzyma obciążenie, o ile będzie miała dostęp do koniecznych surowców. Konflikt w okopach mógłby trwać nawet dekadę. Co gorsza, wcześniej czy później strona przegrywająca w akcie desperacji mogłaby użyć broni nuklearnej, co spotkałoby się z podobną reakcją drugiej strony. Doszłoby wówczas do sytuacji określanej w nauce amerykańskiej jako „wzajemne oczywiste unicestwienie" (tzw. MAD, skrót od ang. Mutually Assured Destruction). Prawdopodobieństwo takiego zakończenia wojny, a przy okazji i historii gatunku *Homo sapiens,* rośnie wraz z użyciem AI do planowania wojennego i podejmowania decyzji, gdyż sztuczna inteligencja nastawiona jest na szybkie osiąganie założonych celów i pozbawiona elementarnych ludzkich uczuć i moralnych limitacji naszego działania. Znakomicie pokazuje to sposób prowadzenia wojny przez armię izraelską w Gazie, gdzie AI wyznacza cele uderzeń rakietowych.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że wszystkie strony ewentualnej trzeciej wojny światowej panicznie boją się MAD. Tylko obawa przed MAD spowodowała, że zimna wojna nie przemieniła się nigdy w gorącą. Paradoksalnie to wizja grzybów atomowych zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki spowodowała, że w latach 1945–1989 nie doszło do trzeciej wojny światowej. Ta obawa jest dziś tak samo żywa pośród sztabowców i polityków, gdyż w takiej wojnie nie byłoby zwycięzcy, może poza garstką przywódców, którzy „wygraliby" wojnę, siedząc w bunkrach przeciwatomowych ze świadomością, że za swojego życia ich nie opuszczą.

ZASTĘPCZA TRZECIA WOJNA ŚWIATOWA

Czy możemy zatem odetchnąć z ulgą i orzec, że trzecia wojna światowa nam nie grozi? Nie, gdyż ona toczy się na naszych oczach, tylko w postaci tzw. wojen zastępczych (ang. proxy wars). Zjawisko to upowszechniło się już w trakcie zimnej wojny, gdy bojąc się MAD, Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki toczyły ze sobą wojny zastępcze. Obydwie strony uznały, że może dojść do eskalacji nuklearnej, gdy tylko zaczną do siebie strzelać bezpośrednio żołnierze NATO i Układu Warszawskiego, a prawdopodobieństwo wzrosłoby jeszcze, gdyby strzelali do siebie żołnierze amerykańscy i sowieccy. Wojny muszą się zatem toczyć tak, aby do takiej sytuacji nie doszło. Jak tego uniknąć?

Aby nie doszło do bezpośredniej konfrontacji armii głównych antagonistów, w sposób domniemany przyjęto „zasadę konstytucyjną", że nie można wysyłać swoich żołnierzy na teren państwa, gdzie w walkach biorą już udział żołnierze drugiego bloku. Gdy zatem Amerykanie walczą w Wietnamie, to nie można tam wysłać krasnoarmistów; gdy zaś Rosjanie tłumią powstanie w Budapeszcie lub walczą w Afganistanie, to nie można tam wysłać marines. Zasada ta dalej obowiązuje. Dlatego Joe Biden nie chciał słyszeć o wysłaniu amerykańskich żołnierzy na Ukrainę, a Putin i Xi Jinping o wysłaniu swoich do Iranu w czasie amerykańskich ataków.

Tej prostej zasady nie rozumieją niekompetentni amatorzy w dziedzinie stosunków międzynarodowych, tacy jak Ursula von der Leyen, Kaja Kallas i przywódcy zachodnioeuropejskiej tzw. koalicji chętnych, dążący do wysłania na Ukrainę wojsk państw należących do NATO. Na szczęście ich niekompetencji towarzyszy tchórzostwo i nie decydują się na wysłanie własnych wojsk bez „gwarancji" wsparcia Stanów Zjednoczonych. Te zaś, posiadając bardziej racjonalnych i mniej zacietrzewionych dyplomatów, nie chcą o tym słyszeć, rozumiejąc niebezpieczeństwo eskalacji lokalnego konfliktu do MAD.

Proxy war polega na tym, że wspiera się drugą stronę propagandowo, bronią, zaopatrzeniem, wywiadowczo i doradcami wojskowymi trzymanymi z dala od linii frontu. W czasie wojny koreańskiej piloci sowieccy obsługiwali samoloty komunistycznej Korei. Amerykanie szybko się zorientowali, gdyż zauważyli, że północnokoreańskie MiG-15 nigdy nie podlatują w pobliże linii frontu, aby w razie ich zestrzelenia pilot nie dostał się do niewoli. Dziś wielu przypuszcza, że na początku wojny na Ukrainie zachodni specjaliści obsługiwali (obsługują nadal?) specjalistyczną zachodnią broń rakietową i systemy radarowe. Oczywiście

eprasa.pl 3d3726ab61

z dala od linii frontu. Niewykluczone, że irańskie systemy radarowe są obsługiwane przez Rosjan lub Chińczyków, biorąc pod uwagę fakt, że Iran również mógł nie zdążyć przeszkolić własnego personelu do dostarczanego mu sprzętu.

W proxy war na linii frontu gdzieś na afrykańskiej sawannie mogą spotkać się rosyjscy najemnicy z Grupy Wagnera z amerykańskimi najemnikami z Blackwater czy Triple Canopy, lecz mowa tutaj o osobach prywatnych i ich prywatnych czynach. Podobnie jest z kilkoma amerykańskimi najemnikami wziętymi do niewoli przez Rosjan na Ukrainie. Nie walczyli pod amerykańską flagą i nie reprezentowali swoich państw. W toczącej się na naszych oczach trzeciej wojnie światowej dominują jednak państwa. Federacja Rosyjska uderzyła w 2022 r. na Ukrainę, a USA uderzyły w 2026 r. na Wenezuelę i (wraz z armią izraelską) na Iran. Jeśli dojdzie do konfrontacji wokół Tajwanu i na Morzu Południowochińskim, to też byłby to konflikt państw.

FRONTY I KOALICJE TRZECIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

Różnica między zimną wojną a dzisiejszym konfliktem Północ – Południe polega na tym, że w poprzednim konflikcie grożącym wybuchem trzeciej wojny światowej był jasny podział na „my" i „oni". Był to pakt północnoatlantycki przeciwko Układowi Warszawskiemu. Jednemu układowi przewodziły USA, a drugiemu ZSRS. Dziś system sojuszów nie jest wcale taki oczywisty, gdyż głównych graczy jest aż czterech. Po stronie Globalnej Północy mamy Stany Zjednoczone i Europę Zachodnią (Unia Europejska plus Wielka Brytania), a po stronie Globalnego Południa – Federację Rosyjską i Chińską Republikę Ludową. Przenosząc schematy z zimnej wojny, z góry zakładamy, że wojnę tę toczyć będzie świat „euroatlantycki" przeciwko „Azji". Tak jednak być wcale nie musi. Dlaczego?

Administracja Donalda Trumpa uważa Europę Zachodnią za kulę u nogi. Europejczycy szukają bowiem paliwa na zjednoczenie kontynentu za pomocą napędzania konfliktu z Rosją i szukają własnej tożsamości w zwarciu z nią. Równocześnie panicznie się tej Rosji boją (mieszanka strachu i pogardy). Prężąc muskuły, równocześnie patrzą, jak zaangażować w swój konflikt na Ukrainie Amerykanów. Widząc europejski balast militarno-polityczny, Trump chciałby doprowadzić do pokoju na Ukrainie i między Europą Zachodnią a Rosją, licząc przy okazji, że w ten sposób zjedna Putina przeciwko Chinom, a przynajmniej rozluźni ten sojusz (tzw. odwrócony Kissinger).

Z kolei Europejczycy nie chcą brać udziału w amerykańskich wojnach w obronie Państwa Izrael przeciwko Iranowi, nie widząc tutaj żadnych dla siebie korzyści. Doprowadziło to do ewidentnego rozluźnienia więzi „transatlantyckich" i nie zmienią tego faktu żadne konferencje podkreślające jedność NATO na szczycie w Ankarze, które zresztą Trump zdezawuował swoimi wpisami w mediach społecznościowych jeszcze w drodze powrotnej.

W dodatku Europejczycy sami z sobą nie mogą się zgodzić w polityce wobec Chin. Gdy Komisja Europejska prze do konfrontacji na tle ideologicznym (prawa człowieka!), to takie państwa jak Francja widzą w Pekinie możliwości znakomitej współpracy handlowej i równoważenia potęgi USA. Podobnie jest z blokiem azjatyckim, którego paliwem powstania była błędna polityka administracji Bidena dociskania równocześnie Rosji i Chin. Jednak czy w razie militarnej porażki Rosji w Europie Chiny zdecydowałyby się na interwencję zbrojną w jej obronie? Podobnie nie wiemy, czy Rosja wysłałaby swoją flotę do walki o Tajwan, gdyby była taka potrzeba.

Jak widzimy, sytuacja wielce się komplikuje, gdy zamiast dwóch wielkich graczy z okresu zimnej wojny nagle mamy ich czterech, przy czym gracz europejski jest kompletnie nieprzewidywalny, gdyż tworzy go wiele państw i rządów. W tej sytuacji możemy co najwyżej wskazać na linię sporów pomiędzy Globalną Północą i Globalnym Południem.

I tak w Europie Wschodniej mamy spór pomiędzy Rosją i Europą Zachodnią o wytyczenie granic wpływów. Rosja domaga się powstania i utrzymania linii „państw tamponów" (jak mawiają Francuzi zamiast pojęcia „strefa buforowa"), złożonej z zaprzyjaźnionej z Rosją Białorusi i przymusowo neutralnej Ukrainy, w dodatku pomniejszonej o tzw. Nowo-rosję, czyli obszary zamieszkane przez etnicznych Rosjan i rusofonów. W przypadku byłych państw komunistycznych Moskwa domaga się od Waszyngtonu, aby nie były tam rozmieszczane na stałe wojska USA, tak jak obiecano to jeszcze Michaiłowi Gorbaczowowi (tzw. ultimatum Ławrowa, zwane w Rosji ultimatum Putina). Wydaje się, że Trump gotów byłby na te warunki przystać, lecz resztki lojalności wobec członków NATO powstrzymują go przed tą decyzją i stara się doprowadzić do trwałego pokoju w naszej części Europy, kosztem Ukrainy, co Europa jak może, torpeduje, próbując zaangażować USA w wojnę ukraińską i swój konflikt z Rosją.

Na Bliskim Wschodzie trwa spór popierających mocarstwowe ambicje Państwa Izrael Stanów Zjednoczonych z koalicją Chin i Rosji popierających Iran, aby to z tego państwa uczynić mocarstwo regionalne, panujące nad cieśniną Ormuz. W konflikcie mamy jeszcze Turcję, oscylującą między NATO, którego teoretycznie nadal jest członkiem, a Rosją i Chinami. Sytuacja jest tutaj znacznie bardziej skomplikowana niż w konflikcie ukraińskim z powodu wielości graczy i ich sprzecznych interesów. W dodatku Państwo Izrael wydaje się mieć mocno szaloną ekipę rządzącą, potencjalnie zdolną do użycia broni nuklearnej.

Wreszcie mamy spór Chin ze Stanami Zjednoczonymi o Tajwan i Morze Południowochińskie, którego stawką jest ewentualne przekształcenie Chin z potęgi lądowej w potęgę lądowo-morską i ich wyjście na Pacyfik w celu zanegowania amerykańskiej dominacji. Jakkolwiek aż do tej pory jest to ta część świata, w której nie doszło jeszcze do wybuchu proxy war znamionującej trzecią wojnę światową, to w rzeczywistości jest to punkt najbardziej zapalny, gdyż żołnierze amerykańscy stacjonują bezpośrednio na Filipinach biorących udział w sporze z Chinami o rozgraniczenie wód terytorialnych. Największą niewiadomą jest zaś zachowanie USA wobec ewentualnej chińskiej inwazji na Tajwan. W razie takiego zdarzenia przebywających tam ok. 500 amerykańskich doradców nie miałoby możliwości ewakuacji i mogłoby się dostać do niewoli. Poza tym Bóg jeden raczy wiedzieć, czy Amerykanie broniliby zbrojnie Tajwanu. W takim przypadku żołnierz chiński i amerykański strzelaliby do siebie. To zaś grozi tzw. drabiną eskalacyjną, na końcu której jest MAD.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3d3726ab61

Niebezpieczny koktajl



Michał Krupa

Nawet drobny błąd w danych może wywołać lawinę niebezpiecznych decyzji. Historia zimnej wojny pokazuje, jak często dochodziło do fałszywych alarmów (np. stada gęsi brane za sowieckie rakiety). Wtedy decydowali ludzie i mieli więcej czasu. Dzisiaj sztuczna inteligencja (AI) dramatycznie skraca czas reakcji

Wojny na Ukrainie i w Iranie weszły w połowie 2026 r. w niebezpieczne nowe fazy. Ataki dronów i pocisków dalekiego zasięgu w głąb terytorium Rosji, w połączeniu ze wznowionymi amerykańskimi uderzeniami na Iran, znacznie zaostrzyły napięcia globalne. Sytuację pogarsza dodatkowo trwająca integracja systemów sztucznej inteligencji z systemami dowodzenia nuklearnego, co skraca czas podejmowania decyzji i zwiększa pokusę działań wyprzedzających. Przy zablokowanej dyplomacji i technologii potencjalnie ułatwiającej działania prewencyjne ryzyko trzeciej wojny światowej stało się bardziej realne niż kiedykolwiek od czasów zimnej wojny.

Na Ukrainie konflikt – trwający już piąty rok – przeszedł z walki pozycyjnej w Donbasie do kampanii uderzeń dalekiego zasięgu. 17 czerwca br. ukraińskie siły przeprowadziły największy atak powietrzny wojny na Moskwę, wykorzystując ok. 550 dronów i pocisków. Jeden z nich spowodował, w wyniku uderzenia rosyjskiej rakiety przechwytującej, spektakularną eksplozję w rafinerii ropy naftowej w Kapotni, a był to już trzeci taki atak na ten obiekt w ciągu miesiąca. Kilka dni później, 20 czerwca, Ukraina uderzyła w rafinerię Antipinski w Tiumeniu, ponad 1,2 tys. km od linii frontu, a także w terminal naftowy w Kerczu na Krymie. Kolejne ataki nastąpiły na rafinerie w Krasnodarze i Jarosławiu. Operacje te stanowią znaczącą eskalację ukraińskich zdolności do uderzeń w głąb terytorium przeciwnika, choć przez wielu analityków postrzegane są jako wyraz desperacji Ukraińców, niebędących w stanie przełamać rosyjskiej ofensywy w Donbasie. Rosyjskie siły odpowiedziały uderzeniami w Dniepropietrowsk, Zaporoże i kluczowe centra logistyczno-produkcyjne w Kijowie. Prezydent Władimir Putin bagatelizował szkody w infrastrukturze rosyjskiej, stwierdzając, że takie ataki „nie mają absolutnie żadnego wpływu na sytuację na froncie, na linii kontaktu".

ZAWIEDZIONE ZACHODNIE NADZIEJE

Schemat ten wpisuje się w szerszą dynamikę obserwowaną przez cały czas trwania wojny. Każdej ukraińskiej eskalacji – czy to letniej kontrofensywie z 2023 r., ofensywie w Kursku w 2024 r., czy rozszerzonemu użyciu dronów i pocisków dalekiego zasięgu – towarzyszyły zachodnie nadzieje, że kolejna zdolność okaże się decydująca. Rosja za każdym razem się adaptowała, stabilizując linie i utrzymując powolne, lecz systematyczne postępy w Donbasie. Ukraińskie morale podtrzymywane było kolejnymi oczekiwaniami na „cudowną broń" lub polityczny przełom, mimo że rzeczywistość na polu walki sprzyja rosyjskiej wojnie na wyczerpanie.

Tymczasem Wołodymyr Zełenski stoi w obliczu narastającej presji, która wynika ze: spadku silnego wsparcia ze strony USA za drugiej kadencji Donalda Trumpa, zrujnowanej gospodarki, kurczącej się populacji i ciężkich strat w ludziach. Nasilona kampania dronowa wydaje się mieć na celu umocnienie pozostałego poparcia wśród jastrzębi wojennych w Waszyngtonie oraz europejskich liderów, takich jak kanclerz Niemiec Friedrich Merz.

Jednak te uderzenia przypominają historycznie nieskuteczne taktyki z końcowej fazy wojen. Ataki rakiet V-2 nazistowskich Niemiec na Londyn czy japońskie ataki kamikaze na amerykańską marynarkę w latach 1944–1945 siały zniszczenie i terror, ale nie zmieniły strategicznej trajektorii wojny.

Podobnie spektakularne sceny płonących rosyjskich rafinerii szkodzą moskiewskiej gospodarce, lecz nie odwróciły stopniowych rosyjskich zdobyczy w Donbasie, gdzie de facto toczy się decydująca walka. Chociaż w niektórych kręgach rosyjskich widoczne jest zmęczenie wojną, to głosy bliskie Kremlowi stały się bardziej asertywne. Siergiej Karaganow, honorowy szef Rady Polityki Zagranicznej i Obronnej Kremla, wielokrotnie wzywał do rozważenia uderzeń nuklearnych na Europę w celu „przywrócenia odstraszania". Minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow zapowiedział odwet „na masową skalę" i stwierdził, że „obecna sytuacja niesie poważne zagrożenie dla globalnego bezpieczeństwa, ponieważ bezpośrednie starcie między NATO a Rosją może szybko przerodzić się w wymianę uderzeń nuklearnych o katastrofalnych skutkach".

eprasa.pl 3d3726ab61



Wojna zastępcza na Ukrainie przebiega ciągle według spójnej logiki eskalacyjnej. Wczesne zachodnie wsparcie dla Ukrainy po zmianie reżimu w Kijowie w 2014 r. oraz polityka otwartych drzwi NATO przekroczyły kluczową czerwoną linię Rosji, a jej inwazja w 2022 r. była jedynie wyegzekwowaniem tej linii przez Kreml. Kolejne ukraińskie inicjatywy na polu walki, umożliwione przez zachodnią broń i wywiad, testowały dalsze rosyjskie progi. Operacja w Kursku odwróciła ukraińskie siły od kluczowego frontu donbaskiego, nie zmuszając jednak Rosji do osłabienia głównego wysiłku. Zniesienie ograniczeń dotyczących uderzeń dalekiego zasięgu w głąb Rosji skłoniło Putina do oświadczenia, że takie ataki, zależne wszak od danych wywiadowczych NATO (głównie USA), oznaczają, iż „kraje NATO są już w stanie wojny z Rosją" i że „zmieni to samą istotę, sam charakter konfliktu". Rosja odpowiedziała nowym hipersonicznym pociskiem Oresznik.

Najnowsza ukraińska kampania dronowa w głąb rosyjskiego terytorium oraz groźby wobec Białorusi (w związku z rzekomymi stacjami przekaźnikowymi wspomagającymi rosyjskie drony) oraz obawy dotyczące przestrzeni powietrznej państw bałtyckich podniosły stawkę. Putin ostrzegł, że Rosja będzie traktować ukraińskie miejsca startu dronów jako cele uprawnione, „nawet jeśli będą działać z terytoriów państw bałtyckich" – członków NATO. Tymczasem uderzenia w ukraińskie centra dowodzenia i kontroli, w których przebywają oficerowie NATO, niosą ciągle ryzyko bezpośredniego zaangażowania sojuszu.

Każdy poprzedni krok sponsorów Ukrainy uzasadniano nadzieją, że Putin blefuje lub że kolejna presja wymusi przełom. Historia pokazuje coś przeciwnego: Rosja egzekwowała kluczowe czerwone linie, gdy były przekraczane. Obecnie pozostaje jedynie otwarte pytanie o to, czy Moskwa liczy na dalsze turbulencje polityczne w Europie, które same rozwiążą problem dalszego wspierania Kijowa przez Unię Europejską czy też zechce przystąpić do jawnej demonstracji siły wobec któregoś z państw członkowskich.

NOWE TRENDY TECHNOLOGICZNE

Wojna w Iranie dodała kolejny punkt zapalny do tego tragicznego obrazu obecnej sytuacji światowej i jednocześnie, w jakiejś mierze, stała się katalizatorem nowych trendów technologicznych w USA, związanych, rzecz jasna, ze sztuczną inteligencją.

Obserwatorzy wojskowi z różnych stron początkowo chwalili precyzję operacji „Epic Fury" opartej na dobrym materiale wywiadowczym. Jednak te same zaawansowane systemy wywiadowcze i precyzyjnego namierzania celów, coraz silniej wspomagane sztuczną inteligencją, są teraz włączane do systemów związanych z bronią nuklearną. To poważna zmiana. Przesuwa ona myślenie o eskalacji w kierunku tzw. doktryny przedwystrzeleniowej (ang. left of launch). Zamiast skupiać się wyłącznie na obronie po wystrzeleniu pocisku, Amerykanie chcą działać wcześniej, czyli niszczyć lub dezaktywować siły nuklearne przeciwnika, zanim w ogóle zdążą wystartować. Pojęcie „left of launch" pojawiło się w dokumentach amerykańskich sił zbrojnych już w 2014 r. Początkowo chodziło o niekinetyczne metody obrony przeciwrakietowej (np. cyberataki czy sabotaż). Z czasem doktryna się rozrosła, zaczęto do niej włączać także uderzenia kinetyczne. Krytycy wskazują, że w ten sposób ofensywne zdolności są przedstawiane jako „obronne", co zaciera granice tradycyjnego odstraszania i może skłonić przeciwników (Rosję czy Chiny) do myślenia, że USA przygotowują się do pierwszego uderzenia.

Sztuczna inteligencja mocno przyspiesza ten proces. Firmy takie jak Rhombus, którym doradza m.in. emerytowany gen. Stanley McChrystal, zdobywają ogromne kontrakty rządowe. Tworzą platformy AI, które analizują gigantyczne ilości danych i mają przewidywać ruchy przeciwnika z wysoką dokładnością. Choć zwolennicy twierdzą, że AI po prostu „wyjaśnia obraz sytuacji", to integracja tej technologii z systemami dowodzenia i kontroli nuklearnej (NC3) budzi coraz większe obawy. Emerytowany generał John N.T. Shanahan, były szef centrum AI w Pentagonie,

eprasa.pl 3d3726ab61



Czarny dym nad położoną na przedmieściach Moskwy rafinerią należącą do koncernu Gazprom Neft, która została zaatakowana przez ukraińskie drony, 18 czerwca 2026 r.
FOT. AFP/EAST NEWS

ostrzega, że efektem może być doprowadzenie do sytuacji uderzenia „na wszelki wypadek". Jak twierdzi: „Jednym ze szczególnie destabilizujących scenariuszy jest powszechne zastosowanie sztucznej inteligencji do wykrywania i ciągłego monitorowania lądowych, morskich oraz powietrznych sił nuklearnych innych państw. Jeśli przeciwnik również wdroży takie systemy oparte na AI, to może to podważyć zaufanie do zdolności skutecznego odwetu. Ta utrata pewności z kolei zwiększa pokusę uderzenia wyprzedzającego, osłabia logikę odstraszania i destabilizuje równowagę strategiczną. Problem staje się jeszcze groźniejszy, gdy tego typu technologie inwigilacji i śledzenia są połączone z automatyką decyzyjną lub procesem odpalania broni wspomaganymi przez AI. W kryzysie dramatycznie rośnie wtedy ryzyko pierwszego uderzenia".

Nawet drobny błąd w danych może wywołać lawinę niebezpiecznych decyzji. Historia zimnej wojny pokazuje, jak często dochodziło do fałszywych alarmów (np. stada gęsi brane za sowieckie rakiety). Wtedy decydowali ludzie i mieli więcej czasu. Dziś AI dramatycznie skraca ten czas reakcji. Przykładem jest program prezydenta Donalda Trumpa „Golden Dome", ogromna sieć satelitów, broni laserowej i antyrakiet, warta setki miliardów dolarów. Oficjalnie ma chronić USA, ale obejmuje także działania „przed wystrzeleniem". Rosja i Chiny ostro skrytykowały ten projekt, widząc w nim początek nowego wyścigu zbrojeń. W Kongresie pojawiają się wprawdzie próby uregulowania tej kwestii (np. wymóg „człowieka w pętli decyzyjnej"), ale na razie są one zbyt słabe, by powstrzymać pęd ku potencjalnie coraz szybszej i bardziej zautomatyzowanej wojnie nuklearnej.

Jak konstatował Daniel Boguslaw na łamach portalu The New Republic: „Gdy zdolności »przedwystrzeleniowe« są coraz ściślej zintegrowane ze sztuczną inteligencją, czas na reakcję może się dramatycznie skrócić. Okno na deeskalacyjne rozmowy telefoniczne i pilne spotkania także się zawęża. Zarówno Stany Zjednoczone, jak i ich przeciwnicy będą mieli dostęp do ogromnych strumieni danych z satelitów, z mediów społecznościowych, przechwyconych wewnętrznych komunikatów wroga, a nawet profili psychologicznych – wszystko to połączone w jeden ogłuszający, pulsujący alarm. Być może ta technologia naprawdę nas zabezpieczy, umożliwiając uderzenie wyprzedzające lub cyberatak, który zapobiegnie lub osłabi przyszłe wrogie wystrzelenie. A może nie".

DLACZEGO ZAŻEGNANO KRYZYS KUBAŃSKI

Zaostrzający się konflikt na Ukrainie, połączony z desperackimi działaniami administracji Trumpa w Iranie, której negatywny wpływ na amerykańską gospodarkę pogłębia się z każdym tygodniem, tworzy coraz bardziej wybuchową mieszankę. W tym samym czasie nieubłagany wyścig ku „AI-izacji" domeny nuklearnej dramatycznie skraca czas reakcji i zaciera granice między obroną a uderzeniem wyprzedzającym. Gdy do tego dochodzą rosnąca desperacja Zełenskiego, twarda postawa Moskwy oraz ryzyko bezpośredniego starcia NATO z Rosją, margines błędu kurczy się w niebezpiecznym tempie. Jak zauważa Annie Jacobsen w książce „Nuclear War: A Scenario", „[...] to właśnie oszałamiająca prędkość, z którą okręty podwodne mogą wystrzelić broń nuklearną i uderzyć w wiele celów niemal jednocześnie, czyni z nich służebnice apokalipsy". Dziś sztuczna inteligencja staje się ich bliźniaczką, nową, jeszcze szybszą służebnicą apokalipsy, gotową w ułamku sekundy pchnąć świat ku krawędzi.

Uderzenia w ukraińskie centra dowodzenia i kontroli, w których przebywają oficerowie NATO, niosą ciągle ryzyko bezpośredniego zaangażowania sojuszu. Każdy poprzedni krok sponsorów Ukrainy uzasadniano nadzieją, że Putin blefuje lub że kolejna presja wymusi przełom. Historia pokazuje coś przeciwnego

Nie będzie przesadą twierdzenie, że ten niebezpieczny koktajl – ukraińska desperacja, irański impas, gospodarcza presja i wdrażana ochoczo automatyzacja arsenału nuklearnego – czyni ryzyko niekontrolowanej wymiany nuklearnej realniejsze niż kiedykolwiek od przynajmniej czasów kryzysu kubańskiego. Tamten kryzys udało się zażegnać nie dzięki zimnym kalkulacjom maszyn, lecz dzięki inteligencji żyjących ludzi – ludzi obdarzonych duszami, empatią i świadomością wspólnego losu. Albowiem, jak przypominał prezydent John F. Kennedy w przemówieniu z 10 czerwca 1963 r. kilka miesięcy przed swoją tragiczną śmiercią: „W ostatecznym rozrachunku naszym najbardziej fundamentalnym wspólnym mianownikiem jest to, że wszyscy żyjemy na tej małej planecie. Wszyscy oddychamy tym samym powietrzem. Wszyscy troszczymy się o przyszłość naszych dzieci. I wszyscy jesteśmy śmiertelni".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3d3726ab61

ESKALACJA NA BLISKIM WSCHODZIE. ROPA ZNÓW ZDROŻAŁA

Jemeńscy rebelianci Huti (na zdjęciu demonstracja ich zwolenników z 17 lipca w stolicy Jemenu – Sanie) przyłączyli się do wojny toczonej przez Iran ze Stanami Zjednoczonymi i Izraelem. W ubiegłym tygodniu ogłosili blokadę morską dla statków Arabii Saudyjskiej, po czym zaatakowali na Morzu Czerwonym dwa saudyjskie tankowce.

Konsekwencje blokady strategicznej cieśniny Bab al-Mandab odczuje cała światowa gospodarka. Jej zamknięcie dla globalnej żeglugi mogłoby bowiem zmusić statki do opływania Afryki, co zarówno mocno zwiększyłoby koszty transportu, jak i wydłużyło jego czas. W reakcji na rosnące napięcia w regionie cena ropy Brent błyskawicznie przekroczyła 100 dol. za baryłkę.

Gdy w piątek zamykaliśmy to wydanie tygodnika „Do Rzeczy", irańskie media informowały, że w 13. z rzędu noc amerykańskich nalotów zginęły co najmniej cztery osoby. Amerykańska armia sięgnęła w ubiegłym tygodniu po ciężki bombowiec strategiczny dalekiego zasięgu B-1 – mogący przenosić do 24 bomb o wadze przekraczającej 900 kg lub dziesiątki pocisków manewrujących – co jasno wskazuje na eskalację konfliktu. Donald Trump zapowiedział zaś, że rozważa „zmasowany atak" na Iran, a uderzenie będzie „większe niż kiedykolwiek wcześniej". Mimo ogromnej przewagi technologicznej USA wydają się jednak nie mieć recepty na zakończenie kryzysu. Amerykańskie służby wywiadowcze analizują również, czy Rosja udziela Iranowi wsparcia przy przeprowadzanych atakach dronowych na obiekty Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA) w rejonie Zatoki Perskiej – podały zachodnie media, powołując się na anonimowych informatorów. Chodzi zarówno o informacje wywiadowcze, jak i o wsparcie techniczne, które pozwoliły na przeprowadzenie precyzyjnych i skutecznych ataków. Według Reutersa w marcu zaatakowano co najmniej dwa obiekty CIA. Spekulacje na temat pomocy Moskwy dla Teheranu nasiliły się po lipcowych atakach Iranu na amerykańską bazę w Jordanii. Zginęło w nich trzech żołnierzy USA. ***(jap)*** ©℗

FOT. OSAMAH ABDULRAHMAN/AP/EAST NEWS

e-prasa.pl 30372cab6d


كل منشآتكم النفطية
والحيوية السعودية
لصواريخنا وطائراتنا ال

Najostrzejszy zakręt PiS



Piotr Semka

„Harcerze" czują się w Prawie i Sprawiedliwości zagrożeni i niechciani. Z kolei zdaniem „maślarzy" członkowie konkurencyjnej frakcji uważają się za tych lepszych i mądrzejszych. Oto istota sporu

Jarosław Kaczyński wykazał żelazną determinację w ukrócaniu groźby frondy pod wodzą Mateusza Morawieckiego. W odpowiedzi były premier 24 lipca rano ogłosił, że nie chce tworzyć własnej partii, ale też żadnej deklaracji lojalności nie podpisze. Tego samego dnia w południe Kaczyński oświadczył, że podpisania dokumentu odmówiło trzydziestu kilku posłów PiS. Prezes wyraźnie stwierdził: „Jest w jakimś sensie po wszystkim". Dlaczego tym razem Kaczyński zastosował tak twardą linię?

Wydawało się, że w trakcie ostatniego przesilenia w Prawie i Sprawiedliwości w kwietniu br. Jarosław Kaczyński zaakceptował autonomiczną rolę dla Mateusza Morawieckiego wewnątrz swojej partii. Symbolem tej ugody były słynne słowa prezesa o „dwóch płucach PiS". Nie było oczywiście jasne, czy te „dwa płuca" to Przemysław Czarnek i Mateusz Morawiecki czy też chodzi o dwa stowarzyszenia – Rozwój Plus Morawieckiego i Po Pierwsze Polska założone przez Jacka Sasina i skupiające ponad 100 parlamentarzystów PiS. Ale jakiś kruchy kompromis wydawał się faktem. A jednak 15 lipca Kaczyński dość nieoczekiwanie przeforsował na forum prezydium Komitetu Politycznego PiS uchwałę o likwidacji wszystkich stowarzyszeń wewnątrz partii.

Dlaczego do tego doszło? Jak się wydaje, zasadniczą rolę odegrały dwa elementy. Pierwszym czynnikiem mógł być wywiad Mateusza Morawieckiego na podcaście youtubera używającego pseudonimu Żurnalista. Morawiecki, co nie było wcześniej u niego częste, pozwolił sobie na wypowiadanie się na temat Prezesa w wyjątkowo swobodny sposób. Pytany o to, jak prezes PiS odniósł się do stworzenia nowego stowarzyszenia Rozwój Plus, odpowiedział, że odbyło się to po wielogodzinnej rozmowie z Kaczyńskim. Morawiecki zaznaczył z pewną dozą dumy: „Mojej podmiotowości, i podczas tej siedmiogodzinnej rozmowy, i później, nie oddałem i na pewno jej nie oddam". Zagadnięty, jak Kaczyński to przyjął, odpowiedział: „Prezes nie był szczęśliwy z tego powodu, ale polityka jest sztuką realizowania tego, co jest możliwe, i wyrąbywania sobie skutecznego działania w tym twardym środowisku, w którym działamy". Gdy Żurnalista dopytał, czy to było tak, że Morawiecki po raz pierwszy tak twardo się postawił, były premier wyjaśnił: „Nie, nie pierwszy raz. Bywały już wcześniej takie sytuacje. Również w czasie, kiedy byłem premierem". Nigdy wcześniej Morawiecki nie wypowiadał się o Kaczyńskim w tak twardy sposób i w tak wyzywającym stylu – jak ktoś, kto jest współliderem partii.

Drugim czynnikiem, który mógł skłonić Kaczyńskiego do chęci rozstrzygnięcia sporu, były sygnały, że w trakcie swoich spotkań w partyjnych okręgach Morawiecki próbuje kreować lokalnych liderów Rozwój Plus. Trudno orzec, w jakim stopniu by tak było, ale faktem jest, że wielu liderów lokalnych zaczęło skarżyć się na taką politykę Morawieckiego w ich okręgach. A żaden lider lokalny nie boi się niczego tak jak ożywienia swoich lokalnych adwersarzy. Pośrednio podejrzenie to potwierdził sam Kaczyński, mówiąc w wywiadzie udzielonym 17 lipca Michałowi Adamczykowi na Kanale Tak!, że oparciem dla frakcji Morawieckiego stali się działacze silnie związani z nim od czasu rządu, ale dodatkowo ci, którzy zwrócili się ku byłemu premierowi z racji konfliktów regionalnych w lokalnych strukturach PiS.

Każdy, kto obserwuje Kaczyńskiego od lat, wie, że Prezes wyczulony jest na dwie kwestie – zachowywania respektu wobec jego osoby oraz robienia wszystkiego, aby nie dochodziło do wewnętrznych konfliktów w lokalnych strukturach PiS. Bardzo charakterystyczny był też język, którego Kaczyński użył do opisania aktywności Morawieckiego.

„Mateusz Morawiecki to osoba, która zaczęła się tak bardzo koncentrować na sobie, że jej myślenie racjonalne zostało znacznie ograniczone". Polityczny hegemon z Nowogrodzkiej kwaśno zaznaczył też, że Morawiecki odmówił przyjęcia do wiadomości, że „zanim będziemy mieli premiera, najpierw musimy wygrać wybory".

Wywiad Morawieckiego dla Żurnalisty pojawił się w sieci ok. 8 lipca. Ale skargi na łowienie przez morawieccyków swoich ludzi w poszczególnych okręgach PiS miały nadchodzić już od dłuższego czasu. Być może więc obawa Kaczyńskiego o dzielenie partii na dole pojawiła się wcześniej niż wywiad dla Żurnalisty, ale bezpośrednim impulsem do działania mógł być ów materiał, w którym ton Morawieckiego wypowiadającego się o Prezesie zaniepokoił tego ostatniego. Z tego punktu widzenia wybór lipca na przesilenie mógł być jak najbardziej racjonalny. Lepiej takie porządki przeprowadzić w tygodniach urlopowych i wejść w jesień z partią już po takim wewnętrznym katharsis.

PODZIELENI, ALE W JEDNEJ KWESTII ZGODNI

Przez pewien czas wydawało się, że możliwy jest jakiś kompromis, czego demonstracją miało być wspólne uczestnictwo Morawieckiego i Przemysława Czarnka na jednych wiecach. Tak było na wspólnym spotkaniu w Gorzowie Wielkopolskim 8 czerwca. Zarówno Morawiecki, jak i Czarnek podkreślali, że wspólny show miał być demonstracją symbolicznego przecięcia pogłosek o rywalizacji tych obu wiceprezesów PiS. Obaj politycy wyszli na scenę, ściskali sobie dłonie, objęli się i podnieśli ręce w geście zwycięstwa.

Ale odejściem od tego „ducha Gorzowa" był projekt grilla. Gdyby Morawiecki chciał utrzymać pozytywny wizerunek „zgody na górze", to zadbałby, aby Czarnek był

eprasa.pl 3d3726ab61

odpowiednio wyeksponowany na imprezie 31 lipca. Tak się nie stało i były minister edukacji natychmiast poczuł się na nowo zagrożony. Skłoniło go to do bardzo silnego poparcia postulatu rozwiązania wszystkich stowarzyszeń, mimo że choćby z powodów taktycznych mógłby zdystansować się od konfliktu.

„Maślarze" mają swoje racje, kiedy wskazują, że Morawiecki od lat już usiłuje de facto narzucić całej partii swoją sukcesję po Kaczyńskim. A gdy mu się to nie udaje, z punktu widzenia reszty partii gra potencjalną groźbą odejścia z niej i założenia kolejnego klubu w obecnym Sejmie.

Tyle że „maślarze" nie chcą z kolei przyjąć do wiadomości tego, iż „harcerze" mają prawo z kolei ze swej strony uważać się za grupę w PiS, która jest obiektem ciągłych intryg mających na celu wypchnięcie ich z partii. Pogłoska o specjalnej grupie „maślarzy" pod wodzą Elżbiety Witek, monitorującej wszelkie wypowiedzi rywali, aby udowodnić ich plany secesji, brzmiała bardzo wiarygodnie.

Wytworzyło się więc błędne koło. „Harcerze" czują się zagrożeni i niechciani w PiS, więc tym mocniej gromadzą się wokół Morawieckiego, a to z kolei postrzegane jest przez resztę partii jako ekskluzywizm i chęć zaszachowania reszty ugrupowania. Osobnym elementem konfliktu było przekonanie „maślarzy", że grupa Morawieckiego uważa się za tych lepszych i mądrzejszych, którzy mają niejako z definicji licencję na kształtowanie przyszłościowej linii politycznej partii. W tym kontekście wypomina się Morawieckiemu to, że przyszedł z biznesu na gotowe do ukształtowanego już ugrupowania i w naturalny sposób uważa się za delfina czekającego na sukcesję po Kaczyńskim.

Tymczasem – jak wskazywała liczba akcesów do stowarzyszenia Rozwój Plus – morawiecczycy to obecnie góra 40, jeśli nie mniej, posłów w porównaniu z ogólną liczbą 186 posłów PiS w obecnym Sejmie.

Ostatnie dni kryzysu w PiS wykazały jeszcze jedną niezbyt korzystną dla obu grup cechę zachowań. Zdumiewająca była łatwość, z którą zarówno „harcerze", jak i „maślarze" zaczęli obrzucać się złośliwościami na portalu X. Jak się okazuje, dla wielu z nich polityka dzieje się głównie na internetowych forach. Zupełnie zabrakło w PiS kategorii starszych wiekiem i doświadczeniem polityków, którzy mogliby wezwać do ograniczenia wzajemnych ciosów, które z taką lubością podchwycili zarówno politycy koalicji rządowej, jak i rywale na prawicy z obu Konfederacji. Tak jakby między 40-latkami z obu wojujących grup a wielkim Jarosławem Kaczyńskim była jakaś absolutna pustka.

Ale i po stronie zwolenników Morawieckiego dała się zauważyć pewna niepewność w nowej sytuacji. Te solenne deklaracje chęci pozostania w PiS zabrzmiały trochę jak przyznanie się do braku „planu B". I rzeczywiście sondaże, takie jak badanie United Surveys by IBRiS dla Wirtualnej Polski, wykazywały, że założenie, iż dojdzie do secesji morawiecczyków, spowodowało spadek notowań PiS do poziomu 18,9 proc. głosów, ale jednocześnie ujawniło, że potencjalna partia Morawieckiego dostałaby jedynie 6,9 proc. Inny podobny sondaż wskazywał jeszcze słabszy wynik – 6,6 proc. Frakcja „harcerzy" nie zdobyła się więc na wyraźny sygnał: jesteśmy gotowi na przyjęcie ryzyka odejścia i twardej, żmudnej walki o uzyskanie własnego wyniku dla siebie w wyborach.

W chwili, gdy piszę te słowa, nie jest jeszcze jasne, ilu ludzi Morawieckiego ostatecznie odmówi podpisania deklaracji zrzeczenia się członkostwa stowarzyszenia Rozwój Plus i będzie gotowych na odejście lub usunięcie z partii. Wiedzę o liczbie takich „twardych" morawiecczyków ma wyłącznie ich patron. Ale już sam fakt, że Kaczyński odrzucił propozycję Morawieckiego, by spotkać się już w środę 22 lipca, a nie dzień później o godz. 12, gdy pozostanie już tylko 12 godzin manewru do deadline'u wyznaczonego na północ w nocy z 23 na 24 lipca, pokazuje, że to Kaczyński uważa się za gracza posiadającego silniejsze karty. Lider PiS ma świadomość, że w ciągu ostatniego półrocza osłabła siła przetargowa Morawieckiego. Jeszcze pół roku temu w sejmowych kuluarach mówiło się o rozmowach sondażowych wysłanników Morawieckiego z posłami PSL czy Polski 2050 na temat jakiegoś ewentualnego bloku nowej „trzeciej drogi". Dziś partia Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz to polityczna ruina, a prestiż jej liderki jest mocno osłabiony. Z kolei PSL – jak się zdaje – wyraźnie już podjęło decyzję o akcesie do jakiejś przyszłej wspólnej listy koalicji 13 grudnia.

W utwardzeniu stanowiska Kaczyńskiego może też odgrywać rolę przekonanie, że Morawiecki nie ma jakiegoś wyraźnego gotowego elektoratu. Sondaż pracowni SW Research dla dziennika „Rzeczpospolita" wskazuje, że rozpadu PiS oczekuje jedynie 39,7 proc. badanych, co z grubsza odzwierciedla poziom wyników sondażowych partii obecnej koalicji rządowej. Przeciwnego zdania, czyli osób przekonanych, że PiS się nie rozpadnie, jest 33,4 proc. respondentów, co wykracza znacznie poza ostatnie wyniki zwolenników tej partii.

NOWOGRODZKA LOCUTA – CAUSA FINITA

W całej tej układance jest tylko jeden element niepewności. Kaczyński zawsze miał spory kapitał sympatii do Morawieckiego i uznania dla niego. Może więc chcieć uniknięcia ostatecznego rozstania ze swoim byłym premierem. Ale w tej decyzji będzie musiał zważyć na szali swoje osobiste sympatie, a obok dobro partii i chęć utrzymania swojej dominacji nad ugrupowaniem. Jeśli ktoś może więc zatrzymać wyrok wygnania dla Morawieckiego i jego ludzi, to tylko sam Kaczyński.

Jednak tym razem wydaje się, że pragmatyzm logiki działania partii wydaje się przeważać nad pewnymi względami wobec polityka z Wrocławia. Tyle że jest jeszcze jedno „ale". Z Morawieckim odeszłaby grupa najciekawszych działaczy, zdolnych przyciągać do siebie sporą część elit prawicowych. Jest coś w ironicznym zdaniu jednego z „harcerzy": „Jak już Jaki i Sasin wypchną nas z partii i nasycą się tym triumfem – to Kaczyński nagle zauważy, że w partii zrobiło się jakby bardziej jałowo i pusto, a do naszego powrotu nie będzie już żadnej drogi".

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 3d3726ab61

Senat – estetycznie czy pragmatycznie?



Marcin Palade

Lider i politycy PiS, nafaszerowani środkami nasennymi, wciąż śnią o świecie, którego nie ma. O potędze, dominacji i bezdyskusyjnej pozycji lidera centroprawicy, który był, jest i będzie osią budowania, na wybory i po wyborach, wszystkiego, co po tej stronie sceny politycznej. A to wszystko w czasie, kiedy po raz pierwszy łączne notowania Konfederacji i Korony przewyższają te Prawa i Sprawiedliwości

Nieco ponad rok przed wyborami, jeśli te odbędą się w terminie, wiemy, że centrolewicowy Blok Senacki, który od 2019 r. kontroluje izbę wyższą parlamentu, ma szansę na umocnienie się w następnej kadencji. To realny scenariusz, pomimo wyraźnych oznak słabnięcia obozu Donalda Tuska, któremu towarzyszy umocnienie się w sondażach partii opozycyjnych, usytuowanych na prawo od centrum. Kluczem do odwrócenia tej aberracji i przejęcia Senatu w 2027 r. z rąk centrolewu jest przede wszystkim postawa Prawa i Sprawiedliwości. Formacji, której wydaje się, że wciąż ma pakiet kontrolny w obozie patriotyczno-tożsamościowym i to wokół niej powinny grupować się inne siły, dając wyborców, nie otrzymawszy w zamian żadnej reprezentacji.

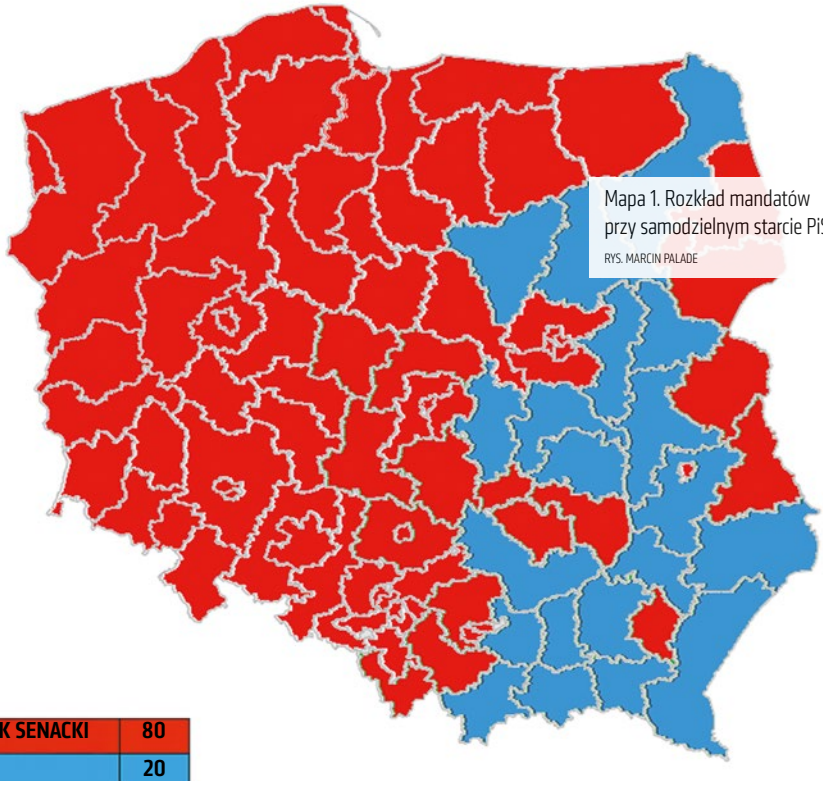
Z Nowogrodzkiej dobiegają od dłuższego czasu głosy, że centroprawicowy pakt senacki byłby możliwy, ale bez Korony Brauna, jak życzy sobie tego Waszyngton, do tego niekoniecznie z całą Konfederacją, a najlepiej z jej częścią narodową wicemarszałka Bosaka. Mówią to lider i politycy PiS, którzy po raz ostatni ułożyli zwycięską ofertę do Senatu w 2015 r. Cztery lata później, mimo wzrostu poparcia w ujęciu liczbowym i procentowym, a w dużej mierze na skutek własnych błędów, PiS Senat centrolewicy oddał. W 2023 r. doszło do kolejnej redukcji reprezentacji tej partii do jednej trzeciej. Jak byłoby dzisiaj? Pokazuje to mapa z wariantem numer 1. To średnia sondażowa, skorygowana o błędy sondażowni z lat 2023–2025, wlana w 100 okręgów wyborczych do Senatu. Prawo i Sprawiedliwość, idące bez żadnego zblokowania, miałoby 20 przedstawicieli w izbie wyższej parlamentu. Pochodzących z okrojonej dawnej Kongresówki i Galicji, już bez Kielc, Rzeszowa (oba okręgi z ludnymi, PiS-owskimi powiatami ziemskimi) czy Białej Podlaskiej. To prawda, że formacje twardej prawicy, Konfederacja i Korona, nie posiadałyby swojej reprezentacji, choć w kilku okręgach, po połączeniu sił, mogłyby skutecznie zawalczyć o pojedyncze mandaty. A gdyby ten scenariusz się zmaterializował, to Jarosław Kaczyński miałby kilkunastu senatorów. Co przy prawdopodobnej redukcji składu partii w Sejmie o połowę powinno, nieco ponad rok przed wyborami, zmusić PiS do głębszej refleksji. Wszak to dowód, czarno na białym, na dramatyczne zwijanie się PiS.

SEN PREZESA

Ale refleksji brak. Dlaczego? Bo lider i politycy PiS, nafaszerowani środkami nasennymi, wciąż śnią o świecie, którego nie ma. O potędze, dominacji i bezdyskusyjnej pozycji lidera centroprawicy, który był, jest i będzie osią budowania, na wybory i po wyborach, wszystkiego, co po tej stronie sceny politycznej. A to wszystko w czasie, kiedy po raz pierwszy łączne notowania Konfederacji i Korony przewyższają te Prawa i Sprawiedliwości. To oznacza, że PiS jest, co powiedzieliby racjonalnie myślący, jednym z trzech w miarę równorzędnych podmiotów. Można oczywiście tupać nóżkami, walić pięścią w stół, nie przyjmować tego faktu do wiadomości. Można zwoływać ad hoc, by przykryć chaos w przekazie odnośnie do relacji polsko-ukraińskich, konferencję z zakomunikowaniem rozszerzenia budowanego paktu senackiego przez PiS o Marka Wocha i jego, mało wpływowe, środowisko Bezpartyjnych Samorządowców. Ale to wszystko jest dalszym ciągiem kabaretu, bo taki charakter przybrała większość ruchów w wykonaniu Nowogrodzkiej od dłuższego czasu.

A sytuacja jest dla centroprawicy poważna. Rosnąca w siłę może mieć najsłabszą reprezentację od wprowadzenia 100 okręgów wyborczych ponad ćwierć wieku temu. Warunki gry do Senatu narzuca ordynacja większościowa. Ona wymusza konieczność zblokowania się, bo wygrywa ten, kto uzyska największe poparcie w okręgu. Wie to Koalicja Obywatelska, świadoma, że nawet teraz, przy liderowaniu w sondażach, startując bez mniejszych, centrolewicowych partnerów, nie kontrolowałaby Senatu. Wiedzą współkoalicjanci partii Donalda Tuska, którzy dorzucając głosy swoich sympatyków, otrzymali w latach 2019, 2023 – i tak też będzie w 2027 r. – możliwość posiadania reprezentacji. Jej wywalczenie w pojedynkę przez PSL, Lewicę, Razem czy PL2050 graniczyłoby z cudem, a w cuda na centrolewie raczej nie wierzą. Jedyny drobny wyłom, który

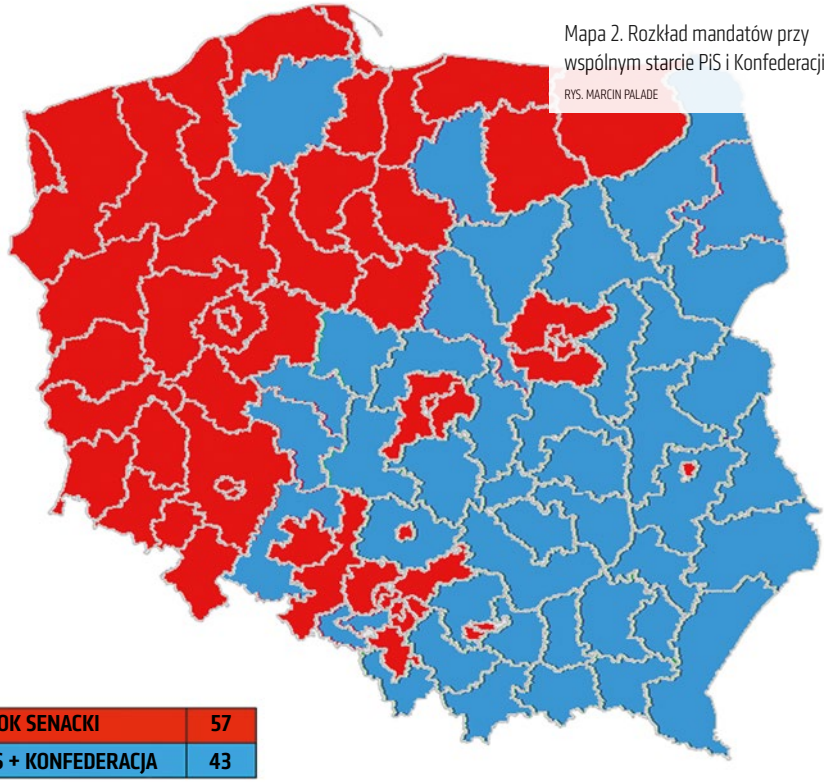
eprasa.pl 3d3726ab61



Mapa 1. Rozkład mandatów przy samodzielnym starcie PiS

RYS. MARCIN PALADE

BLOK SENACKI	80
PIS	20



Mapa 2. Rozkład mandatów przy wspólnym starcie PiS i Konfederacji

RYS. MARCIN PALADE

BLOK SENACKI	57
PIS + KONFEDERACJA	43

mógłby się za nieco ponad rok dokonać w batalii senackiej, to odrębność Partii Razem. Ale przy rozbiciu centroprawicy to i tak nie miałoby znaczenia dla kontroli przez centrolewicę Senatu po 2027 r.

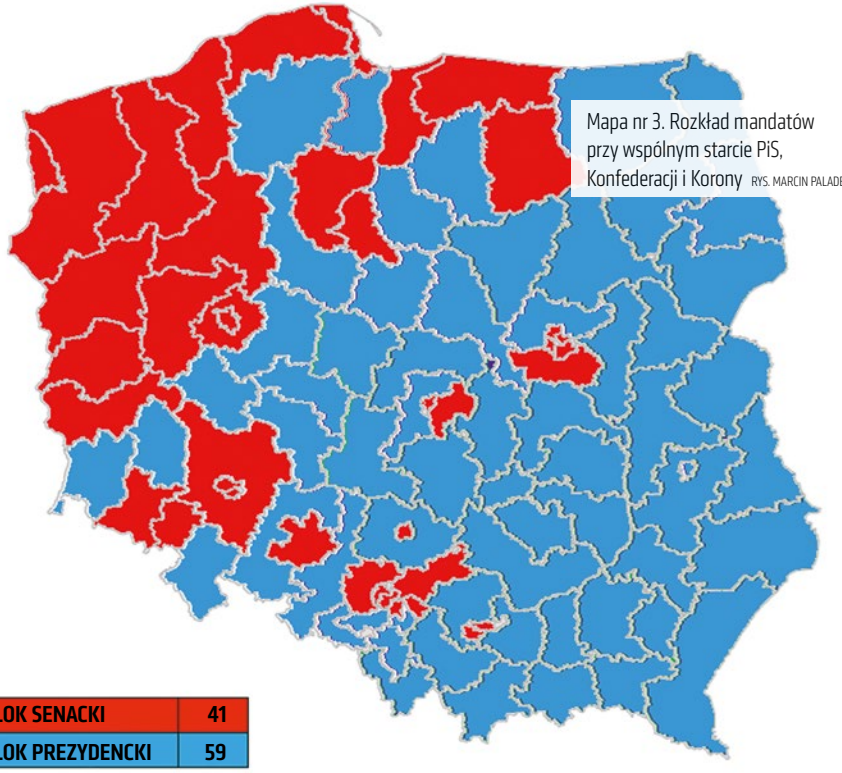
Co łączy, w sensie ideowym, biorąc pod uwagę skład izby wyższej, wybranej w wyborach w 2023 r. w ramach Bloku Senackiego, reprezentantów lewicy, w tym jej skrajnej odmiany, spod znaku formacji Zandberga z konserwatystami pokroju Jana Filipa Libickiego czy Kazimierza Michała Ujazdowskiego? Praktycznie nic, poza motywacją do niedopuszczenia do oddania kontroli nad Senatem partii Kaczyńskiego. Zamknięcia oczu na przepaść, która dzieli niemal we wszystkim dwa skrajne bieguny Bloku Senackiego, w imię działania pragmatycznego, zdroworozsądkowego. Do Sejmu nigdy, nawet gdyby Donald Tusk chciał utworzyć odpowiednik senackiego Volksfrontu. Bo to by oznaczało odpływ wyborców, a także absencję wyborczą. Czym innym jest Senat, gdzie doświadczenie pokazuje, że poza nielicznymi wyjątkami, gdzie w niektórych okręgach mieliśmy dąsanie się części centrolewicowych wyborców, przeważył argument, że tak po prostu musi być, by w Senacie nie rządził PiS.

Co mamy po drugiej stronie? Estetów z Nowogrodzkiej. Z Koroną Brauna na pewno nie, z Konfederacją owszem, ale tylko z częścią Ruchu Narodowego Bosaka. No i oczywiście z podległością wszystkich względem PiS. Załóżmy jednak, że Konfederacja, jako całość, bo trudno sobie wyobrazić inną konfigurację, siada do rozmów. W wyniku negocjacji powstaje mały pakt senacki. Obie siły wystawiają wspólnych kandydatów. Dodam, że oznaczałoby to dziś, biorąc pod uwagę sondaże, podział tortu w proporcjach 61 proc. dla PiS oraz 39 proc. dla Konfederacji. Ale jednocześnie ten mały pakt miałby konkurencję w okręgach w postaci kandydatów Korony Brauna, co nie mogłoby przełożyć się na dysponowanie większością w nowym Senacie.

NAPOLEONOWIE CENTROPRAWICY

Pokazuje to mapa z wariantem numer 2. Przekładałoby się to na 57 mandatów dla centrolewicowego Bloku Senackiego i 43 mandaty dla bloku partii Kaczyńskiego z jednej, a Mentzena i Bosaka z drugiej strony. To byłaby opcja win-win dla obu formacji, gdyby w centralach obu partii było myślenie pragmatyczne. PiS mógłby wprowadzić co najmniej 26 senatorów, co dawałoby i tak progres w stosunku do samodzielnego startu (wariant numer 1). Beneficjentem byłaby też Konfederacja, jako całość, która przy samodzielnym starcie byłaby bez szans na mandaty. W bloku z Koroną Brauna z otarciem się o kilka mandatów na południowym wschodzie Polski. Zaś przy wspólnym starcie z PiS z możliwymi 17 mandatami. Nie mieć nic, a mieć możliwość dysponowania prawie

eprasa.pl 3d3726ab61



Mapa nr 3. Rozkład mandatów przy wspólnym starcie PiS, Konfederacji i Korony RYS. MARCIN PALADE

BLOK SENACKI	41
BLOK PREZYDENCKI	59

jedną piątą składu izby wyższej robi różnicę.

W ujęciu geograficznym to byłby powrót, co prawda, nie zwycięskiej, ale jednak centroprawicy na tereny bitewne, które w przeszłości dawały tejże centroprawicy reprezentację. Mowa nie tylko o odzyskaniu niemal całej byłej Kongresówki z wyjątkiem dwóch wielkich aglomeracji z przyległościami, czyli Warszawy i Łodzi, oraz Lublina. Także o odbiciu z rąk centrolewu dawnej Galicji, z wyjątkiem dwóch okręgów w Krakowie. Ale też o wschodniej Wielkopolsce, południowych okręgach na Śląsku czy pojedynczych okręgach w województwach centroprawicy mało przyjaznych jak opolskie, pomorskie czy warmińsko-mazurskie. To wszystko na dziś dawałoby ponad dwa razy więcej dla całej centroprawicy. Czasu na refleksję jest co prawda coraz mniej, ale wciąż na tyle dużo, by pójść po rozum do głowy.

A tenże rozum podpowiada, w oparciu o dane, że do zdobycia większości w Senacie, odsunięcia ośmioletniej dominacji w tej izbie centrolewicy brakuje tego trzeciego. Bo krajobraz, od wyborów 2023 r., nam się po prawej stronie mocno zmienił. Najpierw Konfederacja skutecznie rozebrała część Trzeciej Drogi i od ponad dwóch lat oprócz tego, co zebrała w części liberalnej w ostatnich wyborach, ten spory kawałek anty-PO-PiS trzyma pod swoimi skrzydłami. Potem słabnący PiS oddał i wciąż oddaje wyborców Koronie. I jest to, wbrew bajdurzeniu na Nowogrodzkiej, proces nieodwracalny. Ważne jednak w tym kontekście jest to, że per saldo rozwód w Konfederacji dał, rzadko spotykany po rozejściu się środowisk współtworzących jeden byt, wzrost sympatii dla twardej prawicy w Polsce.

Właśnie dorzucenie Korony Brauna, w sensie jej ułożenia się z dwupakiem PiS i Konfederacji, byłoby pójściem we właściwym kierunku – odrzucenia estetyki na rzecz pragmatyki. Dawałoby to, co jest oczekiwane przez miliony wyborców centroprawicy, dojrzalszych w postrzeganiu otaczającej rzeczywistości i ze zdroworozsądkowym myśleniem o przyszłości, w odróżnieniu od liderów ich partii. Ci pierwsi wiedzą doskonale, że dzieli ich, głosujących od PiS, przez Konfederację, po Koronę Brauna, znacznie mniej niż tych ze wspomnianego już, egzotycznego sojuszu w ramach centrolewicowego Bloku Senackiego. No ale mają to nieszczęście, że decyzje podejmują Napoleonowie centroprawicy. Gdzie jeden Kaczyński jest przekonany, że ze znacznie zredukowaną armią, słabnącą z dnia na dzień, jest w stanie wygrać wszystko. Dwaj inni – Mentzen i Bosak – że już są na tyle duzi, że ich armia będzie za chwilę co najmniej tak liczna i skuteczna, jak tego pierwszego. A ten trzeci? Paradoksalnie najbardziej radykalny i wydawać by się mogło nieskory do współpracy – mowa o Braunie – deklaruje największą otwartość na budowę centroprawicowego paktu senackiego.

A trzy wymienione formacje razem do Senatu to pewność przejęcia nad nim kontroli. Nawet przy założeniu, że w dwóch–czterech okręgach ta przewaga centroprawicy byłaby do odrobienia przez drugą stronę. To i tak dawałoby bezpieczny wynik powyżej 50 mandatów. A przy jeszcze lekkim umocnieniu, czego nie możemy wykluczyć, bazy wyborczej całej trójki, z perspektywą powalczenia o sukces w okręgach, choćby tych już wymienionych konserwatystów z Bloku Senackiego – Libickiego i Ujazdowskiego. To wysoce prawdopodobne zmiecenie z planszy centrolewicy pokazuje mapa z wariantem numer 3. Konfrontacja dwóch potężnych bloków – centrolewicy i centroprawicy. Gdzie widoczna w sondażach przewaga tych drugich, z notowaniami po zsumowaniu na poziomie 51–53 proc. przełożyłaby się dziś na 59 mandatów, przy tylko 41 dla Bloku Senackiego. Z dalszą, jakże widoczną ekspansją na zachód i wypchnięciem centrolewicy, poza wielkimi aglomeracjami, tam gdzie były PGR i wojska sowieckie.

ZWYCIĘSKI SKŁAD

Aby tak się stało, Jarosław Kaczyński musiałby mniej słuchać ingerujących w polską politykę sojuszników zza Atlantyku. Przestać deklarować, że jest suwerenistą, a zacząć nim być w praktyce. Co miałby w zamian w Senacie po 2027 r.? Nie dwudziestkę senatorów, w myśl chorego podejścia – lepiej mniej, byleby było tylko moje, a być może nawet odtworzenie stanu z 2023 r. Do tego z szansą na kilka mandatów więcej niż w dwupaku mogliby mieć Mentzen i Bosak z Konfederacji. W końcu Korona z kilkuosobową reprezentacją. Ponad rok temu centroprawica, idąca szeroką ławą, dała wygraną w drugiej turze prezydentowi Nawrockiemu. W rękach partyjnych liderów, przy zwiększonej aktywności głowy państwa, jest odzyskanie po ośmiu latach Senatu przez drużynę w tym samym, zwycięskim w 2025 r., składzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3d3726ab61

Rzecznik praw partyjnych



Łukasz Warzecha

Fakt, że na urząd RPO wybrano najpierw Adama Bodnara – rzutem na taśmę, tuż przed końcem VII kadencji Sejmu – a teraz panią Gregorczyk-Abram, pokazuje, że wadliwy jest sposób wyłaniania rzecznika. Czy urząd Rzecznika Praw Obywatelskich jest w ogóle potrzebny?

Pojedynek w Sejmie między kandydatem PiS na stanowisko rzecznika praw obywatelskich a kandydatką koalicji rządzącej w symboliczny sposób pokazuje upadek myślenia o państwie po stronie obu głównych obozów politycznych. Starcie Sylwii Gregorczyk-Abram z Adamem Borowskim było zderzeniem kandydatów, z których żaden nie nadawał się na urząd ustanowiony u schyłku PRL. Spowodowało to także, że zaczęły pojawiać się pytania, czy w ogóle urząd RPO jest w Polsce potrzebny. Spróbujmy na nie odpowiedzieć.

Przede wszystkim przypomnieć trzeba, że co prawda, polski ombudsman jest produktem schyłkowego okresu Polski Ludowej, ale przecież nie jest wynalazkiem oryginalnym. Za początki urzędu rzecznika praw uznaje się powołanie szwedzkiego „ombudsmana dla sprawiedliwości" w roku 1809. Lecz nawet wówczas nie był to urząd całkowicie nowy, bo jeszcze w 1713 r. król Szwecji Karol XII powołał pierwszego ombudsmana, który podczas jego uchodźstwa w Turcji miał pilnować funkcjonowania szwedzkiej administracji (Karol XII znalazł się na uchodźstwie w imperium osmańskim po przegranej bitwie pod Połtawą w 1709 r., w której został pokonany przez Rosjan).

W Polsce urząd RPO powstał na mocy ustawy z 1987 r. Ustawę uchwalił Sejm, ale pomysł, aby w upadającym już właściwie PRL stworzyć instytucję na wzór tych działających na Zachodzie, wyszedł z kręgów kierownictwa Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, na której czele stał wtedy Wojciech Jaruzelski, a aparatem bezpieczeństwa wciąż kierował Czesław Kiszczak. Rolę RPO zdecydowała się przyjąć Ewa Łętowska, można zatem powiedzieć, że była nominatką samego generała.

W wydanej niedawno książce Pawła Dybicza „Pożegnanie z Polską Ludową" Łętowska opowiada, że absolutnie nikt z kręgów władzy się z nią nie kontaktował przed wyborem na stanowisko oraz że kierownictwo partyjne nie przywiązywało do tego urzędu wagi. Cóż, być może nikt z panią Łętowską nie rozmawiał, ale można być pewnym, że takich decyzji nie podejmowano bez konsultacji z organami bezpieczeństwa i bez dokładnego prześwietlenia kandydatki. We wspomnianej książce Łętowska opowiada, że była „apolityczna". Brzmi to absurdalnie, wziąwszy pod uwagę, że urząd RPO przyjęła w czasie, gdy obowiązywały konstytucja PRL, gwarantująca od czasów Gierka przewodnią rolę partii, cenzura, a Służba Bezpieczeństwa wciąż zabijała skrytobójczo ludzi. Jak wyglądać może apolityczność rzecznika praw obywatelskich w systemie, którego immanentną cechą jest odmawianie ludziom wolności politycznej?

Jednak legenda Łętowskiej jako sumienia nie tylko urzędu, lecz także życia publicznego w ogóle trwa do dzisiaj, a tzw. obóz demokratyczny traktuje Łętowską jak kapłankę praworządności. Nic dziwnego, skoro jej poglądy mieszczą się idealnie w spektrum głównego nurtu „demokratów".

PIS PODDAJE SIĘ BEZ WALKI

Urząd RPO wpisano do konstytucji w 1997 r. i jest to jedyny spośród kilku rzeczników istniejących w Polsce (inni to Rzecznik Praw Dziecka, Rzecznik Małych i Średnich Przedsiębiorców, Rzecznik Finansowy, Rzecznik Praw Pacjenta, a także regionalni Rzecznicy Praw Konsumentów), którego urząd zapisany jest w ustawie zasadniczej. Dotychczas stanowisko RPO obejmowało osiem osób (nie licząc kierowania biurem tymczasowo), ale tylko jedna z nich wyraźnie wykraczała poza ramy poprawności politycznej i starała się być kimś więcej niż tylko bezbarwnym urzędnikiem: śp. Janusz Kochanowski. Wybrany na stanowisko w 2006 r. dzięki poparciu PiS bardzo szybko okazał się zbyt dla tej partii niezależny. Traktował serio swoje posłannictwo bycia rzecznikiem praw wszystkich obywateli i nieustannie próbował wychodzić poza swoją konserwatywną bańkę – ku niezadowoleniu ówczesnej władzy. Organizował dyskusje, w których do udziału starał się zapraszać przedstawicieli różnych środowisk. Pojawił się na Przystanku Woodstock, choć było to środowisko kompletnie mu obce mentalnie, a także pod względem

eprasa.pl 3d3726ab61



kindersztuby (dr Kochanowski był bardzo elegancki w obyciu). Jedną z jego ostatnich inicjatyw była próba wsparcia dziennikarzy w powołaniu czegoś na kształt amerykańskiego National Press Club – organizacji, która skupiałaby ludzi mediów niezależnie od przynależności redakcyjnej i światopoglądu, a w zamian oferowała np. spotkania ze wszystkimi ważnymi zagranicznymi gośćmi odwiedzającymi nasz kraj. Brałem udział w spotkaniu na ten temat, na które jako jedyny spośród wielu zaproszonych ze strony mediów lewicowych przyszedł nieżyjący już Grzegorz Miecugow.

Doktor Kochanowski próbował powstrzymać to, co – zwłaszcza po katastrofie smoleńskiej, w której on sam stracił życie – stało się już immanentną, wyniszczającą cechą polskiego życia publicznego: posuniętą do absurdu plemienność. Zaproponowana przez niego koncepcja polskiego klubu prasowego już wówczas nie miała szans na realizację, a przecież mówimy o czasie sprzed 20 lat! Janusz Kochanowski miał pełną świadomość, że naciągał do granic możliwości kompetencje swojego urzędu, ale uznawał, że to właśnie jest potrzebne, aby łączyć, zamiast dzielić.

Jego następcy byli już znacznie „grzeczniejsi" i unikali ekstrawagancji. Profesor Marcin Wiącek, który właśnie swoją kadencję zakończył, nie był charyzmatycznym oryginałem, jak dr Kochanowski, ale w dużej mierze wpisywał się w teoretyczny ideał RPO, w przeciwieństwie do swojego poprzednika Adama Bodnara, którego lewicowy przechył był wyraźnie widoczny. W przypadku prof. Wiącka ciężko było ocenić, jakie on sam ma poglądy – i może tak właśnie w przypadku RPO być powinno.

Do rywalizacji o opróżnione stanowisko stanęły niedawno dwie osoby. Obie będące dwiema stronami tej samej monety. Obie równie nieodpowiednie.

Sylwia Gregorczyk-Abram to prawniczka jednoznacznie powiązana z obozem władzy. Jej wpisy pojawiały się w grupie dyskutującej o siłowym wejściu do TVP, jej artykuły i wypowiedzi z aprobatą odnosiły się do akcji wspierania nielegalnych imigrantów czy nawoływały do odcięcia Polsce pod rządami PiS pieniędzy przez UE. Dzisiaj jej zwolennicy oznajmiają, że to bynajmniej nie oznacza problemów z bezstronnością, ponieważ tak właśnie należało robić: Gregorczyk-Abram jedynie „broniła praworządności". Można by tę myśl kontynuować, stwierdzając, że jako RPO będzie niewątpliwie bronić praw każdego obywatela, o ile ten obywatel będzie się opowiadał za „wartościami demokratycznymi". A wiadomo, że żaden zwolennik PiS czy którejś z Konfederacji albo po prostu Polak o konserwatywnych poglądach do tej kategorii się nie zalicza. W ten sposób te osoby automatycznie wylatują z kręgu zainteresowania nowej pani rzecznik.

PiS właściwie w ogóle nie podjął walki. Jarosław Kaczyński po raz kolejny zdecydował, że nie liczy się elektorat spoza betonowej bańki partyjnej, i w zasadzie oddał grę walkowerem, proponując na stanowisko RPO Adama Borowskiego. Głównymi atutami kandydata były chwalebna przeszłość opozycyjna oraz radykalnie propisowskie i antytuskowe poglądy – Borowski jest szefem warszawskiego Klubu „Gazety Polskiej", a więc w praktyce przybudówki PiS. A także wyrok za słowa na temat Romana Giertycha, którego Borowski nie wykonał, za co grozi mu kara aresztu. Borowski, lat 71, podobno poważnie schorowany, absolwent technikum, nigdy nie kierował żadną instytucją publiczną, a przede wszystkim nie ma jakiejkolwiek wiedzy prawniczej (ustawa o RPO mówi, że kandydat musi „wyróżniać się wiedzą prawniczą"). Cały jego życiorys w III RP mówi, że jako rzecznik realizowałby po prostu partyjną agendę. Jego kandydaturę można by właściwie uznać za swoisty żart i trolling ze strony Kaczyńskiego, gdyby nie to, że to zabawa kosztem obywateli.

Sylwia Gregorczyk-Abram to prawniczka jednoznacznie powiązana z obozem władzy

eprasa.pl 3d3726ab61



Sylwia Gregorczyk-Abram i Adam Borowski – kandydaci na rzecznika praw obywatelskich

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

Trudno się dziwić, że postawieni przed takim wyborem posłowie obu Konfederacji zagłosowali przeciwko obojgu kandydatom. Był to jedyny rozsądny wybór – obie kandydatury były bowiem kpiną z obywateli, oczekujących od RPO autentycznej pomocy i poważnego traktowania.

PO CO NAM RPO?

Czy jednak RPO jest w ogóle potrzebny? Pytanie jest w dużej mierze intelektualną rozrywką, bo przecież RPO jest wpisany do konstytucji, więc aby urząd zlikwidować, trzeba by zmienić ustawę zasadniczą, na co się nie zanosi (mimo deklaracji prezydenta). Rozsądny jest argument, że w państwie praworządnym, gdzie dobrze działa wymiar sprawiedliwości, stanowiska jakichkolwiek rzeczników różnych grup obywateli nie powinny być potrzebne. Problem w tym, że polskie państwo trudno uznać za działające prawidłowo i za sprawne, zwłaszcza gdy chodzi właśnie o sferę praw obywatelskich. Z drugiej jednak strony powoływanie kolejnych urzędów rzecznikowskich sprawia wrażenie tworzenia protez naprawy systemu. Na przykład zamiast poprawić działanie sądownictwa cywilnego oraz wziąć w karby ZUS czy Krajową Administrację Skarbową, powołujemy rzecznika małych i średnich przedsiębiorców, któremu dajemy jak najmniejsze kompetencje. W ten sposób na odczepnego możemy powiedzieć małemu biznesowi, że przecież się o niego zatroszczyliśmy, a i tak będziemy ich maksymalnie dojeżdżać i wyciskać.

Z RPO jest nieco podobnie, a jednak obywatele mają prawo oczekiwać, że właśnie RPO stanie po ich stronie w sporach z nawet nie tyle aparatem państwa, ile politykami, którzy za ten aparat i jego działania odpowiadają. Niestety, nawet przy dobrych chęciach rzecznik, starający się działać w imieniu obywateli niezależnie od ich poglądów, może polec. Tak było z prof. Wiąckiem. Dobrym przykładem jest jego głośna interwencja w sprawie ustawienia przez Zarząd Dróg Miejskich w Warszawie parkometrów pozbawionych możliwości płacenia gotówką. Profesor Wiącek słusznie wskazywał, że to działanie dyskryminujące osoby niekorzystające z płatności bezgotówkowych czy ze smartfonów oraz pogwałcenie zasady, że gotówka jest w Polsce pełnoprawnym środkiem płatniczym. Jednak jego opór w tej sprawie nie przyniósł żadnego skutku. Możliwości interwencji RPO mogłaby wzmocnić zmiana ustawy, bo konstytucja nie nakłada tu w zasadzie ograniczeń. Takich planów nikt jednak nie przedstawia.

Rozsądny jest argument, że w państwie praworządnym, gdzie dobrze działa wymiar sprawiedliwości, stanowiska jakichkolwiek rzeczników różnych grup obywateli nie powinny być potrzebne

MODEL DO ZMIANY

Przede wszystkim jednak fakt, że na urząd RPO wybrano najpierw Adama Bodnara – rzutem na taśmę, tuż przed końcem VII kadencji Sejmu – a teraz Gregorczyk-Abram, pokazuje, że wadliwy jest sposób wyłaniania rzecznika. Ustawa mówi, że „rzecznika powołuje Sejm za zgodą Senatu na wniosek marszałka Sejmu albo grupy 35 posłów". Oznacza to, że do powołania RPO nie potrzeba nawet większości bezwzględnej (głosujących za jest więcej niż łącznie głosujących przeciw oraz wstrzymujących się). Cóż dopiero mówić o większości kwalifikowanej. Tymczasem taka właśnie większość – np. wymóg zdobycia przynajmniej trzech piątych, a więc 276 głosów – wymuszałaby na posłach szukanie kompromisowych kandydatur zamiast partyjnych aktywistów pasujących aktualnej większości. Albo urząd RPO musi zostać radykalnie zmieniony, z metodą wyboru włącznie, albo trzeba uznać, że stał się dla obywateli równie bezużyteczny jak po 2015 r. Trybunał Konstytucyjny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3d3726ab61



FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER



Z Aleksandrą Biniszewską, dyrektorem Muzeum Lwowa i Kresów w Kuklówce Radziejowickiej
rozmawia Ryszard Gromadzki

Sami zakładamy sobie sznur na szyję

RYSZARD GROMADZKI: Mam poczucie, że na naszych oczach umiera mit polskich Kresów Wschodnich. Czy wraz z postępującą utratą więzi polskiego państwa z Polakami żyjącymi na Ukrainie, Litwie i na Białorusi, utratą społecznej pamięci o Kresach, nie gubimy istotnej części naszej narodowej tożsamości?

ALEKSANDRA BINISZEWSKA: Nie mogę się zgodzić z oceną, że ten proces jest udziałem całego naszego społeczeństwa. Działam w organizacjach kresowych od ponad 20 lat. W tym czasie wykonaliśmy ogromną pracę dla upamiętnienia i zachowania naszego dziedzictwa na Kresach. My, Kresowiacy, walczyliśmy o zachowanie tego dziedzictwa wbrew wszystkiemu i wszystkim. Wymazywanie Kresów z polskiej pamięci rozpoczęło się w 1945 r. Na ten temat nie można było w ogóle mówić. Rugowano nawet miejsca urodzenia. Jak ktoś urodził się we Lwowie, wpisywano

eprasa.pl 3d3726ab61

mu w dokumentach ZSRS. Po zmianach ustrojowych w Polsce w 1989 r. jako środowiska kresowe wreszcie odetchnęliśmy z ulgą, licząc, że nareszcie się to zmieni, że przebije się prawda historyczna, a my będziemy mogli mówić pełnym głosem. Przecież bez Kresów nie ma Polski, nie ma niepodległości, nie ma kultury i sztuki, nie ma nauki. W każdą dziedzinę polskiego życia ogromny wkład wnieśli Kresowiacy. Niestety, spotkało nas ogromne rozczarowanie. Okazało się, że my, Kresowianie, z naszą najbardziej patriotyczną, stricte polską pamięcią, musimy ustępować pamięci o Ukraińcach czy Litwinach. Zawsze powtarzam, że Kresowianie byli i są w Polsce obywatelami drugiej kategorii.

Skąd bierze się ta dyskryminacja? Wstyd przed polskością?

Środowiskom kresowym bardzo trudno to zrozumieć. Gdyby kierować się rozsądkiem, mieć na względzie polski interes narodowy, to przede wszystkim umacniałoby się polskie skupiska na Wschodzie. Takie podejście powinno być oczywistością dla każdego szanującego się narodu. To, że po drugiej wojnie światowej nastąpiło pojednanie francusko-niemieckie, nie oznacza, że nie ma tam rywalizacji kulturowej i udowodniania tożsamości francuskiej czy niemieckiej tych terenów. My niestety nie realizujemy podobnej strategii. Myślę, że to wina Giedroycia, który być może był dobrym krytykiem literackim, ale fatalnym politykiem. Jego pseudostrategiczne teorie na temat Ukrainy, Białorusi i Litwy, aureola buntownika przeciw komunie, uwiodły wielu ludzi, którzy poszli za nim w ciemno. Niestety, my, Polacy, mamy specyficzny defekt, wyrażający się w lęku przed krytyką tzw. autorytetów.

Teorie Giedroycia brutalnie zweryfikowała rzeczywistość. Wspólnota interesów Polski z Ukrainą, Białorusią i Litwą, zorientowana przeciw moskiewskiemu imperializmowi, okazała się całkowitą abstrakcją. Każdy z naszych wschodnich sąsiadów rządzi się swoim egoistycznym interesem, mając w nosie polskie aspiracje.

Przez wiele lat, począwszy od 1990 r., ostrzegaliśmy jako środowiska kresowe, że każde osłabianie Polaków żyjących na Wschodzie, pozostawianie ich bez wsparcia sprawia, że na własnej piersi hodujemy obecny tam wrzód nacjonalizmu. Zauważmy, że rosyjski imperializm został zaszczepiony Ukraińcom, Białorusinom. W przypadku Litwinów swój udział mieli w tym Niemcy. My jesteśmy między młotem a kowadłem. Niemcy za wszelką cenę chcą się porozumiewać z Rosją, a Rosja z Niemcami, my im w tym tylko przeszkadzamy. Dlatego w integralnym interesie Moskwy i Berlina leży to, żeby Polska była permanentnie rozchwiana.

Niemcy za wszelką cenę chcą się porozumiewać z Rosją, a Rosja z Niemcami, my im w tym tylko przeszkadzamy

Stąd bierze się podsycanie wszelkich antagonizmów...

Dokładnie tak. To, że nie bronimy własnych interesów, a wzmacniamy interes Ukrainy czy Białorusi, to pokłosie – powtórzę raz jeszcze – głupich koncepcji Giedroycia. Niestety, nasi politycy nie zauważają, że doskonale wpisuje się to w interes Niemiec i Rosji.

Giedroyc Giedroyciem. Ale czy zasadniczą przyczyną indolencji polskiej polityki nie jest to, że elity rządzące naszym państwem, bez względu na barwy partyjne, nie realizują polskiej racji stanu, lecz działają pod dyktando ośrodków zewnętrznych? Zresztą to samo dotyczy mediów. Polskie mainstreamowe media w lwiej części są antypolskie. To gorzki paradoks.

Oczywiście, że tak. Rodacy, których pozostawiono za wschodnią granicą, często upokarzano, zostali zdradzeni. Przecież od samego początku widać było, że Litwini nie realizują postanowień traktatu polsko-litewskiego, a Ukraińcy odwołują się do banderyzmu, jako mitu założycielskiego swojego państwa. Wiedzieli o tym doskonale politycy każdej opcji. Ostrzegaliśmy ich przed tym wiele razy. W zamian słyszeliśmy obelgi o ziomkostwach. Mnie nazywano „Eriką Steinbach Kresów". Mieliśmy problem z organizacją każdej uroczystości związanej z ludobójstwem Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej.

Nasze argumenty o potrzebie ułożenia sobie relacji z Rosją, bo przecież miejsca nie zmienimy, kwitowane były wyzwiskami o „ruskich onucach" i agentach wpływu rosyjskiego.

Okazało się, że to my mieliśmy rację. Ślepo popieraliśmy Ukrainę, nie przeszkadzało nam, że rozkwita tam banderyzm; w tym samym czasie, krok po kroku, niszczyliśmy relacje z Białorusią i obwodem królewieckim, gdzie przecież istniał wtedy jeszcze mały ruch graniczny. Polska robiła dokładnie to, czego chcieli Ukraińcy. Nie reagowaliśmy, kiedy Ukraińcy naruszali nietykalność ambasadora Rosji, łamiąc dyplomatyczny obyczaj. Może protestujący kierowali się nawet szlachetnymi pobudkami, ale przecież to jest państwo polskie. Ci ludzie powinni zostać natychmiast deportowani.

Po 2014 r. Polska przyjęła tysiące uchodźców z Ukrainy legitymujących się Kartą Polaka. Czy ci, którzy przybyli do nas na jej podstawie, mieli rzeczywiście tytuł do posługiwania się tym dokumentem?

Środowiska kresowe ostrzegały przed reformą Karty Polaka w 2015 r. Perswadowaliśmy rządzącym, że Karta Polaka stała się walutą, że grozi nam zalew ludzi, którzy nie mają nic wspólnego z polskością. Występując w Sejmie, przestrzegałem, że Polska nie ma kontroli nad tym, co dzieje się w środowiskach ukraińskich w naszym kraju po 1945 r., przesiedlonych w ramach akcji „Wisła". Nie kontrolowano szkół, pozwalając na propagowanie w nich banderyzmu. Taka sytuacja miała m.in. miejsce w Iławie. Protestowaliśmy przeciw temu, co działo się w Radiu Olsztyn, gdzie zupełnie wprost promowana była mowa nienawiści wobec Polaków. Nikt na to nie reagował.

Argumenty o tym, że przybywających z Ukrainy trzeba zabezpieczyć przed wpływami nacjonalistów ze Związku Ukraińców, w Polsce trafiały w próżnię, choć ci ludzie nie kryli się z brakiem swojej lojalności wobec państwa polskiego. Weźmy choćby posła Sycza, który twierdził, że akcja „Wisła" miała charakter ludobójczy. Tymczasem akcja „Wisła" była przeprowadzona na podstawie przepisów z 1939 r. o ochronie granic i terenów przygranicznych i na pewno nie można przypisać jej jakiejkolwiek zbrodniczości. Sycz powoływał się na Jacka Kuronia, Żyda ze Lwowa, który na początku lat 90. publicznie mówił, że cieszy się, iż Lwów jest wreszcie ukraińskim miastem.

eprasa.pl 3d3726ab61

Jak można było tak mówić, kiedy tam wciąż żyło kilkadziesiąt tysięcy Polaków?! Nawoływaliśmy do powołania Rady Społecznej do spraw Kresów, która mogłaby autoryzować wydawanie Kart Polaka, bo doskonale wiedzieliśmy, które organizacje na Ukrainie powstają tylko po to, żeby je wydawać. Ostrzegaliśmy, że cały system trzeba od podstaw zreformować, bo inaczej rodzi on wiele niebezpieczeństw. I znów nikt nas nie słuchał. Rada Społeczna do spraw Kresów oczywiście ostatecznie nie powstała. Kiedy postulowaliśmy ułożenie elementarnych relacji z Rosją, bo ta z nami graniczy, czy powolne odzyskiwanie Białorusi, zderzyliśmy się z prawdziwym murem. Na nic zdało się moje przekonywanie, że w interesie Polski można dogadać się z Łukaszenką, to było możliwe. A o tym, czym jest telewizja Biełsat, niech świadczy sytuacja, której byłam świadkiem kilka lat temu. Jadąc samochodem, słuchałam wywiadu szefa informacji Biełsatu w Radiu TOK FM. Na pytanie dziennikarki, która z okupacji, których doświadczyła Białoruś, była dla niej najgorsza, ten pan odpowiedział, że polska. Kiedy zdziwiona dziennikarka dopytała raz jeszcze, zdecydowanie powtórzył odpowiedź. Byłam w szoku. Na medium tworzone przez takich ludzi przez prawie 20 lat pompowaliśmy i pompujemy miliony złotych z polskiego budżetu.

Prezydent Nawrocki rozumie postulaty Kresowian?

Powiem tylko tyle, że poprzednik prezydenta Nawrockiego na urzędzie, Andrzej Duda, był wręcz ogarnięty proukraińskim amokiem. Ludzie z jego kancelarii zajmujący się relacjami z Polakami żyjącymi na Wschodzie wyrządzili im wiele szkód i krzywd, skłócali i rozbijali polskie środowiska. Pozwoli pan, że nie będę przytaczać nazwisk. Prowadząc Muzeum Lwowa i Kresów przez osiem lat władzy PiS, nie dostaliśmy ani grosza na nasze poczynania. Niestety, polska polityka wschodnia była i jest podporządkowana obcym interesom. Obawiam się, że jak PiS znów dojdzie do władzy, to szybko porzuci obecną antyukraińskość i ponownie stanie się proukraiński. Przy okazji rocznicy rzezi Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej znów w polskich mediach powtarzano bezrefleksyjnie brednie, których ja nie mogę już słuchać, o tym, że Ukraińcy mają prawo do swoich bohaterów albo że ich brak wrażliwości na bestialską rzeź Polaków to efekt niedostatecznej edukacji. Otóż ci „bohaterowie" to często dziadziusiowie współczesnych Ukraińców, którzy bez litości rezali Polaków i z dumą opowiadali o tym swoim wnukom. Nie mogę pojąć, jak były marszałek Sejmu, Kuchciński z PiS, mógł spotkać się w czerwcu 2016 r. z Jurijem Szuchewyczem, synem dowódcy UPA, Romana Szuchewycza, rozkazodawcy wymordowania Polaków. Czy uważa pan, że normalny, przyzwoity Polak, który choć trochę orientuje się w historii, powinien spotykać się z synem Szuchewycza?

Jesteśmy w stanie się uratować, ale pod jednym warunkiem: że nie będziemy rozmawiać z pozycji kolan

Jak wobec faktycznego porzucenia przez Polskę Polaków na Wschodzie bronić resztek polskiego życia i ocalić ślady naszej obecności na Kresach?

Obawiam się, że jest już za późno. Nie mówię o sytuacji za Zbruczem, ale na bliższych Kresach. Większość młodych, przyzwoitych Polaków stamtąd wyjechała. Podam przykład: w czasie swojej kadencji prezydent Komorowski ogłosił wart 300 mln zł program wsparcia dla młodych przedsiębiorców z Ukrainy. Wówczas nie było tam żadnej wojny. Skrytykowałam wtedy ostro ten program, bo uważałam go za idiotyczny. Nie powinniśmy dawać tych pieniędzy młodym ukraińskim przedsiębiorcom, a Polakom żyjącym na Ukrainie ułatwić zakładanie firm, kształcić ich w Polsce, pod warunkiem że będą tam wracać i zakładać swoje biznesy, wchodzić do samorządów, wzmacniać naszą obecność, bo tak robią normalne kraje.

Zabijając polskość, wyrzekając się kolejnych składowych naszej tożsamości narodowej, popełniamy zbiorowe samobójstwo, nawet nie zdając sobie z tego sprawy?

Ależ oczywiście! Kto nas obroni? Kto stanie za nami w potrzebie? Na własne życzenie utraciliśmy tam polskość, wyzbyliśmy się swojej tożsamości. W przeszłości zawsze górowaliśmy nad innymi narodami zamieszkującymi Kresy kulturą. Przetrwaliśmy jako naród dzięki kulturze. Tymczasem na Kresach w pierwszej kolejności odstąpiliśmy innym kulturę. Podam wymowny przykład dotyczący bezcennych zbiorów lwowskiego Ossolineum. Po wojnie zostały one ulokowane w bardzo złych warunkach w Kościele św. Andrzeja we Lwowie, gdzie niszczały. Ostatnio – jak mi wiadomo – te skarby polskiej kultury wywożone są przez ukraińskie wojsko do jakichś magazynów na lotnisku, które jest systematycznie bombardowane. Reakcji ze strony polskich władz brak. Trudno się później dziwić, że Ukraińcy bezczelnie przywłaszczają sobie nasze dziedzictwo, np. określając Juliusza Słowackiego jako najwybitniejszego ukraińskiego poetę romantycznego. My w Polsce programowo nie uczymy młodzieży o naszej dumnej przeszłości. Ilekroć Litwa czy Ukraina tupnęły nogą, my się posłusznie wycofywaliśmy ze wszystkiego, byle tylko ich nie urazić. Kiedy w polskich paszportach zaprojektowany został motyw Orląt Lwowskich, Ukraińcy natychmiast zaprotestowali, a pan Błaszczak szybko wycofał się z tego pomysłu. Zmieniliśmy dla nich nawet polską gramatykę. Już nie mówi się „na Ukrainie", tylko „w Ukrainie". Dopuściliśmy do tego, że najzdolniejsi Polacy z Kresów wyjechali. Za to przyjechały do nas hordy wrogich nam ludzi wychowanych na kulcie Bandery i Szuchewycza albo – jak w wypadku przybyszów ze wschodniej Ukrainy – na kompleksie „pańskiej Polski".

Nas, Kresowian, którzy o tym wszystkim mówią otwartym tekstem, się odsuwa. Nie jesteśmy poprawni politycznie, jesteśmy passé. My tutaj w Polsce jesteśmy jeszcze w stanie się uratować, ale pod jednym warunkiem – że nie będziemy rozmawiać z Ukraińcami czy Litwinami z pozycji kolan. To nauka od ludzi ze Wschodu. Tam się nie prosi. Tam się wali w pysk albo mówi: będzie tak i tak albo nie będzie wcale. Naszym największym przekleństwem narodowym, przekleństwem naszej historii jest to, że „tak nie wypada". Albo z tym zerwiemy raz na zawsze, albo sami założymy sobie sznur na szyję.

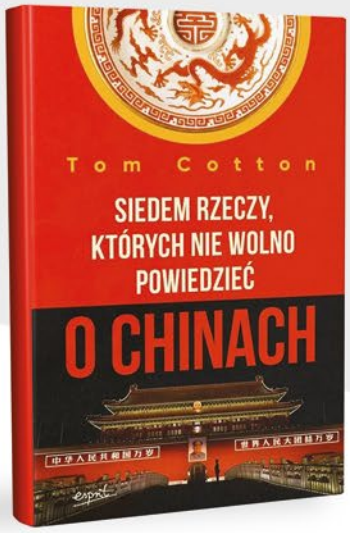
© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3d3726ab61

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

TOM COTTON: „SIEDEM RZECZY, KTÓRYCH NIE WOLNO POWIEDZIEĆ O CHINACH”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~617 ZŁ~~

292,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 325 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 3d3726ab61



Filip Memches



Konferencja w sprawie utworzenia Unii Centrum, Warszawa, 12 lipca 2026 r. FOT. TOMASZ GZELL/PAP

Partia dla „fajnych" Polaków

Unia Centrum to kolejny projekt sprzedawany wyborcom w Polsce jako świeży produkt. Swój przekaz – tak jak jej poprzednicy – adresuje do klasy średniej, wyobrażanej jako warstwa rozumnych ludzi zapatrzonych w zachodnią nowoczesność. Tyle że teraz nastroje społeczne nie sprzyjają nurtowi politycznemu, który ta formacja reprezentuje

Polska 2050 zdaje się odchodzić w niebyt. Według sondaży ugrupowanie utworzone w roku 2021 przez Szymona Hołownię nie ma szans na samodzielne wtoczenie się do parlamentu w najbliższych wyborach. Ale to nic. Grono skonfliktowanych z Hołownią byłych polityków PL2050 powołało już nową formację – Unię Centrum. Przy okazji nowe przedsięwzięcie zasiliła Unia Europejskich Demokratów – marginalny podmiot, będący spadkobiercą legendarnego ugrupowania występującego w latach 1990–2016 pod szyldami Unia Demokratyczna, Unia Wolności i Partia Demokratyczna, a kojarzonego z takimi postaciami, jak Bronisław Geremek, Jacek Kuroń i Tadeusz Mazowiecki.

UC, której szefową jest Paulina Hennig-Kloska, minister klimatu i środowiska w rządzie Donalda Tuska, to niewątpliwie kontynuacja przedsięwzięć korzeniami tkwiących w polskiej polityce lat 90. Zresztą jeśli się przyjrzy przeszłości polityków nowego stronnictwa, to można zauważyć, że nie brak wśród nich byłych członków UD, UW i PD. Natomiast sama Hennig-Kloska zasiada nieprzerwanie w Sejmie już trzecią kadencję (od roku 2015). A zaczynała swoją poselską aktywność w Nowoczesnej. Potem formacja ta została wchłonięta przez Koalicję Obywatelską (jeszcze jak ta stanowiła blok różnych partii pod przywództwem Platformy Obywatelskiej). Nowoczesną zaś założył w roku 2015 nie kto inny, jak Ryszard Petru – człowiek, który w latach 90. zaczynał polityczną karierę w Unii Wolności jako asystent jej przewodniczącego Leszka Balcerowicza. Obecnie jest on posłem bezpartyjnym. Był członkiem Polski 2050, po czym dołączył do rozłamowców Hennig-Kloski.

LIBERALIZM INTEGRALNY

Wypada naświetlić źródło konfliktu w PL2050. Podział w tym stronnictwie dał o sobie mocno znać latem 2025 r., gdy jego ówczesny przewodniczący, a zarazem wtedy marszałek Sejmu, czyli Szymon Hołownia, zdecydował o zaprzysiężeniu Karola Nawrockiego na prezydenta Polski podczas uroczystego posiedzenia Zgromadzenia Narodowego. W obozie rządowym rozpatrywano inny wariant – podważenie wyniku drugiej tury wyborów prezydenckich. Do takiego rozwiązania przychylał się sam Donald Tusk. Na tle tego, jak potraktować sprawę zaprzysiężenia, narosły napięcia między premierem a marszałkiem Sejmu, co zaowocowało rozłamem w Polsce 2050. Po prostu okazało się, że dla części parlamentarzystów tej formacji samodzielność Hołowni nie jest żadną wartością, natomiast przede wszystkim liczy się dojeżdżanie Prawa i Sprawiedliwości, włącznie z powstrzymaniem za wszelką cenę objęcia stanowiska prezydenta przez Nawrockiego. Rozłamowcy za priorytet uznali całkowitą podległość Tuskowi w walce z PiS. Do tego doszły też sprawy ambicjonalne. W rywalizacji o przewodniczenie PL2050 stanęły naprzeciw siebie dwie kobiety o wysokich politycznych aspiracjach: Paulina Hennig-Kloska oraz – lojalna wobec Hołowni – Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz. I to ta druga wygrała to starcie, choć bynajmniej nie poprawiła notowań sondażowych swojej formacji.

Unia Centrum to wspierający „demokrację walczącą" Tuska kolejny projekt w opakowaniu „nowej jakości", który się próbuje wyborcom sprzedawać jako coś, co programowo odwołuje się do liberalizmu. Dokładnie tak właśnie było z Polską 2050, a wcześniej – z Nowoczesną. Zresztą trzeba pójść jeszcze w głąb dziejów III RP i wskazać inne tego typu inicjatywy. To Stronnictwo Demokratyczne, gdy w roku 2009 na jego czele stanął Paweł Piskorski, wówczas eurodeputowany i były prominentny polityk PO. Niegdyś do Platformy należał też Janusz Palikot. O ile Piskorski został z niej wyrzucony,

eprasa.pl 3d3726ab61

o tyle ten ostatni ją opuścił z własnej woli. I w roku 2011 założył Ruch Palikota przemianowany potem na Twój Ruch.

Wszystkie te wymienione przedsięwzięcia łączy jedno: próba zdyskontowania tego, że założona w roku 2001 PO, będąc ugrupowaniem u swoich początków deklarującym liberalizm, okazała się dla Polaków o liberalnych poglądach rozczarowaniem. Tyle że chodzi o ideologię, która jest różnie pojmowana, dlatego należy doprecyzować, w czym rzecz. W tym przypadku mowa o liberalizmie integralnym. Głosi on prymat jednostki nad wspólnotą w każdym wymiarze, afirmuje indywidualizm zarówno polityczny, jak i ekonomiczny.

Ujmując zagadnienie w dużym uproszczeniu, liberalizm integralny na gruncie polskim postuluje emancypację człowieka od tego, co go zniewala lub może zniewalać, czyli z jednej strony od powinności nakładanych na niego przez wzmożone patriotycznie oraz religijnie, a także łakome na transfery socjalne, masy, z drugiej – od fiskalnego rygoryzmu i innych obciążeń finansowych będących pokłosiem interwencjonizmu państwowego. W tym kontekście bohaterem liberalnego przekazu jest polskie wydanie self-made mana – dorobkiewicza, który robiąc w sektorze prywatnym, obywa się bez jakiegokolwiek solidaryzmu społecznego. W oczach kogoś takiego politycy to klasa próżniacza ze wzniosłymi w formie, lecz pustymi w treści sloganami na ustach (zwłaszcza tymi o wymowie bogoojczyźnianej), żerująca na podatkach odprowadzanych do budżetu państwa przez ludzi trudzących się w pocie czoła „na swoim".

Od zarania III RP w polskim życiu publicznym dawało o sobie znać przekonanie o konieczności powołania partii liberalnej, ponieważ rodzącej się w bólach przemian ustrojowych klasie średniej potrzebna będzie formacja występująca w interesach tej warstwy społecznej. Rzecz jasna, były na prawicy środowiska, które usiłowały łączyć konserwatyzm polityczny i kulturowy z liberalizmem ekonomicznym. Tyle że nie udawało im się wywalczyć na scenie politycznej takiej pozycji, z której możliwa byłaby w miarę spójna realizacja ich programu. Poza tym z perspektywy liberalizmu integralnego może i upominały się one o rozwiązania sprzyjające drobnemu biznesowi, ale zarazem były kulturowo i obyczajowo zachowawcze. Natomiast w latach 90. istotną rolę w polskim życiu publicznym odgrywały zdystansowane od prawicy czy wręcz wobec niej wrogie środowiska, które swoje pomysły adresowały do klasy średniej, wyobrażanej jako warstwa rozumnych ludzi zapatrzonych w zachodnią nowoczesność, a więc emancypujących się nie tylko względem pozostałości realnego socjalizmu, lecz także wobec wszelkich „fundamentalizmów".

Pierwszymi ugrupowaniami wdrażającymi liberalizm integralny okazały się działające na początku lat 90. dwa stronnictwa: Kongres Liberalno-Demokratyczny i w mniejszym stopniu wspomniana już Unia Demokratyczna. W roku 1994 doszło do ich połączenia i utworzyły one Unię Wolności. Pod przewodnictwem Leszka Balcerowicza stała się ona formacją, na której wizerunek znaczący wpływ mieli zimni, bezideowi technokraci. Rozrzedzali oni liberalną agendę kulturową, kładąc nacisk na kwestie ekonomiczne. Byli orędownikami polskiej wersji turbokapitalizmu. A obecność w UW takich osób, jak Hanna Suchocka czy Tadeusz Mazowiecki – polityków dbających o swoje dobre relacje z hierarchami Kościoła katolickiego w Polsce – sprawiała, że partia ta ograniczała się w wysuwaniu kulturowo i obyczajowo progresywnych postulatów.

OD DROBNEGO BIZNESU DO WIELKICH KORPORACJI

W roku 2001 Unia Wolności zaczęła tracić politycznie na znaczeniu. Opuściła ją duża część członków, w tym dawni działacze Kongresu Liberalno-Demokratycznego, na czele z Donaldem Tuskiem. Grupa ta podjęła współpracę z politykami, którzy wyszli z Akcji Wyborczej „Solidarność", i utworzono Platformę Obywatelską. W założeniach PO nie była partią liberalizmu integralnego, ponieważ w wymiarze politycznym i kulturowym bazowała na umiarkowanym konserwatyzmie. Ale jednocześnie odwoływała się do etosu klasy średniej i wskazywała, że trzeba znosić bariery ograniczające rozwój sektora prywatnego.

Tyle że w pierwszej dekadzie XXI w. wybuchł globalny kryzys finansowy, który odsłonił ciemne strony turbokapitalizmu. Gdy w roku 2007 Tusk po raz pierwszy został premierem, zaczął dostrzegać zalety interwencjonizmu państwowego. Nie mógł w imię liberalnych dogmatów puścić gospodarki na żywioł. Prowadził asekurancką, obliczoną na wsparcie Unii Europejskiej politykę „ciepłej wody w kranie", za którą dostawało mu się choćby od pozostającego niezłomnym obrońcą turbokapitalizmu Leszka Balcerowicza. Tak było, gdy drugi rząd Tuska częściowo zrenacjonalizował system ubezpieczeń społecznych, cofając tym samym w pewnym zakresie reformę wdrożoną w drugiej połowie lat 90. przez koalicję AWS-UW. Jednocześnie kulturowo Platforma skręciła w lewo.

Warto też zauważyć, że w Polsce XXI w. zmienił się obraz klasy średniej. Jej przedstawiciel to już nie jest borykający się z „nadopiekuńczością" państwa właściciel małej czy średniej firmy, lecz konformistycznie dostosowany do rzeczywistości III RP pracownik wielkiej korporacji. Człowiek tego pokroju nieraz przedstawiany jest jako „młody, wykształcony i z wielkiego ośrodka". Właśnie o głosy takich „fajnych" wyborców jak on ubiegają się kolejne integralnie liberalne „nowe jakości" w polskiej polityce i Unia Centrum nie jest tu wyjątkiem. Tyle że liberalizm tych formacji sprzyja nie drobnemu biznesowi, lecz wielkim korporacjom, a te dążą do podporządkowania sobie państwa, w którym funkcjonują.

Podsumowując, oczywiście w przypadku partii Pauliny Hennig-Kloski nie ma mowy o żadnej „nowej jakości". Nasuwa się zatem pytanie: Czy znajdzie się jakaś znacząco duża liczba wyborców, którzy się znów nabiorą na opowieść o świeżym produkcie? Odpowiedź brzmi: Na razie sondaże nie wróżą UC sukcesu w postaci jakichkolwiek mandatów poselskich. Nie zanosi się na to, że Unia Centrum osiągnie to, co się udało PL2050 jako formacji kreującej się (fałszywie!) na siłę antysystemową w roku 2023. Nastroje społeczne są bowiem teraz odmienne od tych, które były trzy lata temu. UC jest w rządzie, a nie w opozycji, a układ rządowy popularność traci. Jeśli tak, to przyszłość polityków Unii Centrum jest po prostu w szeregach Koalicji Obywatelskiej – formacji, która zmonopolizowała lewicowo-liberalny obszar polskiej sceny politycznej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3d3726ab61



Zamek Czocha to jedna z perełek Dolnego Śląska FOT. ADOBE STOCK

Zamkołaz z miejskiej biblioteki

Z Markiem Gaworskim, autorem książek o zamkach i pałacach, współtwórcą aplikacji Projekt Castle, bibliotekarzem

rozmawia Radosław Wojtas

RADOSŁAW WOJTAS: Jak to się stało, że autor ponad 100 książek o zamkach i arystokratycznych rezydencjach, który przez lata obracał się wśród prezesów, wielkich szych i właścicieli najpiękniejszych pałaców, nagle odnajduje życiowe spełnienie w... lokalnej bibliotece?

MAREK GAWORSKI: Wszystko wzięło się z pewnego specyficznego przesytu, ale też z ogromnej, chyba wrodzonej potrzeby kontaktu z ludźmi. Po zakończeniu mojej kariery przedstawiciela handlowego, kiedy zająłem się już wyłącznie książkami, zacząłem spędzać czas w dość wąskim, hermetycznym gronie. Kiedy przez 30 lat pracujesz z ludźmi jako handlowiec, to mimo że w pewnym momencie masz ich serdecznie dosyć, wchodzi ci to w krew tak głęboko, że po jakimś czasie uświadamiasz sobie jedną rzecz: tych zwykłych ludzi zaczyna ci po prostu brakować.

Pomógł też zbieg okoliczności – czyli coś, co jest chyba na stałe wpisane w mój życiorys. Wyobraź sobie: pracuję tu jako gospodarz filii od września 2024 r. A rok wcześniej, w 2023 r., właśnie ta biblioteka w Sławięcicach przeszła gruntowny remont. Żeby uczcić ten fakt, pani dyrektor zleciła mi napisanie książki o pałacu w Sławięcicach – jednym z najwspanialszych pałaców na Opolszczyźnie, należącym niegdyś do rodu Hohenlohe, jednych z najbogatszych ludzi w ówczesnej Europie. Kiedy napisałem tę książkę, zorganizowano spotkanie autorskie. Siedziałem tam, w tej właśnie bibliotece, i nawet przez myśl mi nie przeszło, że rok później to ja będę jej gospodarzem. Dzisiaj mam ogromną satysfakcję. Siedzę u siebie, przychodzi czytelnik, a ja sprzedaję tę moją książkę – już nie jako niezależny autor z zewnątrz, ale jako dumnie reprezentujący tę placówkę pracownik biblioteki, od razu wpisując dedykację.

Podobno z tym czytelnictwem w Polsce jest tak sobie.

Cóż, u nas czytelnictwo rośnie, notujemy stałe zwyżki z miesiąca na miesiąc. Przez 30 lat sprzedawałem ludziom różne rzeczy, a teraz... teraz „sprzedaję" im coś, co jest za darmo. Proponuję książki, dyskutuję: „Skoro ta pani nie pasuje, to może spróbujemy inną?". Dobra polityka w bibliotekach i odrobina osobistego zaangażowania robią swoje.

Lepiej czujesz się na spotkaniu jako poważny autor albumu o zamkach czy animator w przedszkolu?

Zdecydowanie lepiej mi w tej drugiej roli. Co tydzień odwiedzam przedszkole w Sławięcicach, za każdym razem inną grupę. I tutaj wychodzi ze mnie to duże dziecko. Mimo że mam na koncie ponad 100 napisanych książek, nie mam najmniejszego problemu, żeby na takie spotkanie założyć bluzę z Kubusiem Puchatkiem i skarpetki z Królikiem Bugsem. Podwijam specjalnie nogawki dżinsów, żeby te skarpetki było dobrze widać, wsuwam na nogi różowe kapciuszki z kotkami i ruszam do akcji, byle tylko dzieciaki dobrze się bawiły.

Z perspektywy czasu widzę, że to był strzał w dziesiątkę. Co tydzień widzę

eprasa.pl 3d3726ab61

pełne szaleństwo, autentyczną radość. To niezwykle ważna misja społeczna. Dzieciom dzisiaj czyta się zdecydowanie za mało. Zwłaszcza dotyczy to czytania przez ojców. Kiedy pojawia się facet, do tego w bluzie z Puchatkiem, który potrafi zrobić z siebie sympatycznego wariata i odgrywa dla nich teatrzyk z książką w dłoni, odbiór jest fenomenalny. Przekłada się to zresztą bezpośrednio na ruch w naszej bibliotece. Rodzice, widząc entuzjazm dzieci, przychodzą z nimi po południu wypożyczać kolejne tomy.

Masz jeszcze czas na pisanie?

W tym roku nieco zwolniłem tempo. Bywały lata, że potrafiłem w 12 miesięcy napisać 11 monografii zamkowych i pałacowych. Teraz ukazała się potężna księga, która wykracza daleko poza granice Śląska – „Śmierć, bale i skandale", część 7. Niestety, Śląsk historyczny – Opolskie, Dolnośląskie i Śląskie – został już przeze mnie tak głęboko przebadany, że odkryłem tam większość białych plam. Niewiele jest w stanie mnie tam jeszcze zaskoczyć. Sięgnąłem więc głębiej w Polskę, a nasza ojczyzna jest długa i szeroka, pełna mrocznych sekretów.

Wydawnictwo Arkady czeka teraz na moją najnowszą, niezwykle krwistą książkę z cyklu „Śmierć, bale i skandale". Wstępny tytuł, który na pewno jeszcze ulegnie zmianie, brzmi „Śmierć w pałacu". To będzie zbiór fascynujących i makabrycznych historii: arystokratyczne samobójstwa, brutalne morderstwa za zamkniętymi drzwiami rezydencji, śmierć w pożarach i nieszczęśliwe, mrożące krew w żyłach wypadki.

Jako naczelny polski „zamkołaz" i ekspert od arystokratycznych rezydencji gdybyś miał dziś, teraz, polecić naszym czytelnikom dosłownie kilka konkretnych miejsc na weekendowy wyjazd, to co by to było?

To niesprawiedliwe pytanie! Wystarczy zamknąć oczy, wycelować palcem w dowolny punkt na mapie Polski i gwarantuję ci, że ów palec wyląduje bardzo blisko jakiegoś spektakularnego, pięknego zamku, pałacu czy dworu.

Jeśli jednak żądasz konkretów: jako Ślązak zawsze będę polecał... pałac w Kozłówce w województwie lubelskim, niesamowity Wilanów czy klasyczny Malbork. Na zachodzie: Zamek Książąt Pomorskich



Marek Gaworski (z prawej) i Rafał Gieroń, twórcy aplikacji Projekt Castle, pozwalającej m.in. odkrywać zamki i pałace w Polsce FOT. KAROLINA KUMOSZ

w Szczecinie, zamek w Międzyrzeczu, zjawiskowy zamek joannitów w Łagowie i pałac w Mierzęcinie. Dolny Śląsk to studnia bez dna: Zamek Czocha, majestatyczny Książ, no i mój absolutnie ukochany pałac Marianny Orańskiej w Kamieńcu Ząbkowickim. Ten ostatni obiekt podnosi się z ruin w niewiarygodnym tempie. Niedawno udostępniono tam odtworzone pałacowe ogrody – powiem krótko, gdyby postawić je obok ogrodów wilanowskich, mogłyby stoczyć twardy, wyrównany bój o tytuł najpiękniejszych w Polsce.

Idźmy dalej: Opolszczyzna to bajkowa Moszna i renesansowy zamek w Brzegu. Łódzkie to genialne pałace przemysłowe w samej Łodzi oraz dwór w Kalinowej, w którym swego czasu bywał Moniuszko i który „grał" Straszny Dwór. Podkarpacie? Zamek w Baranowie Sandomierskim (nasz mały Wawel), wspaniały Krasiczyn i zamek w Przemyślu. Na Śląsku polecam oczywiście Pszczynę, neorenesansowe Pławniowice i nasze wspaniałe ruiny na Szlaku Orlich Gniazd – Ogrodzieniec, Mirów czy Bobolice. W Świętokrzyskiem zachwycają Chęciny i sienkiewiczowski Oblęgorek. Mógłbym wymieniać do rana!

Nie bez przyczyny wystarczyło materiałów na ponad 100 książek. W aplikacji, którą niedawno udostępniłeś, opisałeś już ponad 1,6 tys. obiektów. To prawda, że robicie ją we dwóch?

Tak, to w całości „dziecko" moje i mojego przyjaciela, Rafała Gieronia. Rafał, znakomity operator wideo i spec od nowych technologii, namawiał mnie na to latami. Długo się opierałem, brakowało czasu, chęci. Aż wreszcie zapadła klamka i na poważnie wzięliśmy się do pracy. W ten sposób narodził się „Projekt Castle" – w pełni darmowa aplikacja na systemy Android i iOS. I zaznaczam: ona zawsze będzie darmowa. Robimy to z czystej pasji. Łączymy doskonałe umiejętności techniczne Rafała z moją – powiedzmy nieskromnie – obszerną bazą wiedzy historycznej i fotograficznej.

Baza obiektów dobiega w tej chwili do imponującej liczby 1,7 tys. zamków, pałaców i dworów z całej Polski. Docelowo wprowadzimy ich 3 tys. – tyle dokładnie mamy w naszych archiwach, zweryfikowanych i sfotografowanych. To jest potężne narzędzie turystyczne. Nasz oficjalny start medialny odbył się 1 maja na Zamku Czocha. Notujemy regularnie ok. 1. tys. pobrań miesięcznie. Mamy w aplikacji aktywnych kilka tysięcy użytkowników.

Co potrafi wasz cyfrowy przewodnik?

Wszystko, czego potrzebuje turysta pasjonat. Na przykład wytyczasz sobie trasę z Warszawy do Malborka, ustalasz, że możesz zboczyć z głównego szlaku, powiedzmy, o 15 km, klikasz... i gwarantuję ci, że po wyświetleniu wyników do tego Malborka po prostu nie dojedziesz. Zatopisz się po drodze w gąszczu wspaniałych rezydencji, o których istnieniu nie miałeś pojęcia.

Do tego dołożyliśmy – to zasługa Rafała, człowieka XXI w. – modną grywalizację. Stworzyliśmy sieć fizycznych punktów, takich wirtualnych pieczątek. W ok. 50 zamkach i pałacach stoją przygotowane przez nas tabliczki z kodem QR. Turysta skanuje kod, melduje się w obiekcie, zdobywa punkty i dostaje pięknego wirtualnego „pina" z rysunkiem danego zamku do swojej kolekcji. Rywalizacja zachęca do zwiedzania. Współpracujemy już ze Szlakiem Orlich Gniazd, Europejskim Szlakiem Zamków i Pałaców oraz ze Szlakiem Zamków Piastowskich. Użytkownicy w zakładce „Mapa Odkrywców" mogą też samodzielnie dodawać inne zabytki: kościoły, mauzolea czy perły techniki. Planujemy integrację z kalendarzami imprez historycznych, by aplikacja informowała o turniejach rycerskich. Mało tego, wkrótce wdrożymy moduł dla dzieci z bajkowymi, rysunkowymi wizerunkami zamków oraz nagranymi legendami, które będę osobiście czytał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3d3726ab61

I dokąd ta podróż?



Piotr Gociek

Ekranizacja „Odysei" Homera dokonana przez reżysera, który nie cierpi ludzi i pomija bogów – co mogło pójść nie tak?

FOT. MELINDA SUE GORDON/UNIVERSAL PICTURES

Ciekawa rzecz: podczas medialnych występów promujących film „Odyseja" Lupita Nyong'o, obsadzona w roli Heleny Trojańskiej, chwaliła się publicznie swoim nieuctwem. Otóż nie czytała nigdy „Odysei". Sprowokowało to znakomitego historyka Victora Davisa Hansona do zadania publicznie pytania: Jak można być absolwentem Yale i nigdy nie przeczytać Homera?

Nowy film Christophera Nolana wychwalany jest przez jednych i krytykowany przez drugich, przy czym obu stronom zdarza się czynić to z niewłaściwych powodów. Czy rzeczywiście, jak chcą entuzjaści talentu Nolana, mamy do czynienia z wielkim epickim dziełem? Otóż nie, mamy do czynienia z dziełem wystawnym, lecz nużącym. Czy faktycznie błędy obsadowe, to znaczy wprowadzona do filmu na siłę różnorodność, sprawiają, że nie da się tego oglądać? Otóż nie, da się to oglądać, ale gdyby ich nie popełniono, to przyjemność byłaby dużo większa.

Ben Shapiro, znany komentator konserwatywny z USA, stwierdził, że „Odyseja" jest filmem potajemnie chrześcijańskim. Andrew Klavan – że to dobre kino. Matt Walsh – publicysta z tego samego kręgu, czyli „The Daily Wire" – ma „Odyseję" za gniota woke i DEI. Ale recenzent „The National Review" Giancarlo Sopo chwalił Nolana za to, że „stworzył epickie dzieło, które do kwestii metafizycznych podchodzi z moralną powagą i ukazuje niszczycielską cenę, jaką płaci się za wystąpienie przeciwko boskim siłom". Wszyscy nie mogą mieć racji. A może każdy ma jej trochę? Opinii prasy lewicowo-liberalnej streszczać nie będę. Oni nie mają wyjścia, muszą chwalić. Jednego nelsona założyli im zwolennicy postępowego castingu (jakże mu się sprzeciwić?), a drugiego nelsona protestujący liderzy opinii alt-prawicy, głośno występujący przeciw temu, że Zendaya to bogini Atena, Helena to Lupita Nyong'o, a wśród żołnierzy wracających spod Troi wraz z Odyseuszem mamy i Latynosów, i Koreańczyka.

BŁĄD U PODSTAW

Zacznijmy od podstaw. Przekład Emily Wilson, na którym oparł się Nolan, jest słaby, uproszczony, zrobiony dla półgłówków, próżno w nim szukać magii poezji oryginału. Porównałem go z polskim przekładem dokonanym niedawno przez Antoniego Liberę – nie ma w ogóle o czym rozmawiać. To tak, jakbyśmy dialogi z hollywoodzkich filmów wykorzystujące maksymalnie 300 najprostszych słów porównywali z przekładami Szekspira robionym przez Barańczaka.

W dodatku Emily Wilson stwierdziła, że nowa wersja „Odysei" ma wreszcie oddawać sprawiedliwość postaciom kobiecym, które Homer podobno traktował po macoszemu. Bzdura, u Homera postaci kobiecych jest wiele, każda ważna i każda inna, bo pokazujące rozmaite aspekty kobiecości. Helena, Kirke, Kalypso, Kasandra, Penelopa. I oczywiście mamy też boginie, z Ateną na czele. Ale, rzecz jasna, tezy o rzekomej toksycznej męskości poematów Homera natychmiast zaczęła bezmyślnie powtarzać Lupita Nyong'o. Łatwo jej przyszło, skoro nawet feministycznej wersji nie czytała.

Mamy więc grzech pierwszy: oto ekranizacja „Odysei", która nie jest właściwie

eprasa.pl 3d3726ab61

ekranizacją „Odysei". Słychać w dialogach to uwspółcześnianie na siłę. Niestety.

Przejdźmy do grzechu drugiego: kontrowersyjnej obsady. Pisałem już przy innych okazjach, że tzw. colorblind casting, tak promowany w postępowych kręgach, to w istocie zakamuflowany rasizm. Jego zwolennicy mówią bowiem, że nie należy przejmować się kolorem skóry aktora, tylko oceniać jego dokonania artystyczne. Zatem nie powinna nam przeszkadzać czarna Helena Trojańska, czarnoskóra królowa wikingów w serialu Netflixa czy hinduski aktor grający Davida Copperfielda. I można byłoby się z nimi zgodzić (Denzel Washington jako Makbet był świetny), gdyby nie fakt, że nie działa to w drugą stronę: obsadzenie białego aktora jako Manitou czy nordyckiej blondynki w roli Kleopatry wywołałoby skandal. Zatem mamy do czynienia z rasizmem, hipokryzją oraz politycznymi zabiegami, które nie pozwalają na ocenę dzieła sztuki wedle zasad uniwersalnych. Wprowadzają w to miejsce kryteria etniczne i genderowe, jak w regulaminie Oscarów, o które ubiegać się mogą jedynie filmy, w których występuje odpowiednia liczba przedstawicieli mniejszości – także seksualnych. Jeśli Nolan marzy o kolejnych Oscarach, to musi grać tak, jak Akademia Filmowa sobie życzy. Proste.

Kłopot z obsadą jest jednak w „Odysei" poważniejszy. Nie tylko czarna Helena i smagła Atena rozbijają imersję, to znaczy nie pozwalają nam płynnie zanurzyć się w świecie mitu. Mamy także dziwaczną parodię Homera, to znaczy znanego rapera Travisa Scotta, który swym poetyckim slamem otwiera film. Oraz scenariusz pełen dialogów nazbyt współczesnych, co sprawia, że i część aktorów zamiast zabierać nas w trans, jakim jest film, wytrąca nas z tego stanu. Proszę sobie przypomnieć, jak umiejętnie rozegrał tę kwestię Peter Jackson, ekranizując „Władcę Pierścieni" – nie widzieliśmy na ekranie Orlanda Blooma, tylko Legolasa; nie widzieliśmy Vigga Mortensena, tylko Aragorna. Magia mitu działała (Tolkien pisał swe arcydzieło jako „nowy mit dla Anglii"). W „Odysei", gdy patrzymy na Penelopę, nie widzimy Penelopy, tylko Anne Hathaway udającą Penelopę; gdy patrzymy na najważniejszego z zalotników, widzimy Roberta Pattinsona udającego tę postać – długo by wymieniać. Obsadzenie drobniutkiego transaktora Elliota Page'a jako greckiego żołnierza Sinona też niszczy imersję, bo Page wygląda jak wychudzony nastolatek, a nie jak żołnierz 10 lat wojujący z Trojanami. (Przy okazji wyjaśnijmy też, że postać Sinona odgrywającą kluczową rolę w podstępie z koniem trojańskim pożyczył Nolan z „Eneidy" Wergiliusza).

ODYSEUSZU, CZY JESTEŚ SOBĄ?

Na tym tle nieźle wypada Matt Damon, którego najlepsze sceny to słodka niewola u Kalypso, granej przez Charlize Theron (jest chemia między tymi postaciami i są to sceny naprawdę udane). Tyle że wypada zapytać, czy jego Odyseusz jest rzeczywiście Odyseuszem z poematu Homera? I tak, i nie. Co prowadzi nas oczywiście do trzeciej i najważniejszej kwestii: Czy adaptacja dokonana przez Nolana oddaje ducha poematu Homera, jednego z najważniejszych tekstów w dziejach kultury zachodniej?

Otóż jest u Homera Odyseusz symbolem człowieka wytrwałego, mądrego i sprytnego, który potrafi znaleźć wyjście z najtrudniejszej sytuacji. Przeciwstawiony jest Achillesowi (i innym greckim bohaterom, którzy preferują rozwiązywanie problemów mieczem, a nie głową). Nie jest tak porywczy, jak jego wodzowie, stara się być sprawiedliwy, to znaczy, że nie ulega porywom serca. W miejsce tego bohatera dostajemy od Nolana weterana wojennego nękanego PTSD, który nie może sobie wybaczyć wszystkich złych rzeczy, których się dopuścił.

Kluczowe pojęcia dla dziejów Odyseusza to „xenia", „hubris" i „nostos". To pierwsze to święte prawo gościnności. Jego złamanie ściąga na głowę sprawcy pomstę bogów, bo narusza moralny porządek świata. Podobne są konsekwencje hubris – czyli pychy, arogancji, poczucia wyższości. Moglibyśmy nawet rzec: wejścia śmiertelnika w rolę boga. Ten grzech także kończy się nieuchronnym upadkiem. Klęska bohatera dotkniętego hubris jest wpisana od razu w jego największe dokonania, nie da się jej uniknąć.

Jest wreszcie nostos: powrót do domu, bez którego niepełne są żaden wysiłek i żadna przygoda. Z połączenia nostos i algos (cierpienie) powstało



FOT. MELINDA SUE GORDON/UNIVERSAL PICTURES



FOT. MELINDA SUE GORDON/UNIVERSAL PICTURES



FOT. MELINDA SUE GORDON/UNIVERSAL PICTURES



FOT. MELINDA SUE GORDON/UNIVERSAL PICTURES

eprasa.pl 3d3726ab61





FOT. MELINDA SUE GORDON/UNIVERSAL PICTURES

greckie słowo nostalgia, które wcale nie oznaczało cieplutkiego wzruszenia ogarniającego serce, lecz ból, jaki czujemy oderwani od swych korzeni. Powrót do domu po najstraszniejszej nawet wojnie, po najdalszych i najdziwniejszych wojażach – dopiero on daje szansę bohaterowi na dopełnienie życia i losu. Jednak nostos to nie tylko podróż w sensie fizycznym; to także powrót, który ma ukoić znękaną duszę.

„Ocalenie duszy, powrót do siebie, wymaga nie tylko przejścia przez trudy i cierpienia serca, ale czegoś więcej: podróży, która pozwoli dostrzec, że droga przez przeciwności na morzu była etapem drogi powrotu do siebie samego. To właśnie o tej szczególnej podróży pisze Homer, każąc Odyseuszowi wyruszyć w ostatnią podróż" – pisał prof. Marek Piechowiak w arcyciekawym szkicu „Odyseusz na emeryturze". I przypominał, że podróż Odysa nie kończy się pomstą dokonaną na zalotnikach w Itace, lecz wypełnieniem proroctw/zadań, które usłyszał podczas wizyty w Hadesie. Potem ruszyć ma w podróż, która zakończy się w chwili, gdy napotka ludzi nieznających morza, którym jego wiosło zdawało się będzie łopatą do zboża. Tam ma złożyć ofiarę i pojednać się z Posejdonem.

U Nolana niby wszystko się zgadza: jest nostos, wędrówka do domu, jest upór Odysa, którego nie złamie nawet słodka niewola u Kalypso, jest nieustanna tęsknota za domem, jest połamana dusza. Ale aktem, który ściąga na bohatera gniew Posejdona, nie jest akt pychy, lecz okrucieństwa. Jest wreszcie nieustanne łamanie świętego prawa gościnności, co ma być dowodem na to, jak bardzo ludzkość upadła – tyle tylko że zapomina nam powiedzieć Nolan, że porwanie Heleny przez Parysa też było złamaniem tego prawa. Dlaczego o tym zapomina? Bo to wygodne. Przypomnienie, że kara bogów, która spadła na Troję, została wywołana ich własną winą, nie pasowałoby do traktatu Nolana o tym, jak zły jest człowiek, jak złe są wojny. W jego filmie zdobycie Troi ukazane jest jako akt ostatecznego upadku cywilizacji, która odrzuca prawa bogów i pogrąża się w morderczym szale. Tu też Nolan wygodnie zapomina o kluczowym elemencie „Iliady" i „Odysei" – że wojnę trojańską prowadzili nie tylko Achajowie i mieszkańcy Troi, lecz także bogowie, opowiadający się po jednej lub drugiej stronie. Skoro chce uwspółcześniać, to może zauważyłby, że może przedstawić konflikt jako pierwszą proxy war – którą bogowie prowadzą, wykorzystując bezlitośnie ludzi.

W filmie Nolana bogów brak – jedynym wyjątkiem jest Atena, co do której nie mamy pewności, czy jest realna czy to tylko majaczenia nękanego wyrzutami sumienia umysłu Odyseusza. I o ile w finale filmu okazuje się, że ten chwyt miał sens i jest uzasadniony (z punktu widzenia typu opowieści snutej przez Nolana), o tyle pominięcie roli bogów umniejsza heroizm podróży Odyseusza oraz skalę tragedii, w którą uwikłane są przecież niemal wszystkie postacie tej historii. Zamiast eposu o ludziach i bogach jest opowieść o traumie – ot, odczytanie współczesne, reinterpretacja, zgodna z innymi filmami Nolana. Który przecież jest wielkim mizantropem. W poprzednich dziełach nieustannie podsuwał nam figurę bohatera, który wygrywając, jednocześnie odnosi porażkę – Batmana, Oppenheimera, nawet Coopera z „Interstellar", który ocali ludzkość, ale utraci rodzinę. W tym ostatnim filmie najbardziej ponurą i fałszywą postacią był dr Mann – oczywista aluzja: „man", czyli „człowiek".

GDZIE SIĘ PODZIAŁO PIĘKNO?

Myślę, że znaleźliśmy się w miejscu, które pokazuje wreszcie podstawowy kłopot z nowym filmem Christophera Nolana. Czego brak w jego „Odysei"? Najbardziej brak piękna, niezwykłości, cudowności, zapierającej dech w piersiach epickości. Historia rozpięta jest między dwiema krwawymi rzeziami – upadkiem Troi i wymordowaniem zalotników na Itace. Ale to, co pomiędzy, jest także pasmem krwawych i ponurych wydarzeń, każda kolejna odwiedzana wyspa to kolejne okrucieństwo, kolejna trauma do kolekcji wyrzutów sumienia Odyseusza. Nolan wplata w swą opowieść wątek Ludów Morza przybywających, nie wiadomo skąd, by spustoszyć świat. W jego interpretacji to my, ludzie w ogóle (a w filmie Achajowie ruszający pod Troję), jesteśmy ludami morza; człowiek jest najdzikszą bestią, która rujnuje naturalny porządek świata.

Wyliczając przewiny ludzkości, nie znajduje Nolan miejsca na dobro: pomija kluczowe dla „Odysei" fragmenty, gdzie Odyseusz trafia do Feaków przestrzegających prawa gościnności i przyjmujących go po królewsku, by wysłuchać opowieści o jego trudach i wędrówkach. Wyrzuca z „Odysei" dwie najważniejsze rozmowy Odyseusza w Hadesie: z matką, która zmarła ze zgryzoty, nie mogąc się doczekać jego powrotu. I z Achillesem, który z goryczą wyznaje, że wolałby prowadzić długie i spokojne życie, a nie żyć szybko i umrzeć młodo. Opowieść Nolana jest jednostronna, nawet wyraźna sugestia, że cierpimy, gdy odrzucamy prawa boskie, podszyta jest sugestią, że ani ich przestrzegać po prostu nie potrafimy, ani na to, by wedle nich żyć, nie zasługujemy. Homer nie był mizantropem. Nolan bez wątpienia nim jest.



REŻ. CHRISTOPHER NOLAN „ODYSEJA" USA, WIELKA BRYTANIA 2026

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3d3726ab61



Grzegorz Kondrasiuk

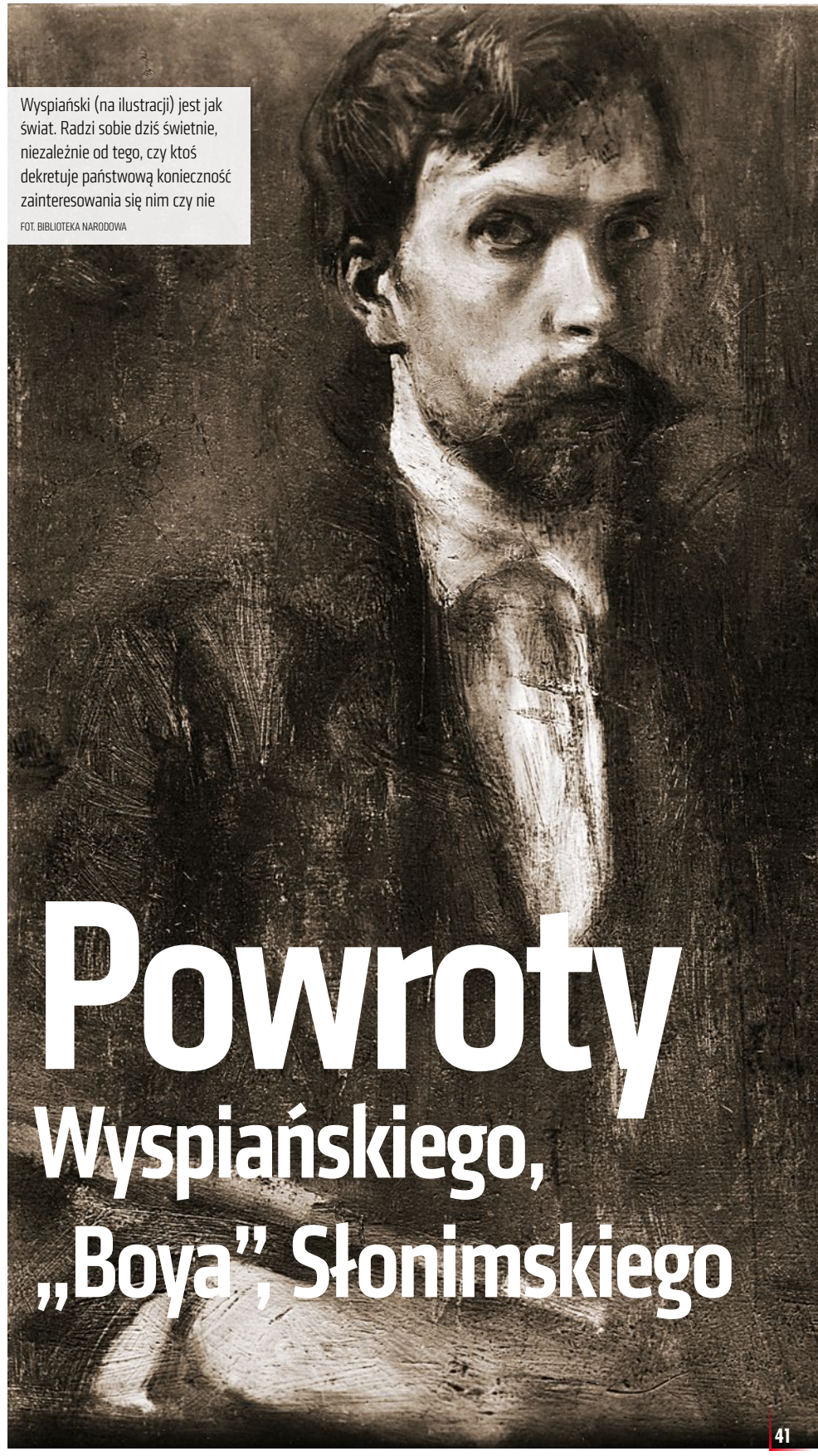
Powroty Wyspiańskiego, „Boya”, Słonimskiego

Przeszłość – nawet ta stosunkowo niedawna – zaciera się pod presją polityk historycznych, walk o narrację i popkulturowych, kompletnie zafałszowanych klisz. Im więcej o niej wiemy, tym bardziej jest niespójna, ale i tym bardziej wciągająca. Na platformach streamingowych nie brakuje seriali historycznych rozmaitej jakości, półki w supermarketach są zawalone szybko i dla kasy pisaną beletrystyką. Pozostają biografie myśli i postaw

Zanim pójdziemy głębiej w kulturalny rok 2026, popatrzmy na konsekwencje różnych symbolicznych gestów wykonywanych w roku minionym. Jego patronami, według Sejmu RP, byli Stefan Żeromski, Stanisław Reymont i Antoni Słonimski. Tego rodzaju uchwały wbrew pozorom dość kiepsko przekładają się na powroty różnych znakomitości do obiegu. W dodatku pamięć kulturowa rządzi się własnymi prawami. O Reymoncie w Polsce ani słychu, ani widu, co nieco – o Żeromskim. Rynek książki przypomniał ostatnio o „Boyu” i Słonimskim kompetentnymi biografiami opartymi o ogrom źródeł. Ale wciąż twórczym artystą wydaje się, nieobecny w oficjalnych uchwałach, Stanisław Wyspiański.

WYSPIAŃSKI

Wyspiański jest jak świat. Radzi sobie dziś świetnie, niezależnie od tego, czy ktoś dekretuje państwową konieczność zainteresowania się nim czy nie. Imponuje już sama stała obecność twórczości Wyspiańskiego w muzeach i galeriach. Z większych wydarzeń: w Londynie od marca do lipca 2025 r. pokazywała go National Portrait Gallery. Stale pamiętają o artyście warszawskie Łazienki. Nie jest to przypadek, okolice Belwederu uruchomiły



Wyspiański (na ilustracji) jest jak świat. Radzi sobie dziś świetnie, niezależnie od tego, czy ktoś dekretuje państwową konieczność zainteresowania się nim czy nie

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl 3d3726ab61

wyobraźnię artysty, czego świadectwem „Noc listopadowa". Stąd „Ikonosfera Wyspiańskiego", wystawa ze świetnym katalogiem przygotowana w 2025 r., czytania „Nocy Listopadowej" czy różne muzealne wydarzenia edukacyjne.

Nie wiem, czy to dobrze czy źle, ale o artyście nie mogą też zapomnieć polskie teatry. Jan Klata „Wyzwoleniem" otwierał po remoncie gdański Teatr Wybrzeże, pokazując je w estetyce zbliżonej do butoh. W Narodowym Starym Teatrze nowy dyrektor artystyczny, Jakub Skrzywanek, zainscenizował „Zamach na Narodowy Stary Teatr. Narodziny narodu", rozpoczynający się fragmentami pierwszego aktu „Wyzwolenia", potraktowanego dekonstrukcyjnie, tak by myśl artysty skompromitować. Z kolei Teatr im. Słowackiego ogłosił, że do wystawienia „Wyzwolenia" przygotowuje się Maja Kleczewska. Po jej „Weselu" (i „Dziadach") na tej scenie będzie to zapewne kolejna odsłona wojny z romantycznym i poromantycznym mitem. Jeśli mowa o teatralnym Wyspiańskim, to nie sposób nie wspomnieć o propozycjach Agaty Dudy-Gracz, wyróżniających się własnym charakterem pisma na tle często wtórnego i płytkiego głównego nurtu – choć przecież korzystająca z tych samych narzędzi i strategii. Wyspiański jest też stale obecny na rynku wydawniczym. Oprócz katalogów wystaw można wskazać ostatnio wydane ważne książki Iwony Rusek („Stanisław Wyspiański: mit – tradycja – historia", IPN) i Marii Prussak („Brzmienia Wyspiańskiego" Żywosłowie).

„BOY"

Specjalnością zakładu „Boya" publicysty było słynne „odbrązawianie". Jak wiadomo, jego głównym składnikiem było zaglądanie słynnym postaciom, Mickiewiczowi czy Janowi Sobieskiemu i Marysieńce, pod kołdrę. Paradoksem recepcji „Boya" jest fakt, że odbrązawianie ominęło jego samego. O ile w dwudziestoleciu miał licznych wrogów, tych wielkich i tych małych, wytykających mu liczne przywary, o tyle już powojenna recepcja przebiegła inaczej.

„Książę. Biografia Tadeusza Boya-Żeleńskiego", najnowsza książka Moniki Śliwińskiej – oparta jak zawsze na pracy archiwalnej i badawczych śledztwach – dostarcza do odbrązowienia aż nadto materiału. Ale sekrety „Boya" nie wzbudzają dziś zainteresowania. O ile wydawcy kochają książki o tym, z kim spał Słowacki czy powstańcy z „Kamieni na szaniec", o tyle już na ikoniczne dla lewicy światopoglądowej postaci nie ma takich i tego rodzaju poczytnych zamówień. „Boy" jest pamiętany głównie poprzez swe ogromne dzieła (tłumaczenia i publicystykę), które ukształtowały jego wizerunek. Mniej i bardziej znane fakty z jego życia – o czym pisano wielokrotnie, od wspomnień syna i innych świadków epoki, aż po niedawną książkę Dominiki Niedźwiedź o autokreacji „Boya" – pokazują coś w rodzaju rozpadu osobowości na dwa aspekty. „Boy" – pisarz, tłumacz, krytyk i felietonista, błyskotliwy humorysta, człowiek sukcesu, ikona liberalnej lewicy, formacji „Wiadomości Literackich", sprawnie zarządzający swoim wizerunkiem – i Tadeusz Żeleński, prywatnie zaskakująco odmienny od swojego medialnego wizerunku: ponurak, milczek, nadwrażliwy egotyk.

Są takie biografie, po które nie należy sięgać, jeśli się jest wielbicielem opisywanego artysty – ale przydają się, by go pełniej rozumieć

Są takie biografie, po które nie należy sięgać, jeśli się jest wielbicielem opisywanego artysty – ale przydają się, by go pełniej rozumieć. Do takich należy właśnie „Książę". Śliwińska nie kwestionuje wielkości swego bohatera i raczej odnosi się do niego z sympatią oraz podziwem. Jednocześnie przywołuje z niebytu ogrom mało znanych i często dość kompromitujących szczegółów, powstrzymując się od ocen, raczej zasłaniając się cytatami. W ostatniej części książki, poświęconej losom „Boya" we Lwowie pod okupacją sowiecką, zajmuje jednak stanowisko jednoznaczne, broniąc go np. przed zarzutami Jacka Trznadla.

„Książę" sporo mówi o Żeleńskim przed narodzinami przebojowego „Boya", zatopionym w odmętach młodopolskiej dekadencji, pod przemożnym wpływem Przybyszewskiego. Hazardzista, dekadent, nieudany lekarz migający się od pracy w wojskowym szpitalu, zatrzymywany przez policję, z krzykiem rozpaczy błąkający się po Plantach… Biografistka przywołuje trudne początki serii tłumaczeń, słynnej Biblioteki Boya, sfinansowanej z posagu żony, aż do końca zresztą deficytowej. Pierwsza część „Księcia" traktuje o umiejętnościach menedżerskich „Boya", kreowaniu wizerunku poprzez wywoływanie skandali, wszczynanie awantur publicystycznych, prowokowanie procesów sądowych, które sam tendencyjnie relacjonował pod pseudonimem, a także rozpuszczanie fikcyjnych wiadomości o atakach oponentów politycznych i ideowych. Interesujące – jeśli chodzi o etykę zawodu krytyka teatralnego – są ustalenia okoliczności debiutu „Boya" w tej profesji. Zlecenie na pierwszą recenzję teatralną dał mu Rudolf Starzewski, naczelny „Czasu", kolega i były adorator żony, a pisał o wystawieniu „Świętoszka" we własnym przekładzie. Wkrótce, korzystając ze znajomości i wpływów, umożliwia angaż swojej kochance, aktorce Janinie Szreniawie, pisze też pochlebne recenzje o jej epizodycznych rolach. Przystępując do opowieści o słynnym związku z Ireną Krzywicką, powieściopisarką i partnerką „Boya" w postępowych kampaniach prasowych, Śliwińska dokonuje zastanawiającego zestawienia dwóch cytatów. Wielokrotnie przywoływaną apologię nowoczesnego małżeństwa („I oto mamy małżeństwo na nowych podstawach: dwoje ludzi wolnych, mieszkających pod jednym dachem, którzy mogą się rozchodzić, schodzić, bez hałasu, bez skandalu, z każdej sytuacji wynosząc nietknięty skarb wzajemnej przyjaźni i – dobrego wychowania. Idylla") zderza z innym wspomnieniem o żonie „Boya": „Była to osoba pełna delikatnego uroku, inteligentna i subtelna […]. Gdy ją poznałem, była to już jednak kobieta zniszczona i zmęczona i zawsze jak gdyby zgaszona" (Roman Jasiński). Śliwińska, przypominając wkład Zofii w karierę „Boya", wydobywa ją z cienia (ponownie, bo o siostrach Pareńskich pisała w jednej z poprzednich książek). „Była mu także

eprasa.pl 3d3726ab61

powiernikiem i najbliższym współpracownikiem; robiła z nim wspólnie korekty tekstów, dyskutowała nad kształtem powstającego lub zamierzonego dzieła, troszczyła się o sprawy druku i kontaktów z redakcjami. Ojciec ufał jej miłości, inteligencji, wrażliwości i wiedzy" (Stanisław, syn pisarza). Historia tego małżeństwa sąsiaduje z bezwzględnie opisanym mariażem z Ireną Krzywicką i ze sprostowaniem licznych przeinaczeń popełnionych przez nią w „Wyznaniach gorszycielki". Dwadzieścia pięć lat od słynnego kochanka młodsza, aktywna w powojennej, komunistycznej Polsce, u schyłku życia wydała wspomniane poczytne pamiętniki, co miało decydujący wpływ na publiczną wiedzę (i niewiedzę) o „Boyu". Wystarczy zajrzeć do Wikipedii i porównać miejsce, jakie w haśle „Boy" zajmują Krzywicka i Żeleńska.

SŁONIMSKI

Z prawie niewidocznych objawów Roku Antoniego Słonimskiego można odnotować sesję rocznicową w Bydgoszczy, zorganizowaną przez miejską bibliotekę i Uniwersytet Kazimierza Wielkiego. Mamy też biografię „Słonimski. Heretyk na ambonie" Joanny Kuciel-Frydryszak (napisaną długo przed „Chłopkami") oraz książkę Piotra Sitkiewicza „Człowiek-Brzytwa" – obie wydane rok przed Rokiem Słonimskiego.

Książka Kuciel-Frydryszak należy do rzetelnego i kompetentnego gatunku biografii, możliwej do napisania po kilku- (jeśli nie kilkunasto-) letnim bywaniu w archiwach i bibliotekach. W wersji reedytowanej (przeredagowanej i rozszerzonej) wydały ją Marginesy. Życie Słonimskiego nie było przedmiotem zbyt wielkiego publicznego zainteresowania, w dodatku jego działalność powojenna (także polityczna) nieco „przykryła" przedwojenną. Stąd lektura „Heretyka" przynieść może sporo zaskoczeń. Znamy Słonimskiego jako jednego ze skamandrytów. Ale czy pamiętamy, że napisał skonfiskowany przez cenzurę anarchosyndykalistyczny tomik „Czarna wiosna", a w pierwszych latach znany był raczej jako malarz i dziennikarz? Że był zapalonym tenisistą, kibicem sportowym, kinomanem? Biografistka tropi też ślady po pierwszym zakochaniu, w gwieździe Picadora, femme fatale Marii Morskiej, która kształtuje młodego, aspirującego poetę dziennikarza intelektualnie i światopoglądowo. Słonimski miał długie i tzw. ciekawe życie, a „Heretyk" jest jego, dość obiektywną, syntezą, wyznaczającą węzłowe punkty i miejsca problematyczne do kolejnych poszukiwań. To nie tylko zaangażowanie w apogeum socrealizmu, późniejsza działalność opozycyjna i inwigilacja SB, ale mało znana historia stopniowego korumpowania poety przez komunistów w latach jego powojennej emigracji, gdy – po odejściu z UNESCO – szefuje właśnie powołanemu przez nich Instytutowi Kultury Polskiej w Londynie. Liczne rozmowy i dotarcie do archiwów i zbiorów prywatnych przełożyły się na panoramę opinii o Słonimskim powojennym. Nie brakuje tych krytycznych, jak Hemara oceniającego decyzję o powrocie do komunistycznej Polski jako zdradę, gdy w wierszu „Do poety reżymu" napisał, że „dziś się obrzezał na komunizm", czy zapisków Kisiela z „Dzienników".

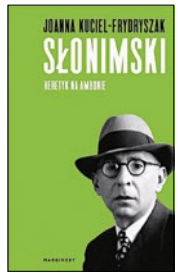
Biografia jest jednym z najtrudniejszych i najbardziej pracochłonnych gatunków literackich. Trudności wynikają z konieczności zapanowania nad sprzecznymi żywiołami: rzetelności, czyli oceanicznej nudy dokumentacji historycznej, nadmiaru wynikających z niej faktów i konieczności wytworzenia spójnej narracji. Kuciel-Frydryszak pisze oszczędnie, Śliwińska stara się nie pominąć niczego. Obie biografistki mają talent do gromadzenia „smaczków" oraz sporu z powszechną wiedzą o słynnych ludziach, powstałą z ich kłamstewek na własny temat i z mitologii ogólnospołecznej. Weryfikują autobiografie, wspomnienia, sięgają nieznanej szerzej korespondencji, wertują roczniki pism, docierają do archiwów. Taka praca na źródłach jest konieczna – bo choć większość dorobku „Boya" czy Słonimskiego trafiła, nieraz wielokrotnie, do książek, to obaj uprawiali automitologię, zmieniali wersje własnych tekstów, wyostrzając lub autocenzurując pierwodruki, a po wojnie podlegali PRL-owskiej cenzurze.

Słonimskiego jeszcze raz wnikliwie przeczytał Piotr Sitkiewicz w „Człowieku-Brzytwie". Stawia on tezę o felietonowej naturze całej jego twórczości publicystycznej, wiecznego obrońcy „słusznych spraw", złożonego z warstw, romantyka – pozytywisty – socjalisty. Śledzi pokrewieństwa z „Boyem", pisze o ideowym (ale też stylistycznym) dziedzictwie Bolesława Prusa i jego „Kronik tygodniowych". Pokazuje Słonimskiego jako „wychowawcę Polaków", kierującego swoje diatryby do czytelników podzielających jego poglądy. Misję tę, nawiasem mówiąc, podjął po swojemu jego „pierwszy sekretarz" – według żartobliwego samookreślenia – Adam Michnik, który przejął odeń przekonanie o „dwóch Polskach" i paniczny lęk przed endecją.

Warsztat filologa i analiza źródeł pozwalają Sitkiewiczowi na bezwzględne analizy strategii polemicznych czy autocenzuralnych stosowanych także przez samego Słonimskiego. Ogląda on też z bliska rozmaite opinie i stereotypy, o „Słonimskim nieuku" (tu istnieje ciekawa dla badań publicystyki międzywojnia opozycja: nudziarze erudyci kontra powierzchowni dowcipnisie) czy o bezwzględnym krytyku (teza, że ośmieszające felietony nie tylko niszczyły portretowane w nich postaci, lecz także je popularyzowały). Przypomina słowa Słonimskiego, ciężko przecież uzależnionego od uprawiania publicystyki i natychmiastowego odbioru – o krytyce jako uciążliwym wyrobnictwie, działalności usługowej uprawianej z powodów finansowych.



MONIKA ŚLIWIŃSKA „KSIĄŻĘ. BIOGRAFIA TADEUSZA BOYA-ŻELEŃSKIEGO" WYDAWNICTWO LITERACKIE 2024



JOANNA KUCIEL-FRYDRYSZAK „SŁONIMSKI. HERETYK NA AMBONIE" MARGINESY 2024



PIOTR SITKIEWICZ „CZŁOWIEK-BRZYTWA. CZTERY SZKICE O FELIETONACH ANTONIEGO SŁONIMSKIEGO" SŁOWO/OBRAZ TERYTORIA 2024

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3d3726ab61



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Groza teściowej



★★★★★★

MINISERIA „LUCKY” USA 2020

wyst. Anya Taylor-Joy, Annette Bening, Clifton Collins Jr., dystr. Apple TV+

To się nazywa bagaż: walizka z 10 mln dol. Świeżo upieczonymi posiadaczami walizki są Luciana (Anya Taylor-Joy) i Cary (Drew Starkey). Spędzają właśnie upojny wieczór i noc w Las Vegas. Jest co świętować, następnego dnia opuszczają kraj i zaczynają z przytupem życie w bardzo odległym miejscu. Jest jednak jeden problem – pieniądze nie należą do nich. Gdy rankiem Luciana (zwana „Lucky” – stąd tytuł opowieści) budzi się na ciężkim kacu, odkrywa, że nie ma śladu ani po pieniądzach, ani po mężu. Są za to agenci FBI oraz żądni pomsty gangsterzy.

Siedmioodcinkowy serial Apple TV+ jest ekranizacją powieści Marissy Stapley (wydanej w Polsce w roku 2023). Książka naprawdę bawiła, a gadżetem wprawiającym akcję w ruch była nie walizka z gotówką, lecz loteryjny los. Autora adaptacji (jest nim Jonathan Tropper znany z seriali „Banshee” czy „Wojownik”) bardziej interesuje napięcie. I faktycznie, okazuje się „Lucky” dokładnie takim rodzajem rozrywki, jakiego oczekiwać można w środku wakacji. Zatem kryminał, zatem nie całkiem serio; zatem akcja wartka, a aktorzy dobrani tak, byśmy mogli uśmiechać się, widząc dobrze znane twarze. Clifton Collins Jr. jako mafijny twardziel jest więc odpowiednio przerażający, Timothy Olyphant jako ojciec Luciany – odpowiednio charyzmatyczny, a show kradnie Annette Bening. Widzieliśmy ją ostatnio w „Ranczu Duttonów” jako głowę rodziny Jacksonów; w miniserii „Lucky” gra wyjątkowo groźną teściową, znaczy głowę mafijnej rodziny Mastersonów.

Mieliśmy w ostatnim czasie trochę podobnych opowieści, budowanych wedle podobnego schematu: „Poker Face” czy „Stewardesę”. Do realizacji receptury potrzebna jest sympatyczna, acz niesforna dziewczyna wrzucona w wir komplikacji tyleż niewiarygodnych, co z każdą chwilą coraz groźniejszych. Resztę załatwiają cięte dialogi i odpowiednie tempo. Za każdym razem działa, aczkolwiek w przypadku „Lucky” trudno nie mieć wrażenia, że siedem odcinków to za dużo, że Steven Soderbergh zrobiłby z tego po prostu emocjonujący dwugodzinny kawałek rozrywki. Co do przesłania, jest oczywiste: żenisz się nie z wybrankiem twego serca, lecz z jego rodziną. I chodzi o to, żeby plusy nie przesłaniały nam minusów. ©℗

GRA TYGODNIA: „XENOBLADE CHRONICLES: DEFINITIVE EDITION”

Każda z trzech części „Xenoblade Chronicles” do fenomenalny japoński erpeg. W każdą z nich można grać bez znajomości pozostałych. Seria jest właśnie przenoszona na Nintendo Switch 2, co wiąże się z lepszą oprawą i płynniejszym działaniem. Reszta pozostaje bez zmian – czyli niemal doskonała. Nie będę obrażał twórców fabuł serii próbą ich streszczenia w tak krótkiej recenzji, bo to opowieści bardzo dobre, a miejscami wybitne. Część pierwsza i druga „Xenoblade



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Chronicles” w wersji na najnowszą konsolę Nintendo dostępne są od końca lipca. ©℗ ***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** *jRPG, TPP*
- ***Platforma:*** *Nintendo Switch 2*
- ***Producent, wydawca PL:*** *Monolith Soft, Nintendo*

eprasa.pl 3d3726ab61

Jak hartowała się stal

KINO



★★★☆☆☆

REŻ. JON ERWIN
„MŁODY WASZYNGTON" („YOUNG WASHINGTON")
USA 2026

wyst. William Franklyn-Miller, Mary-Louise Parker, Kelsey Grammer

Wstęp do biografii ojca narodu zrealizowany z okazji 250. urodzin Stanów Zjednoczonych. Przynęta chwyciła i już wiadomo, że ciąg dalszy „Młodego Waszyngtona" nastąpi. Otrzymaliśmy produkcję solidną, stroniącą od ekstrawagancji – z wyjątkiem obsady roli tytułowej. W Hollywood aktorów gołowąsów mają na pęczki. Jon Erwin postawił jednak na australijskiego modela z londyńską metryką. Może Amerykanom w trójgraniastych kapeluszach po prostu nie jest do twarzy?

George w interpretacji Williama to młodzian piękny, posępny i bezczelny.

Szkolne męki go ominęły, ale jest oczytany w klasykach. Podstępem wdziera się na salony, do których jako szaraczek nie ma dostępu, próbuje zdobyć serce pięknej i posażnej panny, wreszcie wstępuje w szeregi ochotniczej milicji Wirginii. Podczas zbrojnej ekspedycji do Ohio ten lojalny poddany Jego Królewskiej Mości dojdzie do wniosku, że rozgrywka między Paryżem i Londynem odbywa się ponad głowami osadników, a władze kolonii traktują ich jak mięso armatnie.

Co bardziej kontrowersyjne kwestie scenariusz omija szerokim łukiem. Z ekranu padają słowa, że matka przyszłego prezydenta cienko przędzie, gdyż pracuje dla niej tylko 10 czarnoskórych niewolników. Sugestie, że biali urodzeni w Nowym Świecie traktowali Indian lepiej niż emigranci świeższej daty, włóżmy między bajki.

Amatorów batalistyki zadziwi zapewne celność broni palnej używanej w połowie XVIII w. Ekranowy Washington ma w sobie coś z Piłsudskiego. Obaj byli samoukami. Nie uczęszczali do żadnej wojskowej akademii, uczyli się, jak walczyć, od przeciwników, potrafili wyciągnąć wnioski z popełnionych błędów. Marszałek z religią był na bakier. Wierzył tylko w Matkę Boską Ostrobramską. Pierwszego prezydenta USA historycy podejrzewają o ateizm, lecz w filmie jawi się on Bożym wybrańcem. Spoiler: natrętnie powtarzana fraza, że „nawet pionek może zabić króla", wprowadza widzów w błąd. George swojego brytyjskiego imiennika życia nie pozbawi. Udowodni, że można być silnym władcą bez berła i korony. ©℗

Wiesław Chełminiak

UWOLNIĆ SNY!

Straszne skutki pokątnej lektury komiksów. Kowboj i Superman – dwa symbole amerykańskiego imperializmu – tudzież panna w stylu BB przenikają z marzeń sennych docenta Beránka do komunistycznej Pragi. Jak na rok 1966 przyszły reżyser „Arabeli" poczynał sobie śmiało. Oprócz szarlatanów w białych kitlach główkujących, jak zwiększyć mleczność krów, ukłuł żądłem satyry prominentnych przedstawicieli systemu w osobach przygłupa milicjanta, nadgorliwego prokuratora i przekupnego klawisza. Ba, wspomniał nawet o autonomii uniwersytetów! Czasy, w których również sny musiały służyć „rozwojowi społeczno-politycznemu", bezpowrotnie (?) przeminęły, jednak po 60 latach komedia Vorlíčka wciąż bawi, choć finał mógłby być bardziej drapieżny. Cóż poradzić, dopijam czeskie piwo, wkładam antygrawitacyjne rękawice i wracam do roboty. ©℗



cda.pl

★★★★★☆

REŻ. VÁCLAV VORLÍČEK
„KTO CHCE ZABIĆ JESSII?"
CZECHOSŁOWACJA 1966

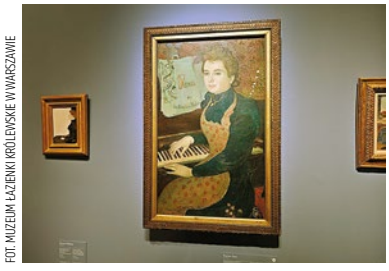
wyst. Jiří Sovák, Olga Schoberová, Dana Medřická

DO ZOBACZENIA



RADOSŁAW WOJTAS

Prorocy nowej sztuki



FOT. MUZEUM ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE W WARSZAWIE

Nabiści (ich nazwa wywodzi się z arabskiego i hebrajskiego słowa oznaczającego „proroka") działali krótko, w latach 1888–1899. Odrzucając akademizm, postawili na wyrazisty kontur, płaską plamę i nasycony kolor, nierzadko podejmując tematykę religijną oraz ezoteryczną. Wystawa „Nabiści. Prorocy nowej sztuki" to pierwsze w Polsce tak obszerne ujęcie twórczości grupy, która na przełomie wieków XIX i XX wpłynęła na kształt europejskiego malarstwa. Zgromadzono na niej ponad 90 prac, z których większość nigdy wcześniej nie gościła nad Wisłą. Obiekty pochodzą ze zbiorów 11 publicznych instytucji zagranicznych (na czele z paryskim Musée d'Orsay) oraz z kilkunastu kolekcji prywatnych i krajowych. Prezentowane są dzieła takich twórców jak Maurice Denis (w tym słynna „Plama słońca na tarasie"), Paul Sérusier, Pierre Bonnard czy Édouard Vuillard.

Istotny jest wątek polski – ekspozycja dokumentuje wpływ francuskiej grupy na rodzimych twórców, m.in. Władysława Ślewińskiego, Stanisława Wyspiańskiego, Meli Muter czy Eugeniusza Zaka. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Łazienki Królewskie w Warszawie***
KIEDY? ***do 15 listopada***

eprasa.pl 3d3726ab61

MOJA PÓŁKA

Obywatel nadrzeczywistości



KRZYSZTOF MASŁOŃ

Był malarzem, krytykiem sztuki, a przede wszystkim pedagogiem, wychowawcą wielu świetnych artystów, takich jak m.in. Feliks Topolski, Bronisław Linke czy ostatni jego uczeń Wojciech Fangor. Był także człowiekiem wielu pasji, bo chyba w równym stopniu co malarstwem interesował się lotnictwem czy filmem, brał udział w rajdach samochodowych, amatorsko też muzykował, a jako miłośnik pięknych kobiet (choć kochający mąż swojej żony) jurorował pierwszym konkursom Miss Polonia. Zauroczony Kazimierzem założył towarzystwo przyjaciół tego miasta, w którym zbudował wspaniały dom. A polską sztukę propagował na ekspozycjach we Włoszech, Francji, w Stanach Zjednoczonych, na Łotwie, a zdarzyło się, że i w ZSRS.

Był Tadeusz Pruszkowski pierwszym rektorem Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie (1932–1936), ta jednak nie uhonorowała go tak, jak na to zasługiwał. Powstała – jak pisze Anna Rudnicka-Litwinek – „wyrwa, we wzorze splecionym z wielu artystycznych instytucji: wrocławskiej, której patronuje Eugeniusz Geppert, łódzkiej, imienia Władysława Strzemińskiego, czy krakowskiej, noszącej imię Jana Matejki, pierwszego jej dyrektora. Nie ma go w powszechnej pamięci o ludziach tworzących fundamenty polskiej sztuki. W powojennej świadomości stał się bladym wspomnieniem schowanym do lamusa". Dlaczego? Co i komu zawinił Pruszkowski, że historia – niech będzie, że historia sztuki – obeszła się z nim tak bezceremonialnie, by nie powiedzieć – okrutnie?

W jego dorobku twórczym zwracają uwagę dzieła odnoszące się do naszej historii, tej prawdziwej i tej legendarnej, takie jak: „Legenda o śpiących rycerzach", „Piastuny", „Legenda o Szczerbcu" czy „Ścięcie Samuela Zborowskiego" lub „Jan Kazimierz pod Beresteczkiem". W 1915 r. Tadeusz Pruszkowski wraz z innymi członkami „Młodej Sztuki" wstąpił do Legionów. Został przyjęty do 1. Pułku Ułanów pod dowództwem Władysława Beliny-Prażmowskiego, uczestniczył we wszystkich walkach pułku, stacjonował ze sztabem na Wołyniu i służył aż do rozwiązania oddziału. Walczył i, oczywiście, malował, tworząc całą kolekcję portretów dowódców i żołnierzy. Aż nie chce się wierzyć, że ledwie kilka lat wcześniej nie dawano mu, chorującemu na suchoty, większych szans na przeżycie. A na jego akces do Legionów wpłynął z pewnością Bolesław Wieniawa-Długoszowski, z którym zawarł bliższą znajomość w Paryżu, jeszcze w 1909 r., gdzie zresztą muzą Pruszkowskiego stała się jego przyszła żona, Zofia Katarzyńska. Z Wieniawą, adiutantem Józefa Piłsudskiego i legendą II Rzeczypospolitej, losy bohatera książki Anny Rudnickiej-Litwinek przecinać się będą kilkakrotnie. Aż do tragicznego końca.

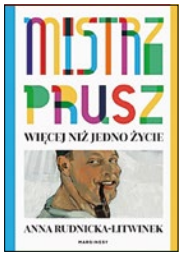


FOT. NAC

W nocy z 30 czerwca na 1 lipca 1942 r. hitlerowcy zabrali Tadeusza Pruszkowskiego z jego mieszkania przy ul. Lwowskiej w Warszawie, pobili, a następnie zastrzelili na terenie getta, przy Orlej, pozostawiając ciało na ulicy. Później przewieziono zwłoki na boisko Skry i tam zakopano wraz z innymi Polakami zamordowanymi przez Niemców. Tego samego dnia w Nowym Jorku wyskoczył z tarasu domu, w którym mieszkał, Bolesław Wieniawa-Długoszowski. W ostatnich słowach swego pożegnalnego listu błagał: „Boże, zbaw Polskę".

Maria Kuncewiczowa tak pisała o swoim przyjacielu, tak jak ona zakochanym w Kazimierzu: „[…] Pruszkowski nie mieści się w śmierci, tak jak nie mieścił się w życiu. […] nawet pamięci jego nie można zamknąć w czasie przeszłym, bo Tadeusz Pruszkowski był integralnym artystą. Czyli obywatelem nadrzeczywistości. Był nim – rzecz szczególna – nie tyle w malarstwie, co właśnie w życiu, które komponował i ustawiał jak surrealistyczny obraz".

Po wojnie Tadeusz Pruszkowski stał się artystą wyklętym. Portretował przecież i Piłsudskiego, i Mościckiego, zarzucano mu religianctwo (naprawdę stworzył zaledwie trzy prace religijne, w tym plafon w Kaplicy Różańcowej przy Kościele Farnym w Kazimierzu), pogardliwie oceniano jego działalność pedagogiczną, gdyż jakoby uczył kawałów, a nie sztuki, poza tym, a może przede wszystkim, śmiał przed wojną polemizować czy wręcz toczyć boje z kapistami, a pierwszym po wojnie prezesem Związku Polskich Artystów Plastyków był Jan Cybis, współzałożyciel kapistów właśnie. Na domiar złego miał szósty w Polsce, zamówiony w Anglii, prywatny samolot, który osobiście, i z wieloma przygodami, pilotował. Wszędzie go było pełno, czerpał z życia garściami i bardzo chciał, by go kochano. Wyszło na to, że za bardzo. ©℗



★★★★★★

ANNA RUDNICKA-LITWINEK „MISTRZ PRUSZ. WIĘCEJ NIŻ JEDNO ŻYCIE" MARGINESY, WARSZAWA 2026

eprasa.pl 3d3726ab61



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

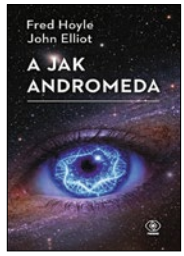
Głos z nieba

Astronom i pisarz Fred Hoyle, szanowany za „Czarną chmurę” (napisał łącznie kilkanaście powieści SF), najczęściej występował jako pan od idei, podczas gdy robotą literacką zajmowali się współpracownicy. „Andromedę” pisał wedle wskazań astronoma głównie John Elliot, telewizyjny producent. Bo też na początku był to serial dla BBC. Ocalał tylko jeden kompletny epizod (całość powstała w 1961 r.), ale możemy przeczytać nowelizację, która ukazała się oryginalnie w roku 1962, a na polski rynek trafia dopiero teraz.

Trochę dystopia, trochę wariacja na temat buntu robotów, ale jest przede wszystkim „A jak Andromeda” opowieścią z bardzo oryginalnym konceptem. Ziemscy astronomowie odbierają z Kosmosu sygnał, który jest w istocie zakodowaną instrukcją stworzenia żywej istoty. Aby przełożyć język matematyki na zadanie dla inżynierów, trzeba zbudować gigantyczny superkomputer (to on będzie się buntował). Istota, która zostanie powołana do życia wedle instrukcji komputera, okazuje się mieć niezwykłe uzdolnienia. Ale kto nią steruje – daleka obca siła czy elektroniczny pośrednik?

Nie pasuje ta powieść do serii „Wehikuł czasu”, w której prezentowana ma być szacowna klasyka fantastyki. Ale pojawia się w niej koncept, który wszedł potem na stałe do wielkiego magazynu wykorzystywany także przez innych autorów SF. Wspomnijmy, jak w 1968 r. podobnym pomysłem zajmuje się Stanisław Lem w powieści „Głos Pana”. Tyle że Lem bardziej skłaniał się ku temu, że odebrany sygnał został źle zrozumiany przez Ziemian: był to raczej biały szum Kosmosu niż konstrukcja tworzenia życia.

W powieści Carla Sagana „Kontakt” wedle gwiezdnego sygnału powstaje machineria umożliwiająca podróże międzygwiezdne. Z kolei najnowsza wariacja na ten temat to serial „Jedyna” („Pluribus”, Apple TV+, 2025) Vince’a Gilligana, w którym odebrane dane służą do zbudowania „wirusowych” obcych, błyskawicznie biorących w niewolę całą ludzkość. Wszystkie te dzieła zadłużone są u Hoyle’a. Ciekawie też jest patrzeć na nie jako na świecką odpowiedź na Boże przykazania. Bo jeśli Boga nie ma – to o czym wszechświat, obca siła, jak zwał, tak zwał, chciałby nas zawiadomić? Wychodzi na to, że o tym, byśmy historię swego gatunku zakończyli.



★★★★★★

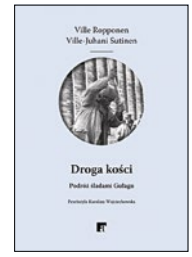
FRED HOYLE, JOHN ELLIOT „A JAK ANDROMEDA” REBIS 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE



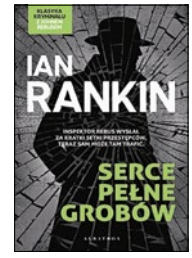
Wznowienie jednej z najlepszych książek z popularnej Biblioteki Syrenki: piękna szata graficzna, twarda oprawa, barwne ilustracje, posłowie Olafa Krysowskiego i fascynujący obraz życia stolicy pierwszej połowy XIX stulecia.

ALINA KOWALCZYKOWA „WARSZAWA ROMANTYCZNA” PIW



Opowieść w duchu reportażu Tomka Grzywaczewskiego „Życie i śmierć na Drodze Umarłych”. Para fińskich speców od historii Rosji wędruje od Karelii po Kołymę, szukając pozostałości po nieludzkim systemie zagłady: GUŁAG-u.

VILLE ROPPONEN, VILLE-JUHANI SUTINEN „DROGA KOŚCI” ARTRAGE



Sąd nad Johnem Rebusem – inspektor jest na emeryturze, ale ciągnie się za nim cień przeszłości. Czy zapłaci za to, że przekraczał granicę między dobrem a złem? A może ktoś chce go oczernić? Rozwiązanie w następnym tomie.

IAN RANKIN „SERCE PEŁNE GROBÓW” ALBATROS



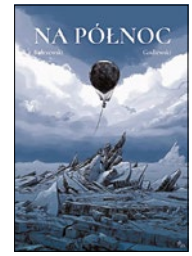
Ósmy tom „Historii Śródziemia” i zarazem trzeci tom opowieści o tym, jak powstawał „Władca Pierścieni” (tym razem od Helmowego Jaru po Czarną Bramę Mordoru). Plus plany i rysunki m.in. Orthanku czy Minas Tirith.

recenzuje Piotr Gociek

J.R.R. TOLKIEN „WOJNA O PIERŚCIEŃ” ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:
LOT KU ŚMIERCI

Nie zawsze śmiałym szczęście sprzyja – oto opowieść o tragicznych losach wyprawy balonowej Salomona Augusta Andréego. W 1897 r. ruszyli zdobyć biegun północny drogą powietrzną. Ślad po nich zaginął. Nowatorskie przedsięwzięcie szybko zamieniło się w rozpaczliwą walkę o przetrwanie wśród lodów.



MARCIN BAŁCZEWSKI, ŁUKASZ GODLEWSKI „NA PÓŁNOC” TIMOF I CISI WSPÓLNICY 2026

Posępna opowieść graficzna „Na północ” łączy emocjonującą opowieść z troską o dokumentalną precyzję. ***Piotr Gociek***

eprasa.pl 3d3726ab61



Janusz Korwin-Mikke

Naród i



Każde terytorium jest okupowane przez jakieś państwo. Był to w normalnych językach termin dość neutralny. Pod wpływem okrutnej okupacji hitlerowskiej nabrał on, zwłaszcza w Polsce, wartości mocno negatywnej. Ja go używam po staroświecku: III Rzeczpospolita okupuje mniej więcej terytorium Polski: Mazowsze, Podlasie, Śląsk, Wielkopolskę itd.

Dzisiejsi Polacy mają to szczęście (czy nieszczęście), że obszar okupowany przez III Rzeczpospolitą jest bardzo zbliżony do terenu historycznej Polski oraz terenów zamieszkanych przez Polaków. Z tego powodu mają tendencję do mylenia – może raczej: notorycznie mylą pojęcia państwa i narodu.

Otóż naród to wspólnota etniczno-kulturowa, bliżej niezdefiniowana. Niezdefiniowana, bo tego się po prostu nie da zdefiniować. Nie da się ustalić, kto jest Polakiem. Owszem, w znacznej większości przypadków możemy na 100 proc. określić, że ten osobnik Polakiem na pewno jest, a ten na pewno nie jest – ale pozostaje ogromny margines pół-Polaków, ćwierć-Polaków. Polaków z języka, a nie-Polaków z kultury itd. Domaganie się od nich takich deklaracyj jest bez sensu. Są tacy, jacy są. Sami się nad tym na ogół nie zastanawiają – bo po co? Badacze mogą starać się ich klasyfikować – ale po co? To bez sensu. Nawet precyzyjne „Ustawy Norymberskie" też nie potrafiły dobrze sklasyfikować małego wycinka tego zagadnienia.

Tu uwaga z innego poziomu.

Jako prawicowiec przez „naród" rozumiem obecnie żyjących Polaków, ich przodków oraz potomków. Ta (niedokładnie określona) wspólnota może kiedyś opanować całą Ziemię – a może (co bardziej prawdopodobne) wymrzeć. Najprawdopodobniej będzie trwać.

Natomiast lewicowcy są d***kratami i przez „naród" rozumieją obecne społeczeństwo. Muszą to robić, bo przodkowie i potomkowie (a nawet dzisiejsza młodzież do lat 18) nie może przez głosowanie decydować za „naród". By objąć cały „naród", chcą obniżyć jeszcze wiek decydowania o sprawach publicznych (z 23 na 21, na 18, obecnie chcą na 16 lat!) – bo czują, że coś tu nie jest w porządku; ale do zera się nie da.

Prawica nie ma tych dylematów. Nie pozwala, by „przypadkowe społeczeństwo" (jak to określiła p. Halina Nowina Konopka, ówczesna posłanka Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego) decydowało za naród. Dlatego np. zdecydowanie nie zgadzam się, by dzisiejszy Sejm zaciągał długi, które by musiały spłacać dzieci, wnuki, prawnuki itd. – a panowie d***kraci niech przyjmą do wiadomości, że te dzieci, wnuki itd. nie mają przecież należnego im (według d***kratów...) prawa głosu.

Lewica mówi w imieniu społeczeństwa – Prawica w imieniu narodu. Staramy się uwzględniać wolę naszych Antenatów, czyli przestrzegać, ile się daje z naszych narodowych tradycyj – oraz uwzględniać interesy naszej progenitury. I wara przypadkowemu społeczeństwu od prób zawłaszczenia sobie tej władzy.

„Społeczeństwo" to tylko przekrój czasowy przez „naród". To liść na wietrze. Dziś „społeczeństwo" przegłosuje np. karę śmierci. Po tygodniu trochę ludzi umrze, trochę wejdzie w wiek wyborczy, trochę przyjedzie, trochę wyjedzie (czyli zmieni się przekrój czasowy!), ale też 40 proc. obejrzy film o niesłusznie wykonanym wyroku śmierci – i w kolejnym referendum wypowie się przeciwko. A po kolejnym tygodniu obejrzy inny film – o morderstwie dokonanym przez skazanego na dożywocie – i znów zmieni decyzję.

A prawicowiec słucha powiedzenia: „Znieś karę śmierci, a przekonasz się, że rozpadnie się kraj" i nie ma zamiaru w ogóle pytać się (tfu!) Większości o jej opinię. To (tfu!) Większość ma słuchać ludzi mądrych, wykształconych, znających prawo, socjologię, psychologię i historię – a nie oni wsłuchiwać się w głos (tfu!) Większości.

Koniec uwagi.

KTO SPRAWUJE WŁADZĘ NAD POLSKĄ

Narody kierują się etyką, dziedziczonymi po przodkach zasadami moralnymi. I tym konkurują między sobą, w sensie Darwina. Te narody wygrywają, które mają lepsze zasady etyczne.

Uwaga: o tym, które były „lepsze", nie decydują profesorowie, tylko życie. Wygrały narody kierujące się zasadą

eprasa.pl 3d3726ab61



państwo

FOT. ADOBESTOCK

„Nie kradnij”, karzące dzieci za zabór cudzej własności – i TYLKO DLATEGO tę zasadę uważamy za „lepszą” od zasady „Róbta, co chceta”.

Narody żyją na terytorium też niedokładnie określonym. Na pograniczach się mieszają – i nikt tego nie wyodrębnia. Bo po co? W każdej chałupie dzieci mogą być uczone innych zasad etycznych – oraz tolerancji dla zasad sąsiadów. Dziś Polacy nie mają sąsiadów, więc nie uczą się tolerancji.

Polacy żyją pod Wilnem, w Chicago, w Kazachstanie – a w Polsce żyją Niemcy, Słowacy, Litwini, Żydzi, Białorusini, a ostatnio masa Ukraińców. I to nieokreślone zwarte (bez Chicago i Kazachstanu...) terytorium nazywamy „Polską”.

To mój kraj – Polska.

Czymś zupełnie innym jest „państwo”. Państwo to organizacja. Jak mówił Karol Marks: „aparat ucisku”.

Państwa mają dziś dokładnie określone terytorium. Na tym terytorium nie obowiązuje dość luźno określona etyka, lecz dobrze określone Prawo. Dokładnie też wiadomo, kto jest obywatelem państwa, a kto nim nie jest. Podwójne obywatelstwo jest powoli eliminowane, apatrydzi, czyli bezpaństwowcy, otrzymują swój własny status (w różnych państwach zazwyczaj różny).

Każde terytorium jest okupowane przez jakieś państwo. Był to w normalnych językach termin dość neutralny. Pod wpływem okrutnej okupacji hitlerowskiej nabrał on, zwłaszcza w Polsce, wartości mocno negatywnej. Ja go używam po staroświecku: III Rzeczpospolita okupuje mniej więcej terytorium Polski. III RP okupuje Mazowsze, Podlasie, Śląsk, Wielkopolskę itd. Federacja Rosyjska okupuje Adygeję, Baszkirię, Czeczenię… Rosję... Zabajkale i Żydowski Okręg Birobidżan. V Republika Francuska okupuje Alzację, Bretanię, Clipperton i Gujanę...

Tu uwaga tematyczna. Państwa są nie tylko ograniczone terytorialnie, lecz także ograniczone w czasie. Karol de Gaulle obalił okupującą Francję IV Republikę i odtąd Francja jest okupowana przez V Republikę. Mimo zajmowania zbliżonego terytorium i podobnej ludności są to dwa różne państwa – i teoretycznie mogły ze sobą stoczyć wojnę. Tak! Gdyby np. połowa generałów francuskich uznała poczynania de Gaulle’a za nielegalne i wszczęła wojnę „domową” – dokładnie tak, jak II Republika Hiszpańska była w stanie wojny z Państwem Hiszpańskim gen. Franciszka Franco w latach 1933–1936 (w 1947 r. Franco zlikwidował był Państwo Hiszpańskie i stworzył Królestwo Hiszpanii, którego został regentem).

Ciekawym przypadkiem jest PRL, która sama uznała się za niezdolną (z powodu niechęci ludności) do sprawowania okupacji nad Polską i przekazała władzę, pokojowo, III Rzeczypospolitej, której założycielami byli... agenci służb specjalnych PRL, z agentem „Bolkiem” na czele. To państwo od początku było fasadowe, zrobione z dykty czy raczej z papier mâché. Gdy jako poseł z Komisji Obrony Narodowej domagałem się, by p. gen. Jaruzelski zwolnił wojsko z przysięgi na wierność PRL-owi, generałowie odpowiedzieli mi, że na złożenie nowej przysięgi „Nie ma pieniędzy”!!!

Słowo honoru!

Ta „zmiana” była przez ludzi poważnych uważana za fikcję. Jednak zmieniono Konstytucję, więc formalnie należy III RP uznać za inne państwo. Co ciekawe: gdy sanacja w 1935 r. przeforsowała konstytucję „kwietniową”, nie zmieniła, jak de Gaulle, nazwy państwa na III RP!

Druga uwaga, praktyczna. Napisałem w „Do Rzeczy” (nr 27/2026), że Polska nigdy nie graniczyła z Rosją, a obecnie graniczy z nią tak, jak Brazylia z Francją. Otrzymałem grube setki maili broniących tezy, że Polska jednak graniczy z Rosją – i nawet opublikowanie oficjalnej mapy, na której wyraźnie widać granicę międzypaństwową między Francją a Brazylią – nie pomogło. Czytelnicy nie potrafili przyjąć do wiadomości, że Gujana Francuska jest tak samo departamentem Republiki Francuskiej jak Królewiec obwodem Federacji Rosyjskiej. Właśnie dlatego, że Polacy nie odróżniają narodu od państwa.

Ale Królewiec nie leży w Rosji, podobnie jak Kajenna nie leży we Francji.

Na koniec podsumowałem: jeśli III Rzeczpospolita Polska napadnie na Republikę Słowacką i wcieli ją do swego państwa, to Koszyce znajdą się w Rzeczypospolitej, ale nadal będą na Słowacji, a nie w Polsce!

To chyba oczywiste?

NARODOWOŚĆ NIE JEST GWARANTEM DOBRYCH RZĄDÓW

Wracam do wątku. Państwa bardzo chętnie fałszują tę relację, przebiegle starając się utożsamiać z okupowanym przez siebie krajem. Państwom polskim przychodzi to wyjątkowo łatwo. Naiwni Polacy walczą za „państwo polskie”,

eprasa.pl 3d3726ab61

które bywało nieraz (i jest!) bardzo złym okupantem ziem polskich – podobnie jak państwo Czerwonych Khmerów było bardzo złym okupantem Kambodży (wymordowało jedną trzecią ludności...).

Dygnitarze państw mianujących się „narodowymi" bardzo ostro podkreślają, że oni są „krew z krwi i kość z kości" – np. Polakami. To, niestety, o niczym nie świadczy. Narodowość nie jest gwarantem dobrych rządów. Chińczykom znacznie lepiej żyło się w Hongkongu będącym wtedy kolonią brytyjską niż w rdzennych Chinach rządzonych przez Ze-Donga Mao, jak najbardziej Chińczyka! I jeden z naszych wieszczów słusznie pisał:

Jeśli ma Polska być socjalistyczną
Lub komunizmu rozwinąć władanie –
To ja już wolę tę monarchistyczną,
Która pod carem na wieki zostanie.

Podobnie jak PRL przestała istnieć, przekształcając się w inne państwo, potrafiące lepiej eksploatować swoich „obywateli", postępują czasem inne państwa. Królestwo Polskie w wyniku Unii Polsko-Litewskiej utraciło suwerenność na rzecz Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Podobnie ratyfikując Pakt Lizboński, III RP utraciła suwerenność, stając się jednym z krajów federalnego państwa: Unii Europejskiej (które teraz chce się przekształcić w państwo jednolite!).

Państwa europejskie niechętnie traciły suwerenność – uczyniono to z oporami, dopiero po obaleniu Konstytucji dla Europy i zastąpieniu jej przez Traktat Reformujący („lizboński") – który (w odróżnieniu od poronionej Konstytucji) przewidywał możliwość wystąpienia z Unii.

Również 13 stanów niechętnie godziło się na utratę niepodległości. Opory były bardzo duże. New Hampshire ratyfikowało powstanie Unii Federalnej w 1788 r. (57:47), Massachusetts 1788 (187:168), Nowy Jork 1788 (30:27), Wirginia 1788 (89:79), Rhode Island 1790 (34:32). I opory były słuszne, separatyści mieli rację: wpadli z deszczu pod rynnę! Jego Królewska Mość Jerzy III w życiu nie zdobyłby się na tak bezczelny wyzysk swoich poddanych, jak robi to Unia (która np. wywłaszczyła w 1933 r. „obywateli" z posiadanego złota, a także wprowadziła prohibicję – nie mówiąc o nakazie nazywania Murzyna Afroamerykaninem... 90 proc. uchwalanych w Waszyngtonie ustaw zostałoby uznanych za niedopuszczalne przez kolonistów, gdyby wydał je Jerzy III!).

Podobnie z deszczu pod rynnę wpadli Francuzi, obalając 14 lipca 1789 r. monarchię – i wprowadzając republikę. Skala terroru, który zapanował za republiki, była niewyobrażalna dla ludzi, którzy uwięzienie sześciu przestępców (w tym markiza de Sade'a) w Bastylii uważali naiwnie za „skrajną tyranię".

Każde państwo – na wyścigi z sąsiadami – stara się obłupić poddanych/„obywateli", by mieć pieniądze na zbrojenia i hulaszcze życie szlachty zwanej dziś „klasą polityczną". Ta, która robi to najskuteczniej, jest przedmiotem podziwu sąsiadów.

Żydzi byli potęgą, mieli wpływy, media i bogactwo – bez Państwa Izrael. Obecnie sama tylko diaspora w USA musi wysupływać rocznie 5 mld dol. na ratowanie Izraela – i tłumaczyć się oraz wstydzić za poczynania tego państwa

Jak w ogóle powstaje ten aparat ucisku, zwany „państwem"? Trzeba zebrać odpowiednio dużą grupę zdecydowanych ludzi, niezadowolonych z obecnego państwa – i obiecać im posady i koncesje w nowym państwie. W d***kracji trzeba teoretycznie przekonać do tego 51 proc. „obywateli", ale to się załatwia po zdobyciu władzy.

CZY MOŻNA OBYĆ SIĘ BEZ PAŃSTWA?

Państwo, niestety, jest tworem koniecznym, co widzimy z historii. Anarchiści i anarcholiberałowie twierdzili, że kraj może rozwijać się lepiej w ogóle bez państwa. Ta teoria została obalona przez Roberta Nozicka w książce „Anarchia, państwo i utopia" – a potem praktycznie w Somalii, gdzie panował anarcholiberalizm – i, zgodnie z tezą Nozicka, kraj został podzielony na kilka skłóconych ze sobą quasimafijnych państw.

Etatyści twierdzą, że to państwo tworzy sobie naród. Gdyby to była prawda, musielibyśmy mówić o biednym narodzie austro-węgierskim rozerwanym żywcem przez Traktat w Trianon czy o „narodzie jugosłowiańskim". Staliniści przebąkiwali o „narodzie sowieckim", a federaści bredzą o „narodzie europejskim"...

To jest oczywista bzdura. Jeśli już, to raczej można mówić, że to narody wytwarzają sobie państwa – bo łatwiej jest rządzić krajem, gdzie w użyciu jest jeden język. Jeśli jest im to do czegoś potrzebne. Naród estoński żył przez 1000 lat bez państwa – i przeżył w kondycji nie gorszej niż np. czeski. Państwo mu obecnie raczej przeszkadza – bo grozi inwazja Rosji, rozwścieczonej traktowaniem przez to państwo Rosjan. Tatarstanowi, będącemu wewnątrz Rosji, zagrażają tylko ukraińskie drony...

Podobnie Żydzi. Byli potęgą, mieli wpływy, media i bogactwo – bez Państwa Izrael. Obecnie sama tylko diaspora w USA musi wysupływać rocznie 5 mld dol. na ratowanie Izraela – i tłumaczyć się oraz wstydzić za poczynania tego państwa. Proszę pomyśleć: to już 50 lat. Wiecie, jaką potęgą byliby Żydzi w USA, gdyby byli dziś bogatsi o 250 mld dol.?! Z procentami...

Aż strach pomyśleć – nieprawdaż?

Państwa tworzą się w zależności od warunków geopolitycznych, geograficznych, narodowościowych, historycznych... Nie ma żadnego powodu, by uważać, jak d***kraci, że „każdy naród musi mieć własne państwo". Nie musi. W Szwajcarii są cztery narody, żaden nie ma własnego państwa – i też jakoś żyją. W Belgii są dwa – i żyje im się źle. Gdyby Unia Europejska była dobrym państwem, to bym ją popierał – i bił brawo, gdy eurokraci wsadzaliby do więzień moich rodaków: pp. Czarzastego, Kaczyńskiego, Kosiniaka-Kamysza, Tuska & consortes.

To sztuka żyć w dobrym państwie. W monarchii trzeba czekać, aż tron odziedziczy dobry król. W d***kracji teoretycznie można to zrobić od ręki samemu...

... tyle że d***kracja oznacza rządy (tfu!) Większości – a głupich jest ZNACZNIE więcej niż mądrych.

Więc jest, jak jest.

Coraz gorzej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3d3726ab61

Jeszcze jedna kasta: lekarze



Rafał A. Ziemkiewicz

Można mieć złośliwą satysfakcję, że medyczny establishment w wielkiej części uczestniczył w rokoszu przeciwko rządom PiS i wspierał powrót do władzy „demokratycznej" mafii. W podziękowaniu dostał ustawionego w partii gówniarza, który wymachując notesikiem z telefonami bywalców „saloniku VIP", rozstawiał po kątach starszych wiekiem i stażem

Skandale ujawnione w Warszawskim Szpitalu Południowym nie są skutkiem niedomagań systemu ochrony zdrowia, tylko systemu politycznego. To nie znaczy, że ten pierwszy system nie jest patologiczny. Ale dyskusja o jego patologiach, w którą usiłuje wpuścić nas teraz premier Donald Tusk, zapowiadając jako remedium ustawowe ograniczenie zarobków lekarzy, nie służy rozwiązaniu problemu ani naprawie systemu, tylko odwróceniu gniewu od rządzącej partii i skierowaniu go przeciwko korporacji lekarskiej. Gdyby było inaczej, tę dyskusję rozpoczęłby rząd ponad dwa lata temu, zaraz po zaprzysiężeniu – tym bardziej że od dawna we wszystkich możliwych sondażach usprawnienie systemu usług medycznych wskazywane jest jako to, czego najbardziej oczekują Polacy od rządu, i można śmiało powiedzieć, że formacja polityczna, która by to oczekiwanie zaspokoiła, mogłaby być pewna pozostania u władzy na co najmniej trzy kadencje. Niemniej Platforma Obywatelska ani jej koalicjanci nawet nie próbowali się po objęciu władzy z problemem zmierzyć, NFZ i system placówek medycznych pozostały nietknięte, a ministerstwo pozorowało działalność, zajmując się tak palącymi problemami jak „alkotubki" i dostępność napojów wyskokowych na stacjach benzynowych.

Zapowiedziane ograniczenie zarobków lekarzy też nie jest odpowiedzią na nic, tylko czystym populizmem. Cała rządowa machina propagandowa pracuje nad tym, by wtłoczyć Polakom do głów, że ujawnione skandalicznie wysokie dochody Dawida Kacprzyka i innych bohaterów były pieniędzmi zarobionymi przez nich wskutek „błędów systemu". Nie, to były pieniądze ukradzione. Czy – mówiąc ściślej – wyłudzone. Wyłudzone równie bezczelnie, jak kamienice przyznawane przez sędziów „pełnomocnikom" rzekomo przebywających za granicą 150-latków, ostatni raz widzianych w czasie wojny na Umschlagplatz. Jest przecież oczywiste, że człowiek, tak samo, jak nie może żyć 150 lat, tak i nie jest w stanie pracować w trzech miejscach naraz ani przez 29 godzin na dobę i że nie ma takiego specjalisty, który mógłby wykonać 74 skomplikowane operacje neurochirurgiczne jednego dnia. Takie cuda nie mieszczą się w żadnym „problemie systemowym", to po prostu część wielkiej patologii, jaką jest III RP, która pod rządami Tuska powróciła błyskawicznie do stanu sprzed afery Rywina (czego wymownym symbolem jest triumfalny powrót jej głównego negatywnego bohatera, Włodzimierza Czarzastego, uczynionego trzecią osobą w państwie). Ktoś poświadczał nieprawdę, ktoś trzymał nad tym procederem „kryszę", ktoś, kto z urzędu powinien patologiom zapobiec, za przymknięcie oka wziął po cichu swoją dolę, niekoniecznie w pieniądzach – także w formie różnego rodzaju przysług, choćby ekstradostępie do leczenia.

COŚ SIĘ PRZEŁAMAŁO

Gdyby negatywni bohaterowie skandali nie byli lekarzami, tylko adwokatami, pisaliby lewe ekspertyzy czy świadczyli inne fikcyjne usługi, kasując miliony za „obsługę prawną" SSP, jednostek samorządu i urzędów państwowych. Gdyby byli sędziami, załatwialiby wyroki w zamian za suto opłacane zlecenia na „szkolenia" adwokatów i zyskowne delegacje. Jako przedstawiciele świata artystycznego i będącego w symbiozie z nim „menedżmentu" mogliby doić pod pozorem „spacerów dendrologicznych" czy organizowania nikomu niepotrzebnych imprez. Lista „myków" wypracowanych niekiedy jeszcze w czasach PRL jest bardzo długa i stale wymyślane są nowe. Wspólnym mianownikiem ich wszystkich jest jednak udział w tym, co Jarosław Kaczyński nazwał u zarania III RP „układem", a co np. na Sycylii ujmowane jest eufemizmem „przyjaciel przyjaciół". Trzeba po prostu mieć taki notesik z telefonami, którym po części się przechwalał przed szpitalną kadrą, a po części ją zastraszał młody „koordynator SOR" w Szpitalu Południowym (mało kto zwrócił uwagę na teatralność tego rekwizytu: kto w dobie wszechobecnych komórek zapisuje telefony w notesie i po co?). Telefonami do ludzi, których można poprosić np. o pomoc, bo żona ma problem ze skarbówką albo jakiś pociot z prokuraturą, i być otwartym, gdy usłyszy się: a wiesz, ty masz tam u siebie szpital powiatowy, a ja tu chciałem pomóc takiej koleżance, która ma bardzo zdolnego syna i on szuka pracy, no wiesz, jakiejś godnej pracy, nie za jakieś 10–15 tys., znajdź tam coś dla niego.

eprasa.pl 3d3726ab61



Grafika przedstawiająca Dawida Kacprzyka (w środku drugiego rzędu) wśród polityków Koalicji Obywatelskiej FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

Przywykliśmy przecież do życia w takim kraju jak do śmierdzącej wody w Wiśle czy szczurów w śmietnikach. Jeśli Polacy, od dawna zobojętniali na układy i na „rentę korupcyjną", którą płacą jako podatnicy i konsumenci, zareagowali na „salonik VIP" w Szpitalu Południowym i 1,6 mln zł wyłudzone przez polityka PO z trzech szpitali naraz nieporównanie większym niż zwykle zainteresowaniem – a zasięgi Kanału Zero i zachowanie innych mediów, które jego wzorem zaczęły brać pod lupę rozliczenia w kolejnych placówkach medycznych, nie pozostawiają pola do dyskusji, że coś się tu w społeczeństwie przełamało – to chyba tylko dlatego, że tym razem częścią układu okazali się lekarze. Grupa zawodowa, która do niedawna nie była zaliczana do „układu", ale uważana za jego ofiarę i umieszczana w potocznym oglądzie świata po stronie „zwykłych Polaków".

CZY KTOŚ MA MORALNE PRAWO DO „KOPERT"?

Siły tego stereotypu doświadczył jeszcze śp. Ludwik Dorn, gdy próbował zdyskredytować roszczenia strajkujących medyków – jego „pokaż lekarzu, co masz w garażu" zostało skutecznie wykorzystane przez lewicowo-liberalne media w operacji obalania pierwszego rządu PiS. Jeszcze bardziej przyczyniło się do upadku tego rządu spektakularne aresztowanie dr. Mirosława Garlickiego. Wbrew oczekiwaniom Zbigniewa Ziobry wyborcami wstrząsnął widok nieznalezionego w jego gabinecie stosu gotówki i kosztowności ani luksusowej limuzyny, ale chirurga wyprowadzanego ze szpitala w kajdankach. Aresztowanie Garlickiego złamało znaczne wcześniej poparcie dla walki z „układem", odebrane zostało jako przekroczenie – co innego „zawijać" skorumpowanych biznesmenów, polityków, prawników. Ale lekarz? To okazało się na owe czasy o krok za daleko. Nie miało przy tym znaczenia, że zatrzymany istotnie brał łapówki (co potwierdził prawomocnie sąd). To nie budziło wcale oburzenia, dominowało przekonanie, że wysokiej klasy specjalista ma moralne prawo do „kopert", ponieważ system nie wynagradza go należycie. To przyzwolenie trwało długo, załapał się na nie jeszcze Tomasz Grodzki, groteskowy marszałek Senatu z nadania Platformy Obywatelskiej. Sprawa jego „kopert" i zamiecenia tematu przez partyjnych kolegów, mimo obfitości dowodów winy i okazanej przez partię bezczelności, w najmniejszym stopniu PO nie zaszkodziła, mimo wszelkich starań nagłaśniających ją i odliczających kolejne dni podtrzymywania przez Senat immunitetu mediów prawicy.

Być może to właśnie bezkarność Grodzkiego rozzuchwaliła wszelkiego rodzaju cwaniaków w rodzaju założycieli spółki Spine, która obrobiła na miliony szpitale w Miastku i Mogilnie, do wykorzystania „kominów", które powstały wskutek zmian wprowadzonych w systemie przez PiS i w żaden sposób niekorygowanych przez następców. Powszechne odczucie, że lekarzom należy się więcej pieniędzy, w połączeniu z naiwną wiarą PiS, że obdarowanie ich możliwością większych zarobków za więcej pracy rozwiąże problem dostępności do procedur medycznych, i może także z lękiem przed protestami lekarzy, które tak bardzo przyczyniły się do upadku rządu PiS w 2007 r., zaowocowały przepisami umożliwiającymi te wszystkie patologie, które wykipiały po skandalu w Szpitalu Południowym.

Swoje zrobił też obyczaj przekształcania placówek medycznych w spółki prawa handlowego – w czym celowali samorządowcy z PO, PSL i Lewicy. Szpital Południowy, sztandarowe dokonanie PO w Warszawie, którym chwalił się podczas kampanii prezydenckiej Rafał Trzaskowski, też jest taką właśnie spółką. W teorii miało to być wprowadzanie do ochrony zdrowia mechanizmów rynkowych, ale chodziło oczywiście o szwindel. W normalnych spółkach prawa handlowego nie są potrzebne żadne mechanizmy chroniące racjonalność wydatków, bo normalna spółka jeśli ich nie przestrzega, to bankrutuje. A szpital przecież zbankrutować nie może. Jest

eprasa.pl 3d3726ab61



sobie po prostu zadłużony, coraz bardziej zadłużony, aż w końcu zostanie oddłużony – i będzie się mógł zadłużać od nowa. Władza przecież nie może pozwolić, by szpital zbankrutował, zawsze skądś kasę na oddłużenie skołuje, więc – hulaj dusza.

Oczywiście ostatnie lata pokazały, że z owym zadłużaniem w nieskończoność nie jest tak gładko i bankructwa zaczęły się zdarzać. Szczególnie w szpitalach powiatowych często tworzonych grubo ponad regionalne potrzeby, na zasadach iście gierkowskich, by lokalna władza mogła chwalić się wyborcom „wypasioną" inwestycją. Ale generalnie w środowiskach rządzących ochroną zdrowia nie odczuwano szczególnej presji na ekonomiczną racjonalność i nawet przy zawieraniu milionowych kontraktów nie przychodziło nikomu do głowy, że przyjdzie się kiedyś z nich tłumaczyć.

Te milionowe kontrakty – to znaczy możliwość stawiania takich żądań przez lekarzy specjalistów – nie były oczywiście tworzone z myślą o nadużyciach. Po prostu ich nie przewidziano i nie stworzono żadnych mechanizmów ochronnych. W zamyśle chodziło o to, żeby umiejętności najlepszych specjalistów, mających opanowane rzadkie, szczególnie trudne i cenne procedury, wykorzystać z jak największym pożytkiem. Mówiąc krótko, żeby taki specjalista mógł pracować w różnych miejscach, wszędzie, gdzie potrzeba. Gdyby na tym się skończyło, nikt, jak sądzę, nie miałby problemu z tym, że – dajmy na to – chirurg potrafiący dokonywać transplantacji serca zarabia miliony. Na całym świecie by tyle zarabiał.

CZYSTY POPULIZM

Problemem jest, że w sytuacji, gdy wszystkim, także usługami medycznymi, rządzą polityczne, partyjno-towarzyskie układy, możliwości stworzone dla nielicznych zostały natychmiast wykorzystane do przekrętów. Ja ci dam zarobić, ty mi się odwdzięczysz – nagle okazało się, że „biznes na służbie zdrowia" może dawać układom wcale niegorsze możliwości dojenia niż obszary eksploatowane tradycyjnie.

Okazało się – i to jest największy szok, który spowodował, że od dwóch miesięcy Donald Tusk nie jest w stanie tej afery zgasić ani doczekać się, aż się mediom znudzi – iż lekarze, postrzegani dotąd jako służba, nie profesja, jako środowisko wyróżniające się jakimś szczególnym etosem, wcale się nim jako całość nie wyróżniają. Że istnieje coś, co można by w manierze rywinowskiej, skoro wróciliśmy do tych czasów, nazwać „grupą trzymającą zdrowie". I że ta grupa, tak jak grupy trzymające inne dziedziny życia publicznego, żyje w symbiozie z nomenklaturą władzy – czy to lokalnej, czy krajowej.

Co tu może dać wprowadzenie mechanicznego ograniczenia zarobków lekarzy w państwowych placówkach? Oczywiście nic dobrego – to czysty populizm, typowy dla tak szermującego tym oskarżeniem wobec innych Tuska i progresywno-liberalnego salonu. Ci naprawdę wysokiej klasy specjaliści w części zrezygnują z pracy „na państwowym" i kosztowne procedury pozostaną dostępne tylko dla najbogatszych, nasili się też patologia przyjmowania do państwowych szpitali tylko tych pacjentów, którzy wcześniej przejdą przez prywatny gabinet profesora, zostawiając tam odpowiednio więcej, by zrekompensować mu stratę wywołaną tuskowym limitem (jeśli limit ten w ogóle wejdzie w życie, bo na razie wygląda, że wymyślono go tylko po to, by to ogłosić). Ale chodzi przecież tylko o to, by problem politycznej mafii, która pod patronatem „europejskiego" premiera opanowuje kolejne obszary państwa, propagandowo przedstawić jako problem pazernych lekarzy i obrócić narastający gniew przeciwko środowisku medycznemu. Bo gniew będzie narastać. Każdy dzień będzie przynosił informacje o śmierciach na SOR, o odmowie leczenia potrzebującym, o ograniczaniu świadczeń, będą o tym informować nawet media prorządowe, bo muszą nadążać za emocjami odbiorców.

Można mieć złośliwą satysfakcję, gdyż medyczny establishment w wielkiej części uczestniczył w rokoszu przeciwko rządom PiS i wspierał powrót do władzy „demokratycznej" mafii. W podziękowaniu dostał ustawionego w partii – pardon pour le mot, ale to tzw. mowa pozornie zależna – gówniarza, który wymachując notesikiem z telefonami bywalców „saloniku VIP", rozstawiał po kątach starszych wiekiem i stażem, nawet profesorów (w parafeudalnym, zhierarchizowanym jak stado pawianów środowisku medycznym rzecz niesłychana). Ale schadenfreude to zbyt niskie uczucie, by mu ulegać. Ochrona zdrowia gnije, i nie tylko ona. I nikt nie próbuje się z tą zgnilizną na poważnie zmierzyć.

III RP pod rządami Tuska powróciła błyskawicznie do stanu sprzed afery Rywina. Wymownym tego symbolem jest triumfalny powrót jej głównego negatywnego bohatera, Włodzimierza Czarzastego, uczynionego trzecią osobą w państwie

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3d3726ab61

Upiór synodalności



FOT. VATICAN MEDIA/HANS LUCAS AGENCY/FORUM



Paweł Chmielewski

Synodalność miała gruntownie przeobrazić Kościół katolicki, ale na razie żadnych reform nie ma. Co więcej, Stolica Apostolska odrzuciła niedawno kluczowy synodalny postulat Niemców. To nie oznacza jednak, że można odetchnąć

Papież Franciszek ogłosił wielki proces synodalny w 2021 r. Od samego początku fundamenty intelektualne tego przedsięwzięcia były nader wątłe. Przede wszystkim brakowało jasnego wyjaśnienia pojęć. Co to właściwie jest cała ta „synodalność"? Na to pytanie nie potrafili odpowiedzieć nawet najważniejsi kardynałowie w Watykanie. Doszło do tego, że pytani o treść idei synodalnej, mówili o jakichś banałach w stylu „chodzenia razem" czy „słuchania się nawzajem". Ciekawy to pomysł: organizować kilkuletnie konsultacje w skali całego świata, żeby nauczyć się „wspólnej wędrówki". Może to kościelny odpowiednik skautingu?

WIELKI LIBERALNY EKSPERYMENT

Za pontyfikatu Franciszka synodalność mogła funkcjonować w sytuacji formalnej niejednoznaczności, bo wtedy liczyło się tak naprawdę jedno: wola papieża. Nikt nie miał wątpliwości, że niezależnie od teologicznych wyjaśnień i rozbudowanych teorii tak naprawdę o kształcie projektu „Kościoła synodalnego" decyduje osobiście Jorge Mario Bergoglio – oraz ci, których postawił na czele całej procedury. Byli to przede wszystkim kardynałowie Mario Grech z Malty i Jean-Claude Hollerich z Luksemburga, których w kategoriach polityczno-teologicznych można byłoby przypisać do grona progresistów. W ten sposób „droga synodalna" Kościoła stała się jednym wielkim eksperymentem liberalnym: na cały świat transmitowano idee, które pojawiły się w głowach niemieckich progresistów, niekiedy z jakimś udziałem homoseksualnych Amerykanów.

Dlatego nikogo, kto trzeźwo patrzył na sprawy, nie dziwił faktyczny kształt synodalnych dokumentów. „Chodzenie razem" i „słuchanie się nawzajem" stanowiło rodzaj propagandowej papki dla naiwnych, podczas gdy poważne treści przemycano w długich dokumentach, których prawie nikt nie czytał. W najważniejszym jak dotąd tekście, czyli „Dokumencie finalnym" z 2024 r., zapisano liczne pomysły zmian w Kościele, dokładnie w duchu agendy niemiecko-amerykańskich progresistów. Demokratyzacja, zmiany liturgiczne, nowe podejście do homoseksualizmu, podmiotowa rola kobiet… Nic nowego. Nieco spłycając – egalitarystyczny marksizm w wersji katolickiej, całkowicie zgodny z ideologią kościelnego reformizmu, którą wykuto już w latach 60. XX w.

Choroba Franciszka wiosną 2025 r. postawiła przyszłość synodalnej transformacji Kościoła pod znakiem zapytania. Kiedy Jorge Mario Bergoglio przebywał w szpitalu, odwiedził go kard. Mario Grech. Przedstawił mu propozycję rozpisania procesu synodalnego na kolejne lata – aż do roku 2028. Dla wszystkich w Watykanie było wówczas oczywiste, że papież nie dożyje nie tylko tej daty, lecz także nawet kolejnego roku. Czy Franciszek wiedział,

eprasa.pl 3d3726ab61

co robi? Cóż, nawet jeżeli złożył podpis drżącą ręką i w ogólnym stanie, który sugerował raczej powstrzymanie się od poważnej aktywności intelektualnej, to idea przedłużenia synodalności do roku 2028 jest z ducha całkowicie bergogliańska. W ten sposób – przynajmniej od strony technicznej – synodaliści Franciszka zabezpieczyli całe to dziedzictwo na pierwsze lata kolejnego pontyfikatu.

Leon XIV z niczego się nie wycofał. W lipcu 2025 r. zatwierdził synodalny harmonogram. Pozwolił też na dalszą pracę wielu synodalnych komisji eksperckich, które wcześniej powołał Franciszek. To zresztą bardzo interesujące gremia. Synodalność została przecież ogłoszona jako „wspólna droga" i konsultowanie „wszystkich", ale wspomniane gremia eksperckie mają charakter czysto elitarny. Pracują bez żadnej zewnętrznej kontroli. Ich stanowisko jest często skrajnie radykalne. W tym roku – a zatem już za Leona! – ekstremalne dokumenty przedłożyły dwie komisje, poświęcone roli kobiet i homoseksualizmowi. Ta pierwsza zaproponowała Kościołowi przyjęcie ideologii feminizmu: władza w ręce kobiet, nowe odczytanie Matki Bożej – już nie przez pryzmat Jej macierzyństwa, ale poprzez uznanie Jej odwagi, aktywności, autonomii… Komisja od homoseksualizmu zaprezentowała się z kolei jako kościelna przybudówka do amerykańskiej Partii Demokratycznej: skłonności jednopłciowe zostały przez nią przedstawione jako wspaniały i niezwykle owocny dar od samego Pana Boga. Dziennikarze ustalili później, że w pracach tej komisji ważną rolę odegrał jezuita James Martin – ten, który chce „budować mosty" ze społecznością LGBT. Kluczowym teologiem był z kolei ks. Maurizio Chiodi, który wykazuje niezwykle silną zależność intelektualną od teologii niemieckojęzycznej. Mówiąc krótko, papież się zmienił – ale watykańska synodalność pozostała na służbie rewolucyjnej ideologii reformistycznej.

MŁYNY WATYKANU MIELĄ POWOLI

Czy to wszystko ma jednak faktyczną aprobatę Leona XIV? Teoretycznie: tak, skoro synodalność trwa już za jego pontyfikatu. Z drugiej strony wiadomo, że młyny Watykanu mielą powoli. Z perspektywy logiki funkcjonowania Stolicy Apostolskiej byłoby wręcz niepoważne domagać się, by Leon XIV rzucił w diabły całe to synodalne szaleństwo i ogłosił, że Kościół wraca do normalności. Mówiąc wprost, nawet gdyby Robert Prevost był przeciwnikiem synodalności, to prawdopodobnie postanowiłby to przedsięwzięcie wygasić stopniowo, bez sugerowania jakiegoś zerwania z poprzednikiem. Na Soborze Watykańskim II kursowała znana rzymska sentencja, która miała opisywać postawę kurialistów: „Senat się nie myli, a jeżeli się myli, to się do tego nie przyznaje, żeby nie było widać, że się myli". W pewnych granicach można to odnieść również do Stolicy Apostolskiej. Nawet Franciszek, kiedy odwoływał zgodę Benedykta XVI na swobodne sprawowanie Mszy trydenckiej, starał się na siłę udowodnić ciągłość między sobą a poprzednikiem. Od Leona XIV nie należy spodziewać się czegoś innego. Jeżeli jest niechętny synodalności, to nie będzie tego nadmiernie pokazywać – przekieruje synodalność na inne tory w mniej spektakularny sposób.

Problem polega na tym, że stanowisko Leona jest całkowicie niejednoznaczne. Papież wydaje się człowiekiem, który chce sprawić przyjemność każdemu. Dlatego w poniedziałek wypowiada się tak, że przyklasnąć mogliby umiarkowani progresiści, a we wtorek wzbudza raczej aprobatę konserwatystów. Być może wynika to ze specyficznej osobowości, ale z drugiej strony to chyba świadoma taktyka. Leon rozumie, że odziedziczył po Franciszku skrajnie podzielony Kościół. Postanowił nie eskalować napięcia, tak by nie doprowadzić do pogłębienia antagonizmów. Jeżeli to trafna diagnoza jego polityki kościelnej, to tym bardziej należy uzbroić się w cierpliwość, oczekując bardziej klarownego ustosunkowania się papieża do fenomenu synodalności.

Jest jednak jeden konkret – całkiem pozytywny. Otóż w drugiej połowie czerwca Stolica Apostolska podjęła decyzję o tym, by odrzucić postulat zgłoszony przez Niemców w sprawie… kazań. Otóż Kościół katolicki za Odrą chciał, by kazania mogli wygłaszać również świeccy – w tym kobiety. To stary niemiecki pomysł, zresztą w wielu parafiach w tym kraju świeccy faktycznie kazania głoszą. Kiedy Frau Helga wygłasza homilię, dzieje się to jednak od strony formalnej nielegalnie – i to właśnie Niemcy chcieli zmienić, zwłaszcza przez wzgląd na rozpowszechnioną u nich ideę pełnego egalitaryzmu płciowego w Kościele. Swój postulat mogli podbudować synodalnie. We wspomnianym wcześniej „Dokumencie finalnym" z 2024 r. pisze się o konieczności takiej transformacji liturgii, by nadać jej „oblicze synodalne". Te postulaty padają w kontekście większego udziału świeckich w czynnościach liturgicznych. Można powiedzieć, że niemiecki pomysł głoszenia kazań przez świeckich jest idealnym sposobem na realizację tego synodalnego konceptu. Dlatego kiedy nowy szef niemieckiego episkopatu, bp Heiner Wilmer, wystosował do Watykanu oficjalną prośbę o zgodę na takie kazania, Niemcy byli dobrej myśli.

Nic z tego. Dykasteria do spraw Kultu Bożego odmówiła, tłumacząc, że kazanie na Mszy Świętej jest zarezerwowane dla duchownych. Wynika to, argumentowała, z samej natury liturgii – więc zmienić się tego po prostu nie da. Decyzja Dykasterii miała ewidentną aprobatę papieża Leona. W katechezie dotyczącej liturgii, którą papież wygłosił dzień po upublicznieniu kurialnego rozstrzygnięcia, wskazywał na nierozerwalny związek pomiędzy liturgią słowa a liturgią eucharystyczną. Innymi słowy, Stolica Apostolska odesłała Niemców z kwitkiem – a wraz z nimi w sumie cały postulat synodalizacji liturgii, bo innego pomysłu na konkretyzację tej koncepcji jak dotąd nie ma.

Czy to oznacza, że można spać spokojnie, bo upiór synodalności już nie powróci? Bynajmniej. Jedna decyzja Stolicy Apostolskiej, choćby i najlepsza, to jeszcze za mało. Papieska niejednoznaczność, niezależnie od jej przyczyn, jest mieczem obosiecznym. Pozwala na to, by środowiska progresywne nadal aktywnie działały, w nadziei, że Ojciec Święty przyjmie ich perspektywę, teraz lub w przyszłości. Spotkania synodalne odbywają się w Kościele cały czas, a już za dwa lata Rzym będzie sceną dziwacznego Zgromadzenia Kościelnego – przedsięwzięcia, które ma stanowić z woli Franciszka i kard. Grecha apogeum synodalności.

Batalia o kształt katolicyzmu w XXI w. toczy się zatem cały czas, a rola Leona XIV w sprawie przyszłości synodalizmu pozostaje nierozstrzygnięta.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 3d3726ab61



Dziś na terenie twierdzy Oscarsborg mieści się muzeum FOT. ADOBE STOCK

Norweskie Westerplatte



Piotr Semka z Oscarsborga

Patrząc na Oslofjord z bastionów, na których stoją armaty Kruppa, które zatopiły niemiecki krążownik „Blücher", trudno nie myśleć o wadze decyzji pojedynczej zdeterminowanej jednostki. Pułkownik Birger Eriksen nie mędrkował, nie panikował, nie szukał pretekstów do ucieczki od podejmowania decyzji. Rzetelnie wykonał robotę, do której został powołany

Wśród książek historycznych sporą ich część stanowią te, których autorzy próbują odpowiedzieć na pytanie: Co poszło nie tak? Tymczasem twórcy ekspozycji w muzeum na terenie norweskiej twierdzy Oscarsborg stawiają sprawę zgoła odwrotnie.

Oto dzieje niewielkiej fortecy z niedoświadczonymi rekrutami, uzbrojonej w mocno przestarzałe armaty i niemodernizowane od paru dekad wyrzutnie torpedowe, która zatrzymała ogromną niemiecką flotyllę, chcącą dokonać desantu na stolicę kraju Oslo i pojmać z zaskoczenia króla Norwegów.

Gościowi z Polski odwaga płk. Birgera Eriksena może kojarzyć się z naszą obroną Westerplatte, choć trwała znacznie krócej niż obrona naszej placówki. A nawet to porównanie wypada korzystniej dla Norwegów, bo oni zatopili krążownik ciężki „Blücher", a nam pancernika „Schleswig-Holstein" zatopić się nie udało.

Dlaczego ta nierówna walka Norwegów udała się mimo tak wielu ograniczeń? To naprawdę fascynująca opowieść.

KLUCZOWY PUNKT

Czytanie tego tekstu proponuję rozpocząć od zerknięcia na mapę Norwegii. Jedyna droga z Morza Północnego do Oslo wiedzie przez długi i kręty Oslofjord, który wcina się na ok. 100 km w głąb Półwyspu Skandynawskiego. Wojskowi stratedzy od wieków zwracali uwagę, że dwie małe wysepki Kaholmen, 30 km na południe od Oslo, to idealny punkt do nadzoru nad statkami płynącymi w kierunku norweskiej stolicy. I dlatego ta wyspa zawsze była ściśle kontrolowana przez władców krainy wikingów. Naprzeciw tych wysepek znajduje się dziś urlopowe miasteczko Drøbak, które jest letnim kąpieliskiem Oslo. Tutejsze urodziwe tereny uwielbiał malować norweski geniusz Edward Munch. Także dziś wyspy Kaholmen pozostają pod całkowitą kontrolą marynarki wojennej. I to szara wojskowa motorówka dowozi turystów do twierdzy zamienionej dziś w muzeum.

Pierwszy fort wzniesiono tu w 1624 r. na rozkaz duńskiego króla Christiana IV, który panował nad Norwegią. W 1846 r. zaczęto tu budować sporą solidną twierdzę, nazwaną na cześć króla Oskara II – władcy unii szwedzko-norweskiej – Oscarsborgiem.

Gdy ogląda się z zewnątrz mury fortecy, przypomina ona staroświeckie forty, którymi w tym samym czasie Austriacy otoczyli Kraków. Solidna czerwona cegła, żadnego żelbetonu ani stali zbrojeniowej. W latach 1891–1892 twierdzę wyposażono w nowoczesne, jak na tamte czasy, baterie brzegowe z niemieckich Zakładów Kruppa. Niedługo potem, w 1901 r.,

eprasa.pl 3d3726ab61

z zachowaniem całkowitej tajemnicy, wykuto w skale wyspy wyrzutnie do austriackich torped. Było to o tyle istotne, że tajemnicę tę utrzymano aż do momentu drugiej wojny światowej, co później zaważyło na losach wyspy.

W muzeum z rozrzewnieniem oglądam zdjęcia z lat międzywojennych z życia fortu. Oficerowie na czele z kmdt. płk. Birgerem Eriksenem noszą staroświeckie kepi, a żołnierze wyglądają jak reprezentanci starego findesieclowego świata. Z fotogramów emanuje poczucie spokoju kraju, który ostatniej wojny zaznał hen w epoce napoleońskiej. Dowódca twierdzy w 1940 r. dochodził do 65. roku życia. Czekał na 17 listopada, kiedy wraz z 65. urodzinami miał przejść w stan spoczynku i przekazać dowodzenie twierdzą w młodsze ręce. Norwegia od uzyskania pełnej niepodległości w 1905 r. i zerwania niemal 100-letniej unii państwowej ze Szwecją pilnie strzegła swojej neutralności. Z tego powodu nie wzięła udziału w pierwszej wojnie światowej i w okresie między obiema wojnami światowymi rygorystycznie unikała przystępowania do wszelkich sojuszy obronnych z sąsiadami. Norwedzy naiwnie uwierzyli, że skoro sami poważnie traktują zasadę neutralności, to szanowana będzie ona też przez innych. Dlatego nie inwestowali specjalnie w armię, a norweskie wojsko było wyposażone w przestarzałą i niewystarczającą ilość broni. Gdy w 1939 r. wybuchł nowy konflikt światowy, Norwegia znów wierzyła, że zachowa swój neutralny status. Ale tym razem miało być inaczej.

OPERACJA „WESERÜBUNG"

Zarówno hitlerowska Rzesza, jak i Wielka Brytania zwróciły uwagę na strategiczne położenie Norwegii z jej ogromną długością linii brzegowej. Kto chciał kontrolować Atlantyk, ten chciał też panować nad norweskimi portami. Sympatie Norwegów były raczej po stronie brytyjskiej – żona króla Haakona VII, Maud, była wnuczką królowej Wiktorii. Ale rząd w Oslo brał pod uwagę możliwość zajęcia kraju zarówno przez Brytyjczyków, jak i Niemców. A ci ostatni po triumfie nad Polską byli w apogeum swojego poczucia siły. W końcu naczelny dowódca Kriegsmarine, adm. Erich Raeder, przekonał Adolfa Hitlera do realizacji operacji „Weserübung", czyli jednoczesnego zajęcia



Pułkownik Birger Eriksen (1875–1958)

FOT. TORGEIR EKERHOLT SÆVERAAS/WIKIPEDIA CC BY 1.0

wszystkich najważniejszych punktów w Norwegii drogą desantu morskiego bądź lotniczego. Oslo miała zdobyć flotylla okrętów wojennych na czele z krążownikiem ciężkim „Blücher". Flotylla miała wykorzystać najpierw efekt zaskoczenia, a potem sparaliżować Norwegów swoim tonażem i siłą ognia. Sztabowcy z Berlina tak bardzo lekceważyli armię norweską, że postanowili, iż flotylla III Rzeszy będzie płynąć w szyku pokojowym, samym swym widokiem paraliżując wolę oporu. Ta arogancja miała się na Niemcach srodze zemścić.

SAME NIEPOWODZENIA... I SUKCES!

Na ekspozycji w Oscarsborgu drobiazgowo odnotowano, jak planowany przez Niemców efekt zaskoczenia kolejno brał w łeb. Już 8 kwietnia 1940 r., czyli w przededniu rozpoczęcia niezapowiedzianej agresji III Rzeszy na Norwegię, płk Eriksen otrzymał pierwsze informacje, że grupa niemieckich okrętów została zauważona na wodach duńskich. O godz. 23.50 dotarł sygnał z portu Bolærne. Potem w bohaterski bój z jednym z okrętów niemieckiej flotylli wdał się statek patrolowy „Pol III", za co swym życiem zapłacił jego dowódca kpt. Leif Welding-Olsen, który był jednocześnie pierwszą norweską ofiarą w tej wojnie. Czerwona, alarmowa flara odpalona z „Pol III" ostrzegła placówki nabrzeżne, że zbliża się wróg.

Po wojnie płk Eriksen nie krył swoich krytycznych ocen na temat stanu przygotowania Norwegii do konfrontacji z Niemcami. W odpowiedzi politycy odpowiedzialni za te zaniedbania rewanżowali się mu zarzutami, że zbyt szybko podjął decyzję o kapitulacji twierdzy

W końcu stało się jasne, że niemiecka flotylla niedługo dotrze w okolice Oscarsborga. Wtedy, we wczesnych godzinach rannych, 9 kwietnia 1940 r. płk Eriksen nie miał wielu powodów do optymizmu. Dysponował przestarzałymi armatami, niesprawdzaną nigdy w warunkach bojowych wyrzutnią torped z równie przestarzałymi pociskami, a na domiar złego tydzień wcześniej, 1 kwietnia, miała miejsce rutynowa wymiana załogi twierdzy, wskutek czego obsługę dział stanowili niewyszkoleni żołnierze. Nie było jasne, czy rekruci – żółtodzioby – w wypadku podjęcia walki dadzą sobie radę ze sprawnym załadowywaniem armat. Jakby tego było mało, właśnie od 1 kwietnia 1940 r. weszła w życie redukcja stanu personelu twierdzy, co oznaczało, że Eriksen miał do dyspozycji tylko czterech oficerów i 24 rekrutów – „świeżaków".

Eriksen wiedział, że zbliża się duży okręt, a za nim parę kolejnych, ale nie wiedział, jakiej są bandery. Jednak jeden z wcześniejszych sygnałów z poprzednich placówek mówił, że najprawdopodobniej są to Niemcy. Żołnierzom zdawało się, że słyszą komendy w języku niemieckim. Jak piszą autorzy wystawy: „Niemiecka flota płynęła z wyłączonymi światłami, a sylwetki okrętów były trudne do rozróżnienia we mgle i wieczornym mroku". W tej sytuacji najistotniejsze było samo podjęcie decyzji o rozpoczęciu walki. Jeżeli ostrzał okrętów Kriegsmarine okazałby się niecelny lub nieskuteczny lub niewyrządzający większej szkody przeciwnikowi, to twierdza zostałaby zalana ogniem przez hitlerowskiego pancernego potwora. Na dodatek dowództwo w Oslo z powodu nocnej pory było nieosiągalne i nikt nie wydał żadnego konkretnego rozkazu, co robić w tak nieoczekiwanej sytuacji. A jednak Eriksen zdecydował się podjąć walkę.

W norweskim filmie „Bitwa o Oslo" z 2025 r. obejrzeć można scenę dramatycznej wymiany zdań między dowódcą Oscarsborgu a jego zastępcą mjr. Magnusem Sødemem.

eprasa.pl 3d3726ab61



Makieta niemieckiego krążownika ciężkiego „Blücher" w muzeum twierdzy Oscarsborg FOT. FORSVARSHISTORISK MUSEUM

„Sødem: Nie możemy ładować dział dopóty, dopóki nie wiemy, jaki okręt nadpływa i jakiej amunicji użyć. Czy oddajemy strzały ostrzegawcze?

Eriksen: Nie, nie będziemy tego robić. Strzelamy amunicją ostrą 345 kg, pociskami odłamkowo-burzącymi. Do dzieła!

Sødem: Jakie rozkazy otrzymaliśmy? Bez bezpośredniego rozkazu musimy postępować zgodnie z instrukcją o neutralności. Powinniśmy oddać strzały ostrzegawcze.

Eriksen: W twierdzy Rauøy już padły strzały ostrzegawcze.

Søden: Ale to było trzy godziny temu [...]. Nawet nie wiemy, czy to te same statki.

Eriksen: Jeśli okręty przepłyną obok tej twierdzy, to dotrą do Oslo w 30 minut. Nikt oprócz nas nie może ich powstrzymać".

O godz. 4.21 padły dwie salwy z dział 25 cm z głównej baterii. Dodatkowo niemiecki okręt ostrzelała bateria znajdująca się na wzgórzu Kopås. Efekty przeszły wszelkie oczekiwania. Krążownik ciężki „Blücher" stanął w ogniu i w dodatku zaczęły palić się zapasy ropy oraz eksplodować składy amunicji. Niemieckiego kolosa dobił ostateczny cios śmierci w postaci dwóch torped odpalonych z podwodnej wyrzutni. Ale nie był to jedyny sukces Eriksena.

Reszta okrętów płynąca za „Blücherem" uznała, że okręt flagowy flotylli wyleciał w powietrze na minach, i zaczęła wycofywać się z fiordu w kierunku Morza Północnego. Atak z morza na Oslo odwołano.

O godz. 6.22 okręt ostatecznie zatonął. Historycy spierają się o liczbę niemieckich ofiar. Według jednej opinii spośród 1308 osób na pokładzie w lodowatej wodzie zginęło 830, inni badacze oceniają straty na 125 członków załogi i 195 żołnierzy desantu. Eriksen miał skomentować swoją decyzję lakonicznym zdaniem: „Albo zostanę odznaczony, albo stanę przed sądem polowym". Przez kolejne godziny 9 kwietnia Niemcy mścili się na Oscarsborgu za zatopienie ich flagowego krążownika ciężkiego wielogodzinnym bombardowaniem. Wyspy niemal zrównano z ziemią. 10 kwietnia, gdy okoliczne tereny zajął Wehrmacht, twierdza skapitulowała. Niemcom jeszcze w tym czasie zależało na wizerunku rycerskich wojowników i nie mścili się na Eriksenie. Pułkownik przeszedł na emeryturę, ale do końca wojny był pod cichą obserwacją gestapo.

ZBAWIENNY OPÓR

Dopiero po wojnie płk Eriksen dowiedział się, jak ważne było zatrzymanie przez niego niemieckiej flotylli. Na pokładzie „Blüchera" płynęła większość zmobilizowanych do flotylli Niemców znających język norweski. Przygotowano ich w ramach poszczególnych grup operacyjnych do zajęcia wszystkich norweskich urzędów i płynnego przejęcia władzy. Jedno z komand miało przejąć zapasy złota w norweskim banku państwowym. Inna grupa miała zająć pałac królewski i skłonić Haakona VII do zaakceptowania okupacji niemieckiej.

Dzięki zatopieniu niemieckiego krążownika ciężkiego nic z tych planów nie wyszło.

Ostrzeżony na czas król wyjechał specjalnym pociągiem na północ kraju, zabierając ze sobą cały zapas złota. Odważny władca przez kolejne dwa miesiące patronował walce z Niemcami, a gdy upadła Francja, odpłynął brytyjskim okrętem do Londynu, skąd wzywał swych poddanych do oporu przeciwko Niemcom.

Po wojnie zadziorny Birger Eriksen nie krył swoich krytycznych ocen na temat stanu przygotowania Norwegii do konfrontacji z Niemcami. W odpowiedzi politycy odpowiedzialni za te zaniedbania rewanżowali się zarzutami, że Eriksen zbyt szybko podjął decyzję o kapitulacji twierdzy.

Spory te załagodził sam król, Haakon VII, odznaczając odważnego komendanta Oscarsborga najwyższym bojowym norweskim odznaczeniem – Krzyżem Wojennym z Mieczem. Pułkownik zmarł w 1958 r., otoczony powszechnym szacunkiem. W 1977 r. trumnę ze szczątkami Eriksena przeniesiono z kościelnego cmentarza w Drøbak do Æreslunden – gaju honorowego na Cmentarzu Zbawiciela w Oslo. To miejsce pochówku norweskich bohaterów, które ma podobny prestiż jak nasze Powązki Wojskowe.

Kiedy patrzę na Oslofjord z bastionów, na których stoją armaty Kruppa, które zatopiły „Blüchera", trudno nie myśleć o wadze decyzji pojedynczej zdeterminowanej jednostki. Pułkownik Eriksen nie mędrkował, nie panikował, nie szukał pretekstów do ucieczki od podejmowania decyzji. Rzetelnie wykonał robotę, do której został powołany.

Gdy myślałem o Eriksenie, przypomniały mi się słowa Jana Pawła II na Westerplatte: „Musicie od siebie wymagać, nawet gdyby inni od was nie wymagali". Norweg nie mógł wiedzieć, że swoją walką daje królowi bezcennych parę godzin na bezpieczne opuszczenie stolicy, ale logika jego działań przyniosła zbawienne efekty dla kraju. Na tle zdezorientowanego rządu i zaskoczonego dowództwa stał się wzorem spokoju i determinacji. I to właśnie z tego powodu w 1995 r. przed wejściem do twierdzy wzniesiono pomnik skromnego dowódcy.

A wrak „Blüchera" leży do dziś na dnie Oslofjordu. Aby zapobiec ekspedycjom łowców historycznych pamiątek, wrakowi przyznano status pomnika wojennego i cmentarza żołnierskiego, aby nikomu poza specjalistycznymi służbami nie wolno było zakłócać spokoju szczątków zatopionych marynarzy.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Twierdza i muzeum Oscarsborg czynne są codziennie. Szczegóły na stronie: www.forsvarshistoriskmuseum.no.

eprasa.pl 3d3726ab61



KOMUCHOŻERCA

Skandal

LESZEK ŻEBROWSKI

Mija czwarta dekada po rzekomym „obaleniu" komunizmu w Polsce". Dotychczas ani w podręczniku, ani w publicystyce historycznej nie ma informacji o prawdziwej skali ofiar po 1944 r. Znamy tylko grube szacunki, w przybliżeniu do tysięcy, bo do tej pory nie przeprowadzono solidnych badań na podstawie kwerendy dokumentów i wszelkiej wytworzonej dokumentacji z tego zakresu. To nic, że jest ona rozproszona i nie zawsze łatwo dostępna, ponadto informacje i wzmianki o lokalnych obławach, pacyfikacjach i egzekucjach można znaleźć w nieoczekiwanych miejscach. Ale można. Nie miejmy oczekiwań, że uda się ustalić wielkość strat Polaków w miarę dokładnie. Ale tragedią jest to, że tylko nieliczni historycy i badacze poświęcili uwagę temu zagadnieniu. A wiedza leży w sprawozdaniach i raportach Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, „ludowego" Wojska Polskiego, Informacji Wojskowej, Milicji Obywatelskiej. Badanie tego zagadnienia przekracza możliwości (przede wszystkim czasowe i organizacyjne) indywidualnych osób czy nawet grup.

Tylko całościowe badanie dokumentacji, ale też wspomnień, pamiętników i relacji mogłoby nam dać pojęcie o skali represji i martyrologii po 1944 r.

Komuniści skwapliwie zacierali za sobą ślady. Braki w dokumentacji są faktem. Ponadto niezbadane do dziś są dokumenty terenowych ogniw Milicji Obywatelskiej, która w miarę dokładnie rejestrowała wszelkie wydarzenia na swym terenie, bardziej skrupulatnie niż Urzędy Bezpieczeństwa.

Czy taka wiedza jest nam potrzebna? Upływ czasu robi swoje. Nawet w rodzinach zanika wiedza o osobach zaginionych, które często przepadły, nie wiadomo dokładnie kiedy i gdzie. Ale państwo ma taki obowiązek, tym bardziej że inne robią to w miarę solidnie. Ponadto nie możemy stale obracać się w kręgu wulgarnej propagandy, że po 1944 r. mieliśmy rzekomego żydobójcę mjr. Józefa Kurasia „Ognia", mordercę Litwinów mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę" i pacyfikatora białoruskiej ludności prawosławnej. To nic, że zarzuty wobec nich są nieuprawnione i kłamliwe. Przecież propagandystom nie chodzi o prawdę.

Oto jeden niewielki przykład, jak przepadała wiedza o zabójstwach i eksterminacjach, dokonywanych przez KBW (październik 1945 r.):

„[...] stoczono walkę z bandą »Szarego« […], w toku walk zabito 2 ludzi z bandy »Szarego«, a trzeci został wzięty do niewoli, ale na rozkaz obecnego przy tym z-cy kierownika WUBP por. Szwagierczaka został rozstrzelany". Był to umundurowany żołnierz podziemia, jeniec. Ile było takich spraw? Takie ofiary przepadły na zawsze. To nasza wina. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Karol Olgierd Borchardt

SŁAWOMIR KOPER

Interesująca historia wiąże się z nazwami nowych polskich transatlantyków wchodzących do służby w latach 30. ubiegłego stulecia. Patronem pierwszego z nich był Józef Piłsudski, co można uznać za zwyczajowy hołd pod adresem marszałka. Tym bardziej że jego imię nosiła również kanonierka służąca w marynarce wojennej. Natomiast w drugim przypadku wybrano z premedytacją osobę Stefana Batorego, a ten władca wyjątkowo źle zapisał się w pamięci Gdańszczan. Stosunki z Wolnym Miastem były napięte i można było uznać, że ochrzczenie statku imieniem króla, który toczył wojnę z portem nad Motławą, było złośliwością wobec jego władz. Przecież nie byłoby problemów ze znalezieniem imienia innego zasłużonego wodza, a do tego polskiego pochodzenia. Zresztą kolejnym nowym transatlantykom pod biało-czerwoną banderą nadano imiona „Chrobry" i „Sobieski".

Pierwszy z nich (banderę podniesiono 27 lipca 1939 r.) przeszedł do historii polskiej literatury. Podczas swojego dziewiczego rejsu na jego pokładzie podróżował Witold Gombrowicz, który w ten sposób opuścił Polskę na zawsze. Pisarz z powodu wybuchu wojny odmówił powrotu z Buenos Aires, a „Chrobry" stał się tytułowym bohaterem w jego powieści „Trans-Atlantyk". Natomiast w maju 1940 r. z pokładu płonącego i zbombardowanego w Narwiku statku uszedł z życiem Karol Olgierd Borchardt. Na jednostce pełnił obowiązki starszego oficera i właśnie jemu zawdzięczamy opis ostatnich chwil statku.

Na zacumowanym przy Molo Południowym w Gdyni „Darze Pomorza", odgrywającym obecnie rolę statku muzeum, zrekonstruowano kajutę, którą w latach 1937–1938 zajmował Borchardt. Oficer pełnił wówczas funkcję zastępcy komendanta „Daru Pomorza" i zapewne nie przypuszczał, że kiedyś stanie się jednym z najbardziej znanych polskich pisarzy marynistów.

Podczas wojny dwa razy uratował się z tonących transatlantyków („Piłsudskiego" i „Chrobrego") i w efekcie tych przeżyć zapadł wówczas na kilkunastomiesięczną (!) bezsenność. Podczas bezsennych nocy zaczął spisywać wspomnienia, które po latach przybrały postać kolejnych książek („Znaczy kapitan", „Krążownik spod Somosierry", „Szaman morski", „Kolebka nawigatorów"). Przyniosły mu ogromną popularność, a przy okazji utrwaliły dla potomnych postacie kapitanów i kadry oficerskiej polskich transatlantyków. Borchardt z powodów zdrowotnych nigdy nie powrócił na morze i można zadać pytanie, co tak naprawdę by wolał. Sławę pisarza czy normalną morską służbę? Chyba jednak to drugie rozwiązanie, ale nie było mu to pisane. Do końca życia mieszkał w Gdyni, zmarł w 1986 r. i tam też został pochowany. ©℗

eprasa.pl 3d3726ab61



„Jeżeli to jest kierunek, w którym podąża Partia Demokratyczna: ten cały demokratyczny socjalizm [...], jeżeli to tak ma wyglądać – to mój głos jest do wzięcia" – mówił Bill Maher (z prawej) wiceprezydentowi J.D. Vance'owi

FOT. REAL TIME WITH BILL MAHER/YOUTUBE

„Komuszy korytarz" demokratów

Piotr Włoczyk

Na lewej flance Partii Demokratycznej jak na drożdżach rośnie czerwona ekstrema. Coraz więcej znanych sympatyków tej partii, a także polityków, zupełnie wprost mówi, że działalność tego środowiska to proszenie się o ogromne kłopoty

Wiceprezydent J.D. Vance z pewnością oczekiwał, że do opinii publicznej przebije się z tej rozmowy jakaś jego błyskotliwa wypowiedź czy żart. Wywiad siłą rzeczy musiał być głośny, bo J.D. Vance wystąpił w programie, w którym republikanie zazwyczaj obrywają. Komik Bill Maher śmieje się przecież najczęściej z amerykańskiej prawicy. I właśnie dlatego to słowa wypowiedziane w czasie tego wywiadu przez Mahera – sprawiającego jeszcze do niedawna wrażenie zdeklarowanego wyborcy Partii Demokratycznej – zyskały taki rozgłos.

„Jeżeli to jest kierunek, w którym podąża Partia Demokratyczna: ten cały demokratyczny socjalizm, ta obsesja na punkcie Izraela, nienawiść wobec Żydów, oni przecież nie uznają kapitalizmu czy więzień. Jeżeli to tak ma wyglądać – to mój głos jest do wzięcia" – mówił Maher, siedząc naprzeciw J.D. Vance'a.

Gospodarz programu „Real Time with Bill Maher" nawiązywał tymi słowami do ostatnich sukcesów Demokratycznych Socjalistów Ameryki (ang. Democratic

eprasa.pl 3d3726ab61

Socialists of America – DSA), stowarzyszenia, które jest sojusznikiem Partii Demokratycznej. Pod koniec czerwca bardzo radykalni kandydaci DSA zszokowali establishment Partii Demokratycznej, wygrywając kilka ważnych prawyborów. Były to ich kolejne sukcesy po przejęciu przez socjalistów spod tego szyldu dwóch wielkich miast: Nowego Jorku i Seattle. Dlatego Maher, który już od pewnego czasu wskazywał, że radykalizacja lewej flanki Partii Demokratycznej jest dla niego coraz większym problemem, w końcu „pękł" i powiedział J.D. Vance'owi zupełnie wprost: masz szansę zawalczyć o mój głos.

Maherowi, który jest z pochodzenia Żydem, chodzi nie tylko o coraz bardziej antyizraelskie stanowisko DSA (i szerzej – Partii Demokratycznej), lecz także o promowane przez młodych radykałów z tego środowiska antykapitalistyczne i wprost antyamerykańskie hasła. Na ich tle najbardziej znani dotąd przedstawiciele DSA – Alexandria Ocasio-Cortez oraz Bernie Sanders – prezentują się niemal jak ludzie „środka". O tej radykalizacji piszą już od pewnego czasu najważniejsze światowe tytuły, które raczej sympatyzują z demokratami.

„The Guardian": „Rozpęd, którego nabrali demokratyczni socjaliści, nie ma precedensu na amerykańskiej lewicy".

„The New York Times": „Demokratyczna wersja Tea Party już tu jest, z ogromnymi konsekwencjami dla wyborów połówkowych i – bardzo możliwe – najbliższych wyborów prezydenckich".

CNN: „Bez dwóch zdań są oni [DSA] siłą, z którą trzeba się będzie liczyć w amerykańskiej polityce. Ich działalność sprawia, że republikanie zacierają ręce, a niektórzy centrowi demokraci stają się nerwowi".

FEMINISTYCZNA MUZUŁMANKA

Dla republikanów tak jednoznacznie czerwoni rywale są naturalnie łatwiejszym rywalem niż centrowi demokraci. Przyjrzymy się najbardziej jaskrawemu przykładowi, czyli aktywistce DSA, która w listopadowych wyborach do Kongresu niemal na pewno wywalczy mandat. Trzydziestodwuletnia Darializa Avila Chevalier, feministka, która przeszła na… islam, pokonała w czerwcowych prawyborach w Nowym Jorku bardzo znanego, wieloletniego członka Izby Reprezentantów Adriana Espaillata, mającego poparcie mainstreamu Partii Demokratycznej.

„Niektóre z poglądów Chevalier mogą być postrzegane jako zbyt ekstremalne przez polityczny mainstream. A jeżeli zostanie wybrana, by reprezentować w Kongresie Upper Manhattan, to jej poglądy mogą stanowić wyzwanie dla ogółu Partii Demokratycznej" – oceniał dyplomatycznie „The New York Times".

Chevalier jeszcze niedawno była bardzo aktywna w mediach społecznościowych i choć skasowała swoje wpisy sprzed lat, to przecież w Internecie nic nie ginie. Ta gwiazda DSA chwaliła się w mediach społecznościowych, że gdy pewnego razu nie miała w restauracji pod ręką serwetek, wytarła ręce o wiszącą obok... flagę USA. Poza tym dała się ona poznać jako zwolenniczka nie tylko odbierania funduszy policji, lecz także rozwiązania tej służby, „rozładowywania" więzień, a także podkreślała, że „wszystkie deportacje są złe". W trakcie niedawnego wywiadu z „The New York Times" wielokrotnie dopytywana nie była w stanie jasno stwierdzić, czy człowiek, który z zimną krwią zamordował innego człowieka, powinien trafić za kratki. W kwestiach gospodarczych przekonywała natomiast, że państwo powinno „przejąć środki produkcji".

Zohran Mamdani, świeżo upieczony burmistrz Nowego Jorku, sam należący do DSA, poparł w demokratycznych prawyborach właśnie Chevalier, która jest jego protegowaną. I to on stoi za sukcesem dwóch innych kandydatów do Kongresu, którzy w Nowym Jorku zmietli ze sceny politycznej dotychczasowych pupili mainstreamu Partii Demokratycznej. Jego poglądy na tematy cywilizacyjne świetnie streszcza zdjęcie wrzucone przez niego w czerwcu 2020 r. na ówczesnego Twittera. Widać na nim jego rękę – w gumowej rękawiczce, w końcu był to czas pandemii – z wyprostowanym środkowym palcem wymierzonym w pomnik Krzysztofa Kolumba. Towarzyszył temu podpis: „Usuńcie go".

Co ciekawe, Adriano Espaillat sięgnął w swoich spotach po argument, który kojarzymy raczej z prawicą. W jednej ze swoich reklam zaatakował on Chevalier, odnosząc się do jej wpisu w mediach społecznościowych, w którym zdawała się ona porównywać byłych żołnierzy amerykańskich do „przestępców wojennych". Espaillat wypuścił więc spot, w którym czarny żołnierz stanowczo podkreśla: „Nazywając nas »przestępcami wojennymi«, Darializa zachowuje się bardzo źle. Mężczyźni i kobiety, z którymi służyłem, nie byli »przestępcami wojennymi«. To bohaterowie".

PRECZ Z KAPITALIZMEM!

„Kapitalizm to system zbudowany przez klasę posiadaczy, by wykorzystywać nas wszystkich dla ich własnych profitów – czytamy w założeniach programowych DSA. – Musimy go zastąpić demokratycznym socjalizmem, czyli systemem, gdzie zwykli ludzie mają decydujący wpływ na nasze zakłady pracy, dzielnice i społeczeństwo. Chcemy, by demokracja była napędzana przez zwykłych ludzi. Klasa kapitalistyczna chce nas przekonać, że jesteśmy bezsilni, ale razem możemy odzyskać kontrolę".

Statystyki pokazują, że to podejście jest coraz bardziej popularne. Świadczy o tym choćby liczba członków DSA. Jeszcze 10 lat temu była to marginalna organizacja, licząca 6 tys. członków opłacających składki. Dziś jest ich już 120 tys.

Do niedawna DSA znana była głównie dzięki działalności wspomnianego duetu Ocasio-Cortez i Sanders. W tym roku dołączyli do nich nowo wybrani burmistrzowie Nowego Jorku i Seattle, a bardzo możliwe, że jesienią wyborcy w stolicy USA oraz w Los Angeles powierzą kierowanie tymi metropoliami dwóm innym kandydatkom tego radykalnego skrzydła demokratów. Wszędzie ich program wygląda tak samo: jak najwięcej „różnorodności", wyrozumiałość dla przestępców, pełna ochrona nielegalnych imigrantów, zohydzanie kapitalizmu i dystansowanie się od tradycyjnie pojmowanej amerykańskości. A do tego promowanie przeświadczenia, że Ameryka robi poza granicami właściwie same złe rzeczy. Naturalną konsekwencją takiego przekonania była próba prowadzenia własnej „polityki zagranicznej" przez socjalistycznego burmistrza Nowego Jorku. Jego komisarz do spraw zagranicznych (wielu Amerykanów było zadziwionych, że w NYC jest takie stanowisko) postanowiła spotkać się w lipcu z ambasadorem Iranu przy ONZ. Pomysł został jednak

eprasa.pl 3d3726ab61

zarzucony po interwencji Departamentu Stanu. Amerykańscy dyplomaci wyjaśnili nowojorskiemu magistratowi, że politykę zagraniczną prowadzi jednak rząd federalny, a nie miasto, choćby największe w całym kraju.

W Nowym Jorku doszło do takiej radykalizacji nastrojów politycznych, że od niedawna, po sukcesie wyborczym Mamdaniego, nawet w liberalnej prasie na część dystryktów wyborczych na Brooklynie i Queens mówi się „komuszy korytarz" („commie corridor").

Hakeem Jeffries, lider mniejszości demokratycznej w Izbie Reprezentantów, mocno wspierał kandydaturę Espaillata, obawiając się radykalizmu, jaki Chevalier przyniosłaby ze sobą do Kongresu. Wierchuszka Partii Demokratycznej z niepokojem patrzy na ekstremizm rosnący na swojej lewej flance, ale na razie nie słychać z ust jej liderów stanowczej krytyki kierunku, w którym zmierza DSA. Szczególnie że zbliżają się wybory połówkowe i partia chce pokazywać jedność.

Problemem dla demokratów, którzy z niepokojem patrzą na „komuszy korytarz", jest coraz lepsza percepcja socjalizmu wśród ich wyborców

Jednak takich ograniczeń nie mają byli działacze Partii Demokratycznej. „Mówię to bez złej woli i wrogości: jeżeli nienawidzisz Partii Demokratycznej, to nie staraj się o naszą nominację. Nie używaj naszych zasobów, nie polegaj na wolontariuszach, nie używaj naszej infrastruktury. Skup się na budowaniu partii, którą tak naprawdę popierasz" – napisał w mediach społecznościowych na temat działaczy DSA Jaime Harrison, były przewodniczący Krajowego Komitetu Partii Demokratycznej (DNC), głównego organu zarządzającego całą strukturą polityczną demokratów. Ten zarzut szczególnie pasuje do Chevalier, która w niewybrednych słowach obrażała Joe Bidena i Kamalę Harris, uważając ich za polityków „sprzedanych" kapitalizmowi. Przykładowo: Harris zwyzywała za to, że ówczesna wiceprezydent USA powiedziała Gwatemalczykom, by nie przybywali do Ameryki nielegalnie.

Z kolei James Carville, strateg polityczny, który wiele lat pracował na sukcesy Partii Demokratycznej, były doradca Billa Clintona, powiedział w swoim podcaście: „Myślę, że czas już, żeby demokraci zaczęli debatować na temat słowa na »S«, czyli schizmy". Carville podkreślił, że jego zdaniem kandydaci DSA nie powinni być akceptowani przez Partię Demokratyczną.

SOCJALIZM ALBO ŚMIERĆ

Problemem dla demokratów, którzy z niepokojem patrzą na „komuszy korytarz", jest coraz lepsza percepcja socjalizmu wśród ich wyborców. Według sondażu Gallupa w ciągu ostatniej dekady wzrósł odsetek wyborców Partii Republikańskiej, którzy pozytywnie patrzą na kapitalizm (z 67 proc. w 2016 r. do 74 proc. w 2025 r.). Wśród demokratów widać w tym samym czasie odwrotną tendencję. Poparcie dla kapitalizmu spadło wśród nich z poziomu 54 proc. do 42 proc.

Jednak naprawdę fatalne liczby widać przy pytaniu o poparcie dla socjalizmu. Dane Gallupa pokazują, że w ciągu ostatniej dekady nawet wśród republikanów widać niewielki wzrost sympatii dla tego systemu (z 10 proc. do 14 proc.), ale wśród wyborców Partii Demokratycznej odsetek ten zwiększył się w tym czasie z 60 proc. do 66 proc.

Opór czołowych polityków demokratów w kwestii otwartego krytykowania DSA tłumaczy fakt, że według sondażu Marquette Law School 42 proc. wyborców Partii Demokratycznej ma dobre zdanie o socjalistach spod szyldu Mamdaniego, a tylko 17 proc. złe (reszta nie ma zdania na ten temat). Natomiast w całym społeczeństwie wygląda to niemal dokładnie odwrotnie: 21 proc. pozytywnie odnosi się do DSA, ale aż 48 proc. ma o tym środowisku złe zdanie. Ten wynik z pewnością cieszy Partię Republikańską, dla której radykalizm propagatorów socjalizmu (i antyamerykanizmu) to idealne paliwo wyborcze.

Zanim w wywiadzie z J.D. Vance'em Maher stwierdził, że jego głos jest w „grze", wygłosił płomienną krytykę kierunku, w którym zmierza amerykańska lewica, szczególnie jej młodzi wyborcy. Ten komik podał przy tej okazji dane, które konserwatywnym Amerykanom muszą jeżyć włosy na głowie. „To poważny problem dla demokratów. Mniej niż jeden demokrata na czterech poniżej 30. roku życia mówi, że odczuwa dumę z bycia Amerykaninem. 54 proc. mówi, że czuje z tego powodu wstyd. Czyli Ameryka to dla ciebie matka, która odbiera cię z liceum? – ironizował Maher w jednym z czerwcowych programów, tłumacząc przy okazji, że Ameryka, przy wszystkich swoich wadach, jest „w porządku".

„Jeżeli najtęższe mózgi w Partii Demokratycznej będą zachęcały, a nie zniechęcały do myśli, że Ameryka jest obciachem, a ludzie, którzy rządzą Gazą, są świetni, to demokraci są zgubieni […]. Liberałowie są słabi i woke, szczególnie ci biali, i popierają wszelkiego rodzaju nonsensy, które wymyślają ich dzieci. A potem to się roznosi po Partii Demokratycznej. W ostatnich wyborach chodziło o sprawy genderowe; upieranie się, że mężczyźni mogą rodzić dzieci. Teraz obawiam się, że »my lubimy terrorystów« to kolejna odsłona tego samego. Liberałowie powinni powstrzymywać głupoty, których autorami są ich dzieci" – grzmiał Maher.

Takich głosów jest więcej. Również Stephen A. Smith, jeden z najbardziej rozpoznawalnych amerykańskich komentatorów, przestrzega demokratów, że o ile szyld DSA jest świetnym wehikułem politycznym w wielkich miastach, o tyle na ogólnokrajowej scenie wyborczej radykalizm tego środowiska gwarantuje problemy. „Jeżeli Partia Demokratyczna stanie się jak Zohran Mamdani […], to nie macie szans – mówił niedawno Smith. – Na poziomie ogólnokrajowym w wyborach prezydenckich, do Senatu i Izby Reprezentantów – nie macie szans".

Jednak aktywiści DSA nie tracą rezonu i twierdzą, że Amerykanie są już gotowi na radykalną zmianę całego systemu.

„Jeżeli poprzestaniemy na wybraniu Zohrana [Mamdaniego, burmistrza NYC] czy AOC [Alexandria Ocasio-Cortez], to nasz projekt będzie porażką – przekonywał w czerwcu podczas przemowy w „komuszym korytarzu" Gustavo Gordillo, wiceszef DSA w NYC. – Nasze ambicje są o wiele większe niż stanowiska w rządzie. My chcemy zbudować na nowo cały świat".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3d3726ab61

Chadecka hipokryzja



Agnieszka Wolska z Kolonii

Niemiecka chadecja w poważnym kryzysie. Szef frakcji parlamentarnej CDU/CSU Jens Spahn został zmuszony do ustąpienia z tej funkcji po tym, jak ujawnił, że został ojcem... dzięki surogacji. Problem w tym, że jest ona w RFN nielegalna

Wydawałoby się, że społeczeństwa Europy Zachodniej, znane ze swojej obyczajowej swobody, niewiele jest już w stanie zaskoczyć. A jednak, w Niemczech rozgorzała właśnie debata, której głównym tematem są – jak się okazało – podwójne standardy dla elit i społeczeństwa w przypadku surogacji. Wszystko za sprawą jednego zdjęcia na Instagramie.

Zaczęło się od poruszającej, z perspektywy prywatnej, wiadomości o narodzinach dziecka. Szef klubu parlamentarnego niemieckiej chadecji (CDU/CSU), Jens Spahn, oraz jego życiowy partner, Daniel Funke, z dumą poinformowali, że właśnie „zostali ojcami". Instagramowej fotografii przedstawiającej męską parę (Spahn i Funke są oficjalnie homoseksualnym „małżeństwem") z dziecięcym wózkiem towarzyszył krótki komunikat o narodzinach syna, Georga: „We are family". Radość prominentnego polityka CDU szybko jednak zeszła na dalszy plan, ustępując miejsca fali oburzenia. Powód? Mały Georg przyszedł na świat dzięki wynajęciu surogatki w USA, by ominąć przepisy w RFN, gdzie jest to zakazane.

PRAWO ZAKAZUJE, PIENIĄDZE I KONEKSJE UMOŻLIWIAJĄ

Surogacja jest w Niemczech nielegalna, podobnie jak pośrednictwo w organizowaniu takich usług i działanie medyczne w tym zakresie. Restrykcyjne przepisy mają na celu ochronę godności kobiet oraz zapobieganie komercjalizacji ludzkiego życia. W świetle niemieckiego prawa cywilnego umowy o surogację uznaje się za sprzeczne z porządkiem publicznym, a tym samym za nieważne. Choć za matkę zawsze uznaje się kobietę, która urodziła dziecko, to niemieccy „rodzice docelowi", których dziecko zostało urodzone przez surogatkę za granicą, nie podlegają karze. Największą przeszkodą jest uzyskanie zgody na wjazd dziecka do Niemiec. W tym celu niemieckie organy muszą zbadać sytuację prawną – w szczególności kwestie pochodzenia i obywatelstwa – oraz wydać stosowną zgodę. Według Ministerstwa Sprawiedliwości oraz zgodnie z orzecznictwem Federalnego Trybunału Sprawiedliwości uznanie decyzji dotyczącej prawnego rodzicielstwa jest możliwe na drodze indywidualnej oceny każdego przypadku, o ile przynajmniej jedno z rodziców jest genetycznie spokrewnione z dzieckiem. Jens Spahn, który powiedział tabloidowi „Bild": „Mój mąż [jako dawca nasienia] został ojcem i ja również", zdaje się formalnie spełniać te warunki.

Jak prominentny polityk obszedł istniejące w Niemczech ograniczenia? Z pomocą przyszła tzw. turystyka reprodukcyjna. Celebryci Spahn i Funke skorzystali z usług matki zastępczej... w Stanach Zjednoczonych, gdzie proceder ten jest w pełni legalny i skomercjalizowany.

Ujawnienie tego faktu wywołało w Niemczech falę komentarzy i postawiło fundamentalne pytanie o równość obywateli wobec prawa. Krytycy podkreślają, że niemieckie zakazy stają się fikcją, którą można stosunkowo łatwo obejść – pod warunkiem że dysponuje się odpowiednio grubym portfelem. Koszt surogacji w USA wynosi bowiem średnio 120 tys. dol., co sprawia, że jest to opcja dostępna wyłącznie dla bardzo zamożnych.

CHADECKI PODWÓJNY STANDARD

Największe kontrowersje wzbudza oczywiście kontekst polityczny. Jens Spahn nie jest zwykłym obywatelem, lecz jednym z liderów chrześcijańskiej demokracji (CDU), byłym ministrem zdrowia, a obecnie szefem frakcji parlamentarnej w Bundestagu, czyli aktywnym uczestnikiem stanowienia prawa w RFN. Jego partia, dziś współrządząca Niemcami, od lat konsekwentnie sprzeciwia się jakiejkolwiek liberalizacji przepisów dotyczących „macierzyństwa zastępczego", odwołując się do tradycyjnych wartości chrześcijańskich i zasad bioetyki. Zaledwie kilka miesięcy temu, podczas zjazdu CDU w Stuttgarcie, uczestnicy, z udziałem Jensa Spahna, potwierdzili dotychczasową linię partii, odrzucając nawet propozycję surogacji niekomercyjnej – tzw. altruistycznej – i wskazując, że celem nadrzędnym jest ochrona kobiet przed wyzyskiem i ryzykiem zdrowotnym. Sam Spahn wypowiadał się już wcześniej na ten temat – np. w czasie, gdy kierował resortem zdrowia, a liberałowie z FDP dążyli w 2020 r. do zalegalizowania altruistycznego macierzyństwa zastępczego. Gdy poproszono o zajęcie stanowiska jego ministerstwo, federalny resort zdrowia bronił obowiązującego do dziś zakazu ustawowego, powołując się m.in. na „szczególne trudności

eprasa.pl 3d3726ab61

związane z poczuciem własnej tożsamości dziecka" oraz potencjalne negatywne konsekwencje dla jego rozwoju. Teraz wyciągnięto też Spahnowi jego wypowiedzi z jeszcze odleglejszej przeszłości. W 2015 r. dla magazynu „GQ" mówił: „Jako homoseksualny mężczyzna i chrześcijanin osobiście ciężko sobie radzę z ideą wynajmowanego matczynego brzucha. Zaakceptowanie faktu, że nie zostanę ojcem w sposób naturalny, wymaga dużej dozy pokory. Czy potrafię się na nią zdobyć? Tego nie wiem".

Dawne rozterki polityka dosadnie skomentował teraz feministyczny magazyn „EMMA", ironizując, że Spahn najwyraźniej jednak tej pokory w sobie nie znalazł. Krytyczny tekst redakcja opatrzyła wyrazistym tytułem: „Surogacja: Jens Spahn kupił sobie dziecko". Redakcja „EMMY" przypomniała w tym kontekście, że zaledwie kilka dni temu Organizacja Narodów Zjednoczonych wezwała do wprowadzenia globalnego zakazu wszelkich form surogacji. W raportach stwierdzono, że surogacja wiąże się z przemocą i wyzyskiem, traktuje ciało kobiety instrumentalnie i wykorzystuje kobiety pochodzące z najbiedniejszych środowisk. Według danych ONZ zjawisko surogacji przybiera na sile na całym świecie. W 2023 r. wartość tego globalnego rynku szacowano na blisko 15 mld dol., a prognozy wskazują, że do 2033 r. osiągnąć on może poziom 100 mld dol. Matki zastępcze otrzymują zazwyczaj tylko 10 do 25 proc. całkowitej kwoty wpłacanej przez przyszłych rodziców. Suma ta waha się od 30 tys. euro na Ukrainie (jeszcze do 2022 r. europejskiego eldorado surogacyjnego) do co najmniej 120 tys. dol. w USA. Większość tych środków konsumują bowiem agencje i prawnicy. „Sposób, w jaki Jens Spahn został ojcem, jest niegodziwy" – ocenił na łamach tygodnika „Der Spiegel" Timo Lehmann, przypominając o ciemnych stronach surogacyjnego procederu, np. o „kodach rabatowych" na zakup dzieci czy zmuszaniu zastępczych matek do aborcji w przypadku podejrzenia defektów genetycznych nienarodzonego dziecka.

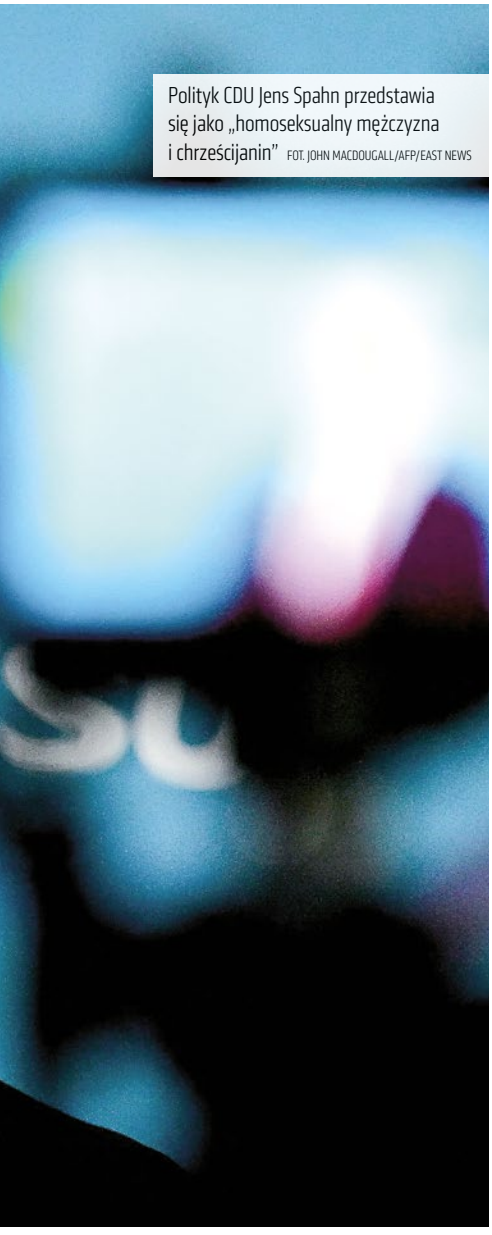
Suchej nitki na polityku CDU nie zostawiła też Birgit Kelle, znana publicystka katolicka, autorka książki o biznesie surogacyjnym „Ich kauf mir ein Kind" („I kupię sobie dziecko") – wydanej również po polsku (pt. „Żywy towar. Przemysł surogacji. Handel ludźmi w XXI wieku") – pisząc na X, że przedstawiciele legislatywy kpią sobie z obywateli, każąc im zachowywać przepisy, które sami lekceważą, bo „mają pieniądze i kupią sobie dziecko za granicą". Poirytowana radziła też chadekom, by wreszcie skreślili ze skrótu nazwy partii literkę „C" (oznaczającą przymiotnik „chrześcijańska"), skoro wartości chrześcijańskie ich najwyraźniej uwierają.



Przypadek Jensa Spahna podzielił także samą CDU. Ostro zareagowała szefowa działającej w ramach tej partii Unii Kobiet (Frauen Union) w Turyngii, Marion Rosin. Wypowiadając się dla grupy medialnej Funke, Rosin stwierdziła wprost, że Spahn „postawił się ponad duchem niemieckiego prawa", i wezwała go do natychmiastowego ustąpienia ze stanowiska szefa frakcji. „Jeśli polityk traci wiarygodność, to dymisja jest naturalną konsekwencją" – stwierdziła jego partyjna koleżanka.

Kierownictwo partii próbowało z początku tonować emocje. Kanclerz Friedrich Merz (CDU) zapytany o sprawę podczas konferencji prasowej odmówił komentarza, ucinając temat stwierdzeniem, że to „kwestia prywatna", ale przy-

eprasa.pl 3d3726ab61



Polityk CDU Jens Spahn przedstawia się jako „homoseksualny mężczyzna i chrześcijanin" FOT. JOHN MACDOUGALL/AFP/EAST NEWS

znał, że pogratulował koledze narodzin potomka.

Później okazało się, że dowiedział się o surogacyjnym ojcostwie Spahna tydzień wcześniej, stając wobec faktu dokonanego, co zdaniem niektórych komentatorów świadczy tylko o napiętych relacjach między obu politykami.

Komentator szwajcarskiego dziennika „Neue Zürcher Zeitung" Benedict Neff napisał nawet później, że Jens Spahn prawdopodobnie rozmyślnie wziął pod uwagę tego rodzaju konflikt z kanclerzem, by się uwolnić od związku z obecnym rządem. W grę mogła wchodzić osobista uraza, bo Friedrich Merz w przeszłości (wywiad dla „Bild" w 2020 r.) otwarcie sygnalizował, że w odniesieniu do czołowych osób w państwie nie jest gotów na afirmację praw rodzicielskich dla par homoseksualnych.

Rzeczniczka frakcji parlamentarnej CDU/CSU pośpiesznie wydała komunikat, informując, że chadecja nie zamierza w żaden sposób zmieniać swojego restrykcyjnego podejścia do surogacji w Niemczech.

Publicystka katolicka Birgit Kelle poradziła chadekom, by wreszcie skreślili ze skrótu nazwy partii literkę „C" (oznaczającą przymiotnik „chrześcijańska"), skoro wartości chrześcijańskie ich najwyraźniej uwierają

Inaczej do tematu podeszli przedstawiciele współrządzących Niemcami socjaldemokratów. Minister sprawiedliwości Stefanie Hubig z SPD, choć zaznaczyła, że w rządzie nie ma teraz większości potrzebnej do zmian prawa, to wyraziła nadzieję, że historia „ojcostwa" Spahna pomoże chadecji „zrozumieć sytuację niestandardowych rodzin" i otworzy drogę do uznania w RFN surogacji za legalny sposób stania się rodzicem.

Ostatecznie jednak wizerunkowego pożaru w CDU nie udało się ugasić inaczej niż metodą radykalną. 18 lipca na stronach frakcji parlamentarnej CDU/CSU pojawiło się oświadczenie Jensa Spahna o rezygnacji z zajmowanej funkcji (ale nie z mandatu parlamentarnego, który pełnić będzie nadal), co kanclerz Merz skomentował krótko: „Wiarygodność w polityce jest najwyższym dobrem".

„DOBRY BÓG CIESZY SIĘ Z KAŻDEGO DZIECKA"

Partner Jensa Spahna, Daniel Funke (44-letni dziennikarz i menedżer, pracujący m.in. dla giganta wydawniczego Burda Verlag), w rozmowie z gazetą „Bild" próbował jeszcze studzić emocje. Przyznał, że zdają sobie sprawę z kontrowersji i uprzedzeń, które budzi kwestia surogacji, jednak uciął dyskusję cytatem z legendarnego piłkarza Franza Beckenbauera: „Dobry Bóg cieszy się z każdego dziecka". Podkreślił, że amerykańska surogatka, która urodziła Georga, jest kobietą niezależną finansowo i posiadającą własną rodzinę, a po porodzie „stała się niemal częścią ich rodziny" i będzie obecna w życiu chłopca.

Przypadek 46-letniego Jensa Spahna (który wcale nie jest odosobniony, gdyż całkiem niedawno na podobny krok zdecydował się inny poseł CDU, także żyjący w homozwiązku, znany wirusolog Hendrik Streeck) postawił niemiecki system prawny w kłopotliwym położeniu. Unaocznił bowiem, że rygorystyczne zakazy bioetyczne stają się martwą literą dla tych, którzy posiadają władzę i środki pozwalające na korzystanie z usług surogacyjnych w innym kraju.

Lawina negatywnych komentarzy w sieci dowodzi, że dla sporej części niemieckiej opinii publicznej cała sprawa jest podręcznikowym przykładem obłudy, zwłaszcza w kontekście tego, co bohater skandalu sam w minionych latach mówił na temat surogacji.

Decyzja Spahna i jego partnera, by dla realizacji marzenia o dziecku zlekceważyć prawo, wznowiła w Niemczech dyskusję nad sensem utrzymywania surogacyjnych restrykcji. Zwolennicy zmian argumentują, że obecne przepisy promują hipokryzję i dyskryminują uboższe pary zmagające się z bezpłodnością. Przeciwnicy z kolei ostrzegają, że przypadek chadeckiego polityka wcale nie powinien być powodem do kapitulacji państwa wobec komercjalizacji rodzicielstwa, a raczej impulsem do uszczelnienia dotychczasowego systemu.

Jedno jest pewne: niewinne instagramowe zdjęcie z wózkiem dziecięcym zamiast ocieplić wizerunek polityka CDU, otworzyło puszkę Pandory. Stawiane jest pytanie o kompetencje moralne niemieckich elit, które znów udowodniły, że ich główną zasadą jest ta sformułowana niegdyś w słynnej powieści „Folwark zwierzęcy" George'a Orwella: „Wszystkie zwierzęta są sobie równe, ale niektóre są równiejsze od innych".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3d3726ab61

Nieudana roszada Magyara



Jacek Przybylski

Rząd Magyara zakończył przed czasem kadencje prezydenta i prezesa Trybunału Konstytucyjnego. Służby bezpieczeństwa zajęły też serwery opozycyjnego Fideszu w Budapeszcie



Węgierski premier Péter Magyar z arcymistrzynią Judit Polgár przegrał nie tylko w szachy

FOT. PÉTER MAGYAR/FACEBOOK

Judit Polgár. Legendarna węgierska szachistka, która tytuł arcymistrza zdobyła już jako 15-latka powszechnie uważana jest za najlepszą zawodniczkę w historii tej gry. Przegrywali z nią tacy mistrzowie jak Garri Kasparow, Anatolij Karpow czy Magnus Carlsen. Sama Judit Polgár po zakończeniu kariery pisze zaś książki i prowadzi fundację promującą naukę krytycznego myślenia.

Kilka lekcji przydałoby się premierowi Węgier. Wymuskany jak gwiazda K-Popu Péter Magyar – którego ugrupowanie 12 kwietnia zdołało wyraźnie pokonać koalicję Fideszu Viktora Orbána – poniósł bowiem pierwszą poważną porażkę polityczną. Zaproponował Polgár, aby ta objęła urząd prezydenta Węgier, czym wywołał poważne zamieszanie nawet w szeregach własnej partii.

Szachowa arcymistrzyni dyplomatycznie tę ofertę odrzuciła. „Nie czuję się na siłach, by wziąć na siebie historyczną odpowiedzialność za zjednoczenie podzielonego narodu, dlatego nie mogę przyjąć tego zaproszenia" – odparła Polgár.

AUTOKRATA U WŁADZY

Wcześniej Magyar doprowadził do siłowego skrócenia kadencji urzędującego prezydenta. 18 lipca prezydent Tamás Sulyok – doświadczony prawnik, były prezes Trybunału Konstytucyjnego, który na stanowisko prezydenta wybrany został głosami Fideszu, ugrupowania byłego premiera Viktora Orbána – ogłosił, że w obliczu nacisków ze strony premiera podpisał 17. poprawkę do konstytucji, zakładającą m.in. usunięcie go ze stanowiska przed końcem kadencji.

Magyar zarzucał Sulyokowi, że był „marionetką" Orbána i sprzyjał rządzącemu przez lata Fideszowi. Nowy premier podkreślał też, że prezydent powinien być bezpartyjny. 20 lipca obowiązki głowy państwa przejęła tymczasem przewodnicząca węgierskiego parlamentu i wiceprzewodnicząca rządzącej partii TISZA Ágnes Forsthoffer. Członkowie węgierskiego parlamentu – w którym posłowie TISZY mają 141 głosów ze 199 – na wybór nowego prezydenta mają 30 dni. Kto zgodzi się zostać marionetką szefa rządu w Budapeszcie, który – przynajmniej według opozycji – sam jest marionetką Brukseli i Berlina? Nie wiadomo.

„PRAWORZĄDNOŚĆ"

Wiadomo, że po siłowym skróceniu kadencji prezydenta i prezesa Trybunału Konstytucyjnego (zapisy w poprawkach do konstytucji były tak sformułowane, aby uderzały w konkretne osoby), a także ograniczeniu możliwości wykonywania mandatu posła do trzech kadencji, węgierskie służby bezpieczeństwa przeprowadziły nalot na biuro, w którym znajdowały się serwery będącego obecnie w opozycji Fideszu.

Były premier Węgier Viktor Orbán po przyjęciu nowelizacji do konstytucji ocenił, że w jego kraju nie ma już „ani demokracji, ani rządów prawa". Zauważył też, że zmiany w prawie wykluczyły z życia publicznego połowę przedstawicieli partii opozycyjnych. Ostrzegł więc, że na Węgrzech zapanowała „polityczna autokracja".

W środę Orbán potwierdził też, że dzień wcześniej prokuratorzy skonfiskowali serwery zawierające bazę danych i e-maile członków partii. Zdaniem byłego premiera miało to na celu uniemożliwienie Fideszowi legalnej działalności.

Sam Orbán nie będzie raczej czekać na sąd kapturowy. Planuje bowiem dłuższy pobyt w USA, gdzie przebywa już jego rodzina. ©℗

eprasa.pl 3d3726ab61



FOT. CUVR.GRL/TIKTOK

NA DWÓCH ŁAPACH

Od jakiegoś czasu mieszkańcy jednej z dzielnic Seattle spotykają dziwne futrzaste stworzenie. Nie dawali wiary opowieściom o „potworze" – aż do momentu, gdy jednej osobie udało się nagrać zwierzę w dzień. Okazało się, że mają do czynienia z szopem praczem, tyle że cechującym się rzadką mutacją genetyczną, która powoduje skrócenie tułowia czworonoga, przez co jego plecy są mocno ściśnięte, a nogi normalnej wielkości. Zwierzę potrafi stanąć i poruszać się na dwóch łapach.

NIE WIEDZIAŁA, ŻE JEST W CIĄŻY

Przed supermarketem w bawarskim mieście Hohenpeißenberg przyszło na świat dziecko. Matką okazała się 40-letnia spedytorka, która... nie wiedziała, że jest w ciąży. Gdy w nocy rozwoziła gazety, nagle dopadły ją silne bóle brzucha. Uznała je za objaw problemów żołądkowych. Dolegliwości dokuczały jej od miesięcy. Lekarz łączył jednak ten stan z przepracowaniem pacjentki i kompletnie nie brał pod uwagę, że kobieta może być przy nadziei.

KROKODYLE W WIĘZIENIU

Minister środowiska Izraela zmienił klasyfikację krokodyli, aby można było ich użyć w charakterze strażników więziennych. To odpowiedź na pomysł szefa resortu bezpieczeństwa Itamara Ben-Gvira. Chce on, żeby groźne gady otaczały więzienia, w których przetrzymywani są bojownicy Hamasu. Wzór stanowi ośrodek dla migrantów na Florydzie.

STRACIŁA ZĘBY

Do szokującego błędu lekarskiego doszło w Saint-Martin-Boulogne (Francja). Siedemnastolatce od długiego czasu dokuczał ból kostki w stopie. Żeby rozwiązać problem, została skierowana na operację. Tymczasem po wybudzeniu dziewczyny z narkozy okazało się, że lekarz usunął jej wszystkie cztery zęby mądrości. Powód? Pomylono pacjentki. Siedemnastolatka została zaproszona do niewłaściwego gabinetu. Jej rodzina złożyła pozew przeciw placówce.

WYSMAROWAŁ SIĘ OLEJEM

Wątpliwą sławę przyniosło 29-latkowi z Massachusetts włóczenie się w czarno-białym stroju mima. Został on oskarżony o wielomiesięczne straszenie pracownic popularnego parku stanowego. Mężczyzna podchodził do nich, wpatrywał się w nie i nie chciał odchodzić. Według jednej z relacji doszło też do sytuacji, w której rozebrał się do bielizny i wysmarował swoje ciało olejem kuchennym. Dwudziestodziewięciolatek stanął przed sądem. ©℗ ***Filip Memches***



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Skansen zwany Europą

Dwa lata temu wśród 50 najbardziej wartościowych spółek giełdowych świata było 10 europejskich firm. W lipcu 2026 r. liczba ta spadła do trzech. Są to holenderski producent maszyn fotolitograficznych ASML (20. miejsce), brytyjski bank HSBC (42. lokata) i szwajcarski koncern farmaceutyczny Roche (na 45. pozycji).

Powód? „Technologia zmienia się w zawrotnym tempie. Europa w znacznej mierze przespała cyfrową rewolucję, której motorem był Internet, a wraz z nią utraciła płynące z niej korzyści w postaci wzrostu wydajności. W istocie to właśnie sektor technologiczny jest główną przyczyną przepaści w produktywności, która dzieli Unię Europejską i Stany Zjednoczone. Wspólnota wykazuje słabość na polu wschodzących technologii, które będą stanowić siłę napędową przyszłego rozwoju. Zaledwie cztery spośród 50 wiodących przedsiębiorstw technologicznych świata mają europejski rodowód" – to cytat z raportu Komisji Europejskiej z roku 2024 zatytułowanego „Przyszłość europejskiej konkurencyjności". Ten fragment kończył się prostym wnioskiem: „Zapotrzebowanie Europy na wzrost gospodarczy rośnie".

Dziś wiemy już niestety, że wraz z boomem na sztuczną inteligencję technologiczna przepaść między Starym Kontynentem a resztą świata jeszcze się pogłębiła.

Nie pomogły rosnące europejskie wydatki na uzbrojenie (być może dlatego, że miliardy popłynęły poza Europę) ani przeforsowana przez Brukselę unikalna technologia przytwierdzania nakrętek do butelek... Skansen Europa gospodarczo liczy się coraz mniej. I nie jest to wina przedsiębiorców, lecz fatalnych polityków...

eprasa.pl 3d3726ab61

Bałkanizacja polskich wynagrodzeń



Jakub Wozinski

Znaczący wzrost wynagrodzeń w ostatnich latach był najczęściej odczytywany jako symbol rozwoju polskiej gospodarki. Za tym zjawiskiem stoi jednak w dużej mierze rozrzutność w sektorze publicznym



FOT. ADOBE STOCK

Po wielu latach emigracji zarobkowej Polska stała się ostatnio krajem, który odnotował zauważalną falę powrotów. Zjawisko to było już widoczne pod koniec ubiegłej dekady, lecz począwszy od 2020 r., zdecydowanie przybrało na sile. Emigranci zaczęli wracać z wielu powodów, ale szczególnie ważną motywacją stały się dla nich bardziej atrakcyjne niż wcześniej wynagrodzenia. Według danych Eurostatu płace w Polsce wzrosły w ciągu 2024 r. aż o 11,2 proc., podczas gdy w Niemczech zaledwie o 2,8 proc. W ubiegłym roku wartości te wyniosły odpowiednio 8,8 proc. i 4,2 proc.

Obecnie trend wzrostu wynagrodzeń nieco wyhamował, ale biorąc pod uwagę ostatnie lata, Polska nadrobiła względem wielu państw zachodnich spore zaległości. W efekcie średnie miesięczne wynagrodzenie w Polsce wynosiło w 2024 r. ok. 1880 euro przy średniej unijnej wynoszącej 3317 euro. Oznacza to, że w ciągu 20 lat od momentu przystąpienia do Unii Europejskiej średnia płaca w naszym kraju wzrosła z poziomu 30 proc. unijnej średniej do ok. 55 proc.

PRAWDZIWA LUKA PŁACOWA

Mimo że nadal zarabiamy średnio dwu- lub nawet trzykrotnie mniej niż mieszkańcy Starej Europy, to niższe koszty życia sprawiają, iż różnica ta jest mniej odczuwalna. Uwzględniając parytet siły nabywczej, polskie płace stanowią obecnie 80 proc. średniej unijnej. Naszą polską specyfiką jest natomiast to, że wysokość płac jest bardzo rozwarstwiona: prawie połowa Polaków otrzymuje do 5,5 tys. zł na rękę, lecz 10 proc. najlepiej zarabiających może liczyć na pobory wynoszące co najmniej 9,3 tys. zł miesięcznie. W wielu innych krajach Europy struktura wynagrodzeń jest dużo bardziej spłaszczona, dlatego całkiem pokaźna grupa osób w Polsce może odnosić uzasadnione wrażenie, że pod względem zarobków nie odstaje zanadto od mieszkańców bogatszych państw.

Stale rozrastająca się przestrzeń biurowa największych polskich ośrodków miejskich skłaniałaby do przyjęcia wniosku, że dynamiczny wzrost płac w Polsce dokonuje się głównie w sektorze wielkich firm. Średnie zarobki menedżerów w korporacjach stanowią nawet trzykrotność krajowej pensji minimalnej. W rzeczywistości okazuje się, że najszybciej w Polsce rosną płace w sektorze publicznym. To nie korporacje ani sektor małych i średnich przedsiębiorstw przodują w dawaniu podwyżek, lecz pracodawcy finansowani z budżetu państwa. Dane ukazujące skalę zjawiska powinny wzbudzić co najmniej niepokój.

W naszych czasach wiele mówi się na temat luki płacowej między kobietami a mężczyznami, choć z prawdziwie niepokojącą luką mamy do czynienia w przypadku zarobków w strefie budżetowej i prywatnej. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego z czerwca br. mediana zarobków w budżetówce wynosi 9858 zł brutto, podczas gdy w sektorze prywatnym zaledwie 6895 zł. W branży rolniczej państwo płaci średnio nawet trzykrotnie więcej niż pracodawcy prywatni, a w sektorze budowlanym ponaddwukrotnie.

Tę samą dysproporcję ukazują dane na temat średniego wynagrodzenia, które w sektorze publicznym wynosi aż 11 398 zł i jest aż o 25 proc. wyższe niż w sektorze prywatnym. Pod tym względem Polska zaczyna doganiać nie bogate kraje Europy Zachodniej, lecz typowe kraje bałkańskie, gdzie według danych OECD od lat utrzymuje się największa przewaga płac w budżetówce. W Serbii, Bośni i Hercegowinie czy też Czarnogórze luka płacowa wynosi niekiedy nawet 30 proc. na korzyść sektora publicznego.

NIEPOKOJĄCY WZROST

Kraje bałkańskie są być może atrakcyjne turystycznie i inspirujące kulturowo, ale z pewnością dobrze by się stało, aby Polska nie podążała wyznaczoną przez nie ścieżką dogadzania pracownikom publicznym. Jeżeli chcemy być zamożni jak Szwajcarzy, Duńczycy czy Holendrzy,

eprasa.pl 3d3726ab61

to musimy brać pod uwagę to, że pracując w sektorze prywatnym, mogą oni liczyć na wyraźnie lepsze zarobki niż w sektorze publicznym.

Niezwykle niepokojący jest także fakt, że wzrost wynagrodzeń w budżetówce przyspieszył w bezprecedensowy sposób. Jeszcze w poprzedniej dekadzie płace w sektorze publicznym nie były nigdy wyższe niż o 6 proc. względem sektora prywatnego. Wszystko zmieniło się w ciągu ostatnich kilku lat, a w szczególności po 2022 r. Od tego momentu Polska wkroczyła na zdumiewającą trajektorię.

Co dokładnie wydarzyło się kilka lat temu? Po pierwsze, w Polsce występowała wywołana przez rząd Morawieckiego i NBP Adama Glapińskiego galopująca inflacja. Wzrost cen wymuszał podwyżki wynagrodzeń. Podobne zjawisko występowało jednak na całym świecie, a mimo to właśnie w Polsce dawano relatywnie największe podwyżki w sferze budżetowej. Na czym polega więc polski fenomen?

Odpowiedzi należy szukać m.in. w niemających precedensu podwyżkach dla personelu medycznego związanych z polityką pandemiczną. Rząd Zjednoczonej Prawicy doprowadził do sytuacji, w której pracujący w szpitalach tymczasowych lekarze i pielęgniarki zarabiali nawet kilkakrotność swoich dotychczasowych pensji. Gdy mniemana pandemia została odwołana, personel medyczny nie chciał już wracać do starych stawek. W rezultacie lekarz ze specjalizacją zarabia dziś w szpitalu przeciętnie 24 tys. zł miesięcznie, choć – jak za sprawą afery Szpitala Południowego dowiedziała się cała Polska – nawet do 10 proc. lekarzy zarabia dzięki łączeniu pracy w różnych placówkach ponad 1 mln zł rocznie.

Nierzadko zwraca się uwagę na to, że faktyczny poziom płac w sektorze prywatnym jest niedoszacowany ze względu na inne formy zatrudnienia. Wielu menedżerów i pracowników współpracuje z firmami na zasadzie B2B, przez co ich niestandardowe zarobki nie są wliczane do statystyk GUS. To samo zjawisko dotyczy jednak budżetówki, czego najlepszym dowodem są skandalicznie wysokie w odbiorze większości Polaków zarobki medyków.

LICYTACJA NA PODWYŻKI

Sfera budżetowa nie ogranicza się oczywiście wyłącznie do służby zdrowia. Znaczące podwyżki wywalczyły sobie w ostatnim czasie także inne grupy zawodowe, m.in. nauczyciele (szczególnie w 2024 r.), pracownicy akademiccy czy też pracownicy urzędów administracji publicznej. Wzięte z osobna podwyżki te posiadały oczywiście swoje uzasadnienie, gdyż osoby wykonujące wiele ważnych funkcji publicznych otrzymywały dotąd żenująco niskie wynagrodzenia, lecz rządzący nie mogą podnosić uposażeń ponad możliwości finansowe państwa.

Główną odpowiedzialność za bałkanizację struktury wynagrodzeń w Polsce ponoszą dwie największe partie polityczne, czyli Prawo i Sprawiedliwość oraz Koalicja Obywatelska, które na przestrzeni ostatnich lat rozkręciły populistyczną licytację na obietnice socjalne i zaczęły prześcigać się w obietnicach podwyżek płac. W efekcie gdy ekipa Donalda Tuska przejęła pod koniec 2023 r. władzę, niemal natychmiast wprowadził on do budżetu na kolejny rok poprawkę zakładającą zwiększenie wynagrodzeń dla wielu grup zawodowych administracji publicznej. W przypadku pracowników służby zdrowia obecny rząd zaledwie wykonuje zaś automatyczną podwyżkę wynagrodzeń, którą jeszcze w 2017 r. wprowadził rząd Prawa i Sprawiedliwości.

Na poziom wynagrodzeń w sektorze publicznym pewien wpływ mają też niewątpliwie szokująco wysokie uposażenia zarządców miejskich spółek. W maju szczególnie głośno zrobiło się na temat Poznania, w którym publiczni menedżerowie zarabiali rocznie nawet 130–400 tys. zł więcej niż ich odpowiednicy z innych miast. Wiadomo jednak, że ten sam problem dotyczy bardzo wielu samorządów w całym kraju.

PSUCIE RYNKU PRACY

Horrendalnie wysokie wynagrodzenia wypłacane w ramach kontraktów menedżerskich czy lekarskich nie są oczywiście wliczane do statystyk GUS, lecz mają istotny wpływ na rynek pracy. Szczególnie wysokie wynagrodzenia nawet skromnej grupy skutecznie przyczyniają się do zwiększenia oczekiwań płacowych pozostałych pracowników, którzy często prezentują przecież podobny poziom kwalifikacji zawodowych.

Największe koszty płacowego eldorado w sferze budżetowej ponosi sektor małych i średnich przedsiębiorstw. W sytuacji narastającej dysproporcji w zarobkach coraz więcej osób spogląda chętniej ku zatrudnieniu w budżetówce, gdzie minister pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk obiecuje dodatkowo wprowadzić czterodniowy tydzień pracy. W oczywisty sposób państwo narzuca także przedsiębiorcom coraz większe ciężary podatkowe, gdyż znaczną część rosnących wydatków publicznych stanowią koszty wynagrodzeń. Szczególnie dotkliwa dla wielu małych działalności składka zdrowotna wprowadzona przez PiS w ramach Polskiego Ładu zasila przecież wiecznie zadłużoną publiczną służbę zdrowia, która jak mało która zaburza zdrową strukturę wynagrodzeń.

Bałkanizacja polskich płac powinna wszystkim dać wiele do myślenia. Politycy muszą wreszcie zdać sobie sprawę z tego, że obsypując pracowników sektora publicznego deszczem pieniędzy, mogą wkrótce zgotować Polsce grecki scenariusz. Stan polskich finansów publicznych jest naprawdę poważny, a podreperować go może tylko sprawnie działający sektor prywatny, który z definicji musi być bardziej atrakcyjnym miejscem do pracy niż żyjący z niego sektor publiczny.

Odpowiednie wnioski z całej sytuacji powinni także wyciągnąć zwykli Polacy, którym przydałoby się zdecydowanie więcej zdrowego sceptycyzmu względem narracji o domniemanym polskim cudzie gospodarczym. Poziom inwestycji w Polsce spada od lat i jest obecnie niższy o 10 p.p., niż wynosi średnia unijna. Prawdziwie zamożnego społeczeństwa nie da się zbudować w oparciu o wysokie pensje w sektorze publicznym i inwestycje realizowane przez międzynarodowy kapitał. Polska będzie w stanie realnie dogonić zachodnie płace, tylko jeśli postawi na rodzimy, prywatny biznes.

Tymczasem szeroko komentowany ubiegłoroczny raport Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości i Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach wykazał, że tylko 3 proc. Polaków zamierzało w ciągu najbliższych trzech lat założyć własną firmę, a wynik ten plasował nasz kraj na najniższej pozycji spośród 51 badanych państw. Kto by się trudził, skoro na państwowym można dostać więcej?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3d3726ab61



Jacek Przybylski

FIFA rozbiła bank



Tegoroczne piłkarskie mistrzostwa świata, w których udział wzięło 48 drużyn, przyniosły FIFA aż 15 mld dol. przychodów. To dwa razy więcej niż cztery lata temu w Katarze. Jest więc bardzo prawdopodobne, że w roku 2030 w mundialu wezmą udział reprezentacje 64 krajów

Celny strzał prosto w siatkę Ferrana Torresa w 106. minucie finałowego meczu z Argentyną dał Hiszpanom nie tylko drugi w historii tytuł mistrza świata w piłce nożnej, lecz także wypłatę w wysokości aż 50 mln dol. (równowartość 189,6 mln zł). To rekordowa kwota. Gdy w 2022 r. Lionel Messi poprowadził Argentynę do mistrzostwa, FIFA wypłaciła jej wówczas 42 mln dol. Pieniądze z wygranej popłyną nie tylko do piłkarzy i trenerów, lecz także zasilą konta… hiszpańskiego fiskusa. Wielkość podatku dochodowego, który zapłacić będą musieli zawodnicy, szacowana jest na ok. 6 mln euro.

WIĘCEJ KRAJÓW, WYŻSZE ZYSKI

Rekordowa wygrana dla zwycięskiej drużyny wygląda jednak mizernie, gdy spojrzy się na przychody Międzynarodowej Federacji Piłki Nożnej (FIFA) z mistrzostw świata. Mierzone są one w czteroletnich cyklach. I tak mundial rozegrany w Rosji w 2018 r. przyniósł przychody szacowane na 6,4 mld dol. Wpływy FIFA z mistrzostw świata w Katarze w 2022 r. wyniosły 7,6 mld dol. (równowartość 28,83 mld zł). W tegorocznym mundialu rozgrywanym w USA, Kanadzie i Meksyku przychody piłkarskiej federacji szacowane są zaś na 15 mld dol. Przed rozpoczęciem wydarzenia wielkość wpływów szacowano na 13 mld dol. Fakt, że udało się przebić i tak optymistyczne prognozy, umocni pozycję prezesa Infantino, nie tylko budzącego kontrowersje w związku z naginaniem zasad gry, lecz także krytykowanego za to, jak wydawane są pieniądze w piłkarskiej organizacji.

Na tak astronomiczne przychody wpłynął m.in. dynamiczny system sprzedaży biletów, który wywindował ich ceny. FIFA pobierała też 15 proc. prowizji (zarówno od sprzedającego, jak i kupującego) w przypadku odsprzedaży biletów na rynku wtórnym. To zaś oznacza, że na każdym odsprzedanym za 1 tys. dol. bilecie FIFA zarabiała dodatkowo aż 300 dol.

Szacuje się także, że ok. 4 mld dol. FIFA zarobiła na sprzedaży praw do transmisji telewizyjnych, a kolejne 2 mld dol. na umowach sponsorskich, w tym z największym na świecie koncernem paliwowo-chemicznym, czyli spółką Saudi Aramco.

Przychody z amerykańskiego mundialu są rekordowo wysokie m.in. dlatego, że w tegorocznych piłkarskich mistrzostwach świata pierwszy raz uczestniczyło aż 48 drużyn (wcześniej od 1998

eprasa.pl 3d3726ab61



FOT. ADOBE STOCK

do 2022 r. o mistrzowski tytuł walczyli piłkarze z 32 państw). To zaś oznacza, że zamiast 64 meczów w tym roku rozegrano ich aż 104.

Szwajcar Gianni Infantino – który na czele FIFA stoi od roku 2016 – poważnie rozważa więc ponowne powiększenie turnieju. Jest więc bardzo prawdopodobne, że już w 2030 r. w mistrzostwach świata organizowanych wspólnie przez Hiszpanię, Portugalię i Maroko rywalizować będą reprezentacje z aż 64 państw.

– Cały świat powinien móc marzyć o mundialu, nie tylko Europa i Ameryka Południowa – przekonuje szef FIFA. Według wstępnych rozważań powiększenie turnieju oznaczałoby, że Azja otrzyma na mundialu 12 miejsc (obecnie ma 8), Afryka 13 (teraz 9), a Oceania dwa zamiast jednego.

Poszerzenie turnieju dałoby możliwość rywalizacji drużynom z takich krajów jak Chiny czy Indie, a to oznacza napływ miliardów widzów oraz – co w piłce nożnej wydaje się obecnie o wiele ważniejsze – kolejnych miliardów dolarów. W końcu zamiast 104 pojedynków (w przypadku mistrzostw składających się z 64 drużyn) kibice oglądaliby w finale aż 128 meczów.

Z punktu widzenia finansów rozrośnięte do granic możliwości mistrzostwa świata mogą zmniejszyć przychody z meczów kwalifikujących do mundialu. Reklamodawcy będą bowiem zapewne woleli skupić się na samym mundialu, to zaś jeszcze mocniej wzmocni wpływy FIFA.

Przeciwnicy wskazują na potencjalne problemy logistyczne: potrzebnych będzie nie tylko więcej miejsc w hotelach, lecz także więcej stadionów (w tegorocznych mistrzostwach 1039 zawodników rywalizowało na 16 obiektach). Pojawić się też może kłopot z terminarzem. Już teraz mistrzostwa świata trwają przecież ponad pięć tygodni. W 2034 r. mundial odbędzie się w Arabii Saudyjskiej. A skoro ramadan rozpocznie się w połowie listopada, to niemożliwe będzie ustalenie terminu rozgrywek na listopad i grudzień (jak było w Katarze w 2022 r.). Jeśli drużyn będzie jeszcze więcej niż w tym roku, to znalezienie odpowiedniego okienka w kalendarzu stanie się jeszcze trudniejsze. Również w Europie konieczne byłyby istotne zmiany harmonogramu kwalifikacji.

MURAWA NA SPRZEDAŻ

Sporo na tegorocznym mundialu zarobili również nadawcy oraz oficjalni sponsorzy turnieju. Przyczyniła się do tego kontrowersyjna decyzja FIFA o wprowadzeniu dwóch przerw na uzupełnienie płynów przez zawodników. Tak zwane hydration breaks ogłaszane w okolicy 22. i 67. minuty spotkania trwały zgodnie z regulaminem dokładnie 180 sekund. Nie zawsze były one

32 970 dol.

CO NAJMNIEJ TYLE TRZEBA BYŁO ZAPŁACIĆ ZA BILET NA FINAŁOWY MECZ MUNDIALU

potrzebne samym zawodnikom, ale dały stacjom telewizyjnym fantastyczną okazję do uzupełnienia budżetów dodatkowymi wpływami z reklam. FIFA ostrzegała co prawda, że blok reklamowy może się rozpocząć dopiero po 20 s po odgwizdaniu przerwy na nawodnienie i zakończyć 30 s przed wznowieniem gry, ale nowy regulamin i tak dał nadawcom 4 minuty i 20 sekund dodatkowego czasu reklamowego. Biorąc pod uwagę, że 48 drużyn rozegrało aż 104 mecze, stacje telewizyjne otrzymały do dyspozycji niemal 451 dodatkowych minut na reklamy. Innymi słowy: siedem i pół godziny na bloki reklamowe sprzedawane po niezwykle wysokich cenach. W tym czasie można było jednak emitować jedynie spoty oficjalnych sponsorów mistrzostw świata albo reklamy pokazywane na połowie obramowania obrazu z transmisji (tzw. L-screen). Ten ostatni format jest mniej intruzywną formą reklamy niż klasyczne spoty. To zaś przekłada się na dużą oglądalność i wyższe wpływy od reklamodawców.

FIFA sporo zarabia też na różnego rodzaju pamiątkach i usługach dodatkowych. I nie chodzi tu tylko o koszulki czy czapeczki po 40 euro za sztukę (równowartość 173 zł), bluzę za 75 euro albo okolicznościową walizkę z Hiszpanią w roli mistrza świata za 265 euro (równowartość 1150 zł) lub 305 euro (1320 zł) w zależności od wzoru. Najwięksi fani piłki nożnej kupić mogą m.in. replikę biletu na finałowy pojedynek Hiszpanii z Argentyną (20 euro), miniaturkę trofeum o wielkości 45 mm za 25 euro, a nawet kawałek murawy ze stadionu MetLife w New Jersey, na którym rozegrano finał turnieju. Murawa sprzedawana była w czterech różnych wariantach. Najtańszy kawałek o wielkości 2,5 cala na 2,5 cala (6,35 cm na 6,35 cm) został wyceniony na 390 euro (1689 zł). W zestawie sprzedawanym w serwisie KeepStub znalazł się fragment boiska finałowego mistrzostw

eprasa.pl 3d3726ab61

świata FIFA 2026, zamknięty i trwale zabezpieczony w akrylowej obudowie, a dodatkowo w okolicznościowym pudełeczku dołączono pendrive z filmem potwierdzającym autentyczność kawałka murawy. Za 775 euro (równowartość 3356 zł) poza kawałkiem kultowej trawki oraz pamięcią USB w zestawie znajduje się również pamiątkowy bilet wykonany z grawerowanego złota i podpisany Certyfikat Autentyczności w ekskluzywnym pudełeczku. Dla fanów, których stać na jeszcze więcej, opracowano wariant za 1035 euro (równowartość 4481 zł). W tym przypadku w eleganckim pudełeczku obok fragmentu boiska, na którym rozegrano finał, dodano oficjalną miniaturową replikę złotej piłki Trionda z finału Pucharu Świata Adidas, a także pamiątkowy bilet na finał. Wersja najdroższa wyceniona została na 2585 euro (równowartość 11 193 zł). W skład pakietu wchodzi zaś kawałek murawy o wielkości 3 cale na 3 cale (7,62 cm x 7,62 cm), replika biletu ze złotym grawerunkiem, replika miniaturowej piłki mistrzostw świata i trofeum dla mistrzów wykonanego ze szlifowanego kryształu. W najdroższej wersji pudełeczko wykonane jest z drewna.

Aby wygenerować maksymalny popyt na sprzedawane pakiety, marketingowcy ograniczyli liczbę sztuk „prawdziwego fragmentu historii futbolu" (czytaj: niewielkich kolekcjonerskich kawałków trawy z dodatkami) w każdej kategorii cenowej do zaledwie 2026 sztuk. Efekt? Tylko na sprzedaży pamiątkowej murawy federacja piłkarska spodziewała się zarobić ponad 11 mln dol. (równowartość 41,7 mln zł).

Tegoroczne mistrzostwa świata były jednocześnie pokazem ogromnej kreatywności marketingowców FIFA. Jedną z nowych usług była możliwość wyświetlenia na telebimie przed pierwszym gwizdkiem nazwiska konkretnego fana piłki nożnej wraz z drużyną, której kibicuje. Cena takiej przyjemności: zaledwie 79 dol. (równowartość 300 zł).

DROGIE ŻYCIE KIBICA

Na coraz większej komercjalizacji rozgrywek piłkarskich i rosnącej pazerności FIFA najbardziej tracą sami kibice. I nie chodzi o czas stracony na nowych przerwach reklamowych, ale o koszmarnie drogie miejsca na trybunach. Dynamiczny system sprzedaży biletów pozwalał FIFA mocno windować ceny wejściówek na mecze, które cieszyły się największym zainteresowaniem widzów. Amerykańska prokurator Jennifer Davenport zauważyła, że między październikiem 2025 r. a kwietniem 2026 r. FIFA podniosła ceny biletów na ponad 90 ze 104 meczów mistrzostw świata. Dziennikarze BBC podali zaś, że bilety na wspomniane mecze zdrożały średnio o 34 proc.

Bilety na rozegrany na stadionie MetLife w New Jersey mecz finałowy kosztowały 32 970 dol. (równowartość 125,2 tys. zł). I była to wersja bez wliczonych przekąsek i napojów. Niektóre z nich odsprzedano zaś za pośrednictwem specjalnej platformy FIFA za ponad 2 mln dol. (7,6 mln zł), od czego organizacja piłkarska otrzymała wspomniane wyżej dodatkowe prowizje od odsprzedaży.

Jeszcze przed rozpoczęciem tegorocznych mistrzostw dziennik „Financial Times" zwracał uwagę, że organizacje kibiców szacowały, iż koszt śledzenia zmagań ukochanej drużyny aż do finału był w tym roku ponadpięciokrotnie wyższy niż w 2022 r. (jeśli miało się szczęście i zdołało kupić bilety w podstawowej stawce). Kibice oskarżali więc FIFA wprost o zdradę sportowych tradycji mistrzostw świata. Bulwersującą polityką cenową FIFA zainteresowali się nie tylko najwięksi fani piłki nożnej, lecz także prokuratorzy generalni stanów Nowy Jork i New Jersey, którzy w maju wszczęli dochodzenie w sprawie praktyk FIFA związanych z biletami na mistrzostwa świata.

Przedstawiciele FIFA będą musieli odpowiedzieć na pytania dotyczące m.in. oskarżeń o „sztuczne zawyżanie cen" i „wprowadzanie kibiców w błąd" w sprawie sprzedaży biletów na mistrzostwa świata w piłce nożnej 2026. Wśród osób, które poczuły się oszukane, były takie, które uważają, że zostały wprowadzone w błąd przez niejasne mapy stadionów w kwestii lokalizacji kupowanych biletów. O co chodzi? „Na początku sprzedaży biletów plany miejsc FIFA podzieliły stadion na cztery strefy, od kategorii pierwszej do czwartej. Miejsca w kategorii pierwszej były najbardziej pożądane. Jednak po tym, jak kibice zapłacili już za wybrane bilety, FIFA stworzyła nowe strefy, które obejmowały pierwszy rząd w kategorii składającej się z najbardziej pożądanych miejsc" – wyjaśniała w rozmowie z „The Athletic" prokurator generalna stanu New Jersey. Jennifer Davenport nazwała proces dystrybucji biletów „torem pełnym zamieszania, pozorowanego niedoboru i niewiarygodnie wysokich cen". Z kolei przedstawiciel Wydziału Ochrony Konsumentów i Pracowników (DCWP) miasta Nowy Jork Samuel A.A. Levine zapowiadał, że nowojorscy prawnicy „bardzo poważnie traktują zarzuty o postępowanie ewidentnie wprowadzające w błąd" i zbadają zarzuty dotyczące „sztucznego zawyżania cen". Jak 17 lipca poinformował „New York Times", prokurator generalna stanu New Jersey będzie kontynuować dochodzenie w sprawie praktyk FIFA dotyczących sprzedaży biletów po zakończeniu mistrzostw świata.

MUNDIAL WRÓCI DO AMERYKI?

Czy w przyszłości najważniejszym kryterium wyboru miejsca rozegrania mundialu będzie potencjał do maksymalizacji zysków? Przekonamy się wkrótce. Stany Zjednoczone mogą ponownie gościć turniej FIFA już w 2031 r. – USA wspólnie z Meksykiem, Jamajką i Kostaryką ubiegają się bowiem o organizację kobiecych mistrzostw świata. Ta impreza ma być pierwszą w historii kobiecego mundialu, w której udział weźmie 48 drużyn. Amerykanie wraz z Meksykanami, Jamajczykami i Kostarykańczykami mają zaś ogromną szansę na to, że zostaną wybrani. Ich oferta jest bowiem obecnie jedynym rozpatrywanym przez FIFA zgłoszeniem.

Najbliższy dostępny termin mistrzostw świata w piłce nożnej mężczyzn to rok 2038. Rekordowe zyski z tegorocznego mundialu mogą zaś zwiększyć szanse Amerykanów. Donald Trump wyraził już publicznie nadzieję, że mistrzostwa powrócą do Ameryki. Tym razem miałyby być jednak organizowane bez współudziału Kanady i Meksyku. Szwajcar Gianni Infantino – ten sam, który pod presją amerykańskiego prezydenta podjął skandaliczną decyzję o zawieszeniu dyskwalifikacji za czerwoną kartkę Amerykanina Folarina Baloguna – może być wówczas szefem ONZ. Głos Trumpa już ma.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 3d3726ab61



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Luka akcyzy im. PMM i PDT

Jeśli rząd Polski uparł się, że nie chce zbierać żadnych pieniędzy z podatku akcyzowego od papierosów, jeśli chce ich udział w budżecie państwa wyzerować, to potwierdzam, że jest na najlepszej drodze, żeby mu się to udało.

A wkroczył rząd na tę drogę za sprawą premiera Morawieckiego, lecz dopiero dzięki jego następcy i naśladowcy, czyli premierowi Tuskowi, przyspieszył na niej tak, że aż furczy. Aż furczy od forsy z podatków od handlu papierosami (i innymi wyrobami tytoniowymi), która zamiast trafiać do budżetu państwa, przepada w szarej strefie i ląduje w kieszeniach magików z owej szarej strefy, która „w papierosach" znów coraz mocniej się w Polsce rozpycha.

Jeszcze niedawno – wskutek roztropnej polityki akcyzowej – Polsce udało się znacząco ograniczyć udział owej szarej strefy w handlu wyrobami tytoniowymi. Ograniczyć do zaledwie 4–5 proc., co było jednym z najlepszych wyników w UE. Ale to już historia. Wskaźnik udziału szarej strefy w handlu tymi wyrobami od 2024 r. idzie bowiem w górę – szacuje się, że sięga już 8 proc., i będzie szedł w górę coraz szybciej, bo też Polska od tamtej pory szybko porusza się po krzywej Laffera, która dobrze obrazuje, jak bardzo nadmierne podnoszenie podatków prowadzi do spadku dochodów budżetu państwa, sprzyjając rozwojowi szarej strefy.

A rząd postanowił ostatnio mocno docisnąć w tej sprawie pedał gazu. Premier Morawiecki po rozdaniu z budżetu wszystkich pieniędzy, które w nim były, zaczął wciągać Polskę nie tylko w spiralę zadłużenia, lecz także – szukając pieniędzy w kieszeniach podatników – zaczął podnosić akcyzę m.in. na wyroby tytoniowe – wszelako zamierzał ją windować co roku w latach 2023–2027 o 10 proc. Premier Tusk znacznie go jednak przebił i po przejęciu władzy, w 2025 r. podniósł akcyzę na papierosy aż o 25 proc., w 2026 r. – o 20 proc., a w 2027 r. wywinduje ją o kolejne 15 proc.

W tej sytuacji, jak wiadomo – bo krzywa Laffera nie kłamie – oczekiwane dochody budżetu państwa zamiast rosnąć, musiały zacząć spadać. I oczywiście spadają – w 2025 r. były niższe od zakładanych o 4 mld zł. A biznes w szarej strefie kwitnie, o czym świadczy rosnąca liczba zamykanych przez policję nielegalnych fabryk papierosów. A przecież premierzy Morawiecki i Tusk mogli wziąć lekcję u premiera Millera, który za swych rządów oprócz wielu fatalnych decyzji (likwidacja kas chorych, utracenie budowy gazociągu do Norwegii itd.) podjął też kilka dobrych – w tym tę obniżającą akcyzę (co prawda, na alkohol, a nie na tytoń), która szybko poskutkowała ograniczeniem szarej strefy i wzrostem dochodów budżetu Polski. ©℗



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Czas na prawicę (prawdziwą)

Komu pan kibicuje: Kaczyńskiemu czy Morawieckiemu?" – spytał mnie jeden z internautów, nawiązując do tego, co dzieje się w PiS. Piszę ogólnikowo: „tego", bo jedni powiedzą, że to prawdziwa walka tytanów, a inni – mnie jest do tej opinii bliżej – że to nie majestatyczny wątek mitologiczny, ale raczej jedna z komedii Arystofanesa. A może po prostu zbiór prymitywnych skeczy, jak u Benny'ego Hilla.

PiS od lat zajmuje miejsce „głównej partii prawicy", w istocie nie będąc ugrupowaniem prawicowym

Otóż całkiem szczerze: kibicuję obu panom, żeby osiągnęli cel, ku któremu wydają się konsekwentnie dążyć, i utopili PiS. Pewnie nie całkiem, bo partia z takimi zasobami kadrowymi (nie w sensie jakościowym, ale liczbowym) czy finansowymi i z tak dużą strukturą raczej nie skończy działalności w tydzień. Jednak może stracić swoją dominującą w opozycji pozycję. A nawet już ją traci.

PiS bowiem od lat zajmuje miejsce „głównej partii prawicy", w istocie nie będąc ugrupowaniem prawicowym – ani pod względem stosunku do gospodarki, ani do wolności obywatelskich oraz samych obywateli, ani do państwa. Jako partia oparta całkowicie na jednej osobie i jej aktualnych poglądach nie ma zdolności do trwania w dłuższym czasie, a przynajmniej nie w obecnej formie. To, co PiS zrobił dotychczas, zwłaszcza w ciągu dwóch kadencji swoich rządów, można oceniać różnie. Ja oceniam krytycznie. Ważniejsze jednak jest to, że to ugrupowanie w dotychczasowej postaci już się wypaliło. Nie ma odpowiedzi na żaden z istotnych problemów (bo nie jest nią pokrzykiwanie o „OZE-sroze"), nie wypracowało żadnego interesującego programu, a w odpowiedzi na sprzeciw wyborców wobec jego własnej polityki z lat 2015–2023 po prostu włączyło retorykę w niektórych wypadkach całkowicie sprzeczną z tym, co samo wcześniej robiło. Bez śladu refleksji i namysłu nad swoimi poczynaniami.

Państwu już dziękujemy. W Polsce nareszcie nadchodzi czas na normalną prawicę. Tutaj nie zgadzam się z marszałkiem Bosakiem, który napisał na X: „Jeszcze parę tygodni Waszych polemik i »prawica« w Polsce będzie synonimem bandy jałowych, skłóconych i zgorzkniałych zgredów". Otóż nie prawica (nawet w cudzysłowie), tylko PiS. I dobrze. ©℗

eprasa.pl 3d3726ab61



Jacek Pałkiewicz

Unikalny chiński



W kanionach człowiek lepiej rozumie to, co widzi, bo nie patrzy na to z bezpiecznej pozycji obserwatora. Jest wewnątrz. Czuje wilgoć, słyszy wodę, traci orientację w skali. A skala to w podróży sprawa zasadnicza

Nie byłem w Zhangjiajie. Piszę to od razu, bez kokieterii, bo przez całe życie bardziej ceniłem uczciwość reportera niż efektowną pozę człowieka, który rzekomo widział wszystko. Nie widziałem wszystkiego. Nikt nie widział. Nawet po pół wieku włóczęgi po świecie, po pustyniach, dżunglach, rzekach, lodowych pustkowiach i rubieżach cywilizacji zostają na mapie miejsca, które czekają jak wyrzut sumienia. Zhangjiajie, w chińskiej prowincji Hunan, jest dla mnie właśnie takim punktem. Nie odwiedzonym, ale obecnym w wyobraźni. Nie zaliczonym, ale rozpoznanym jako jedno z tych miejsc, które potrafią zakwestionować nasze przyzwyczajenie do krajobrazu.

W podróżowaniu najniebezpieczniejsze jest przekonanie, że świat już nas niczym nie zaskoczy. Słyszałem to wiele razy: wszystko zostało odkryte, sfotografowane, sfilmowane, opisane, sprzedane w pakiecie z hotelem i transferem. Nie zgadzam się z tym. Świat nie skończył się dlatego, że człowiek zaopatrzył go w wi-fi, mapy satelitarne i plastikowe karty wstępu. Skończyła się jedynie nasza cierpliwość do patrzenia. Kto chce, aby ziemia jeszcze go zdumiewała, musi wyjść poza konsumpcję widoków. Musi odzyskać pokorę.

NAJWAŻNIEJSZY JEST PION

Zhangjiajie zdaje się stworzone właśnie po to, by tę pokorę przywracać. Nie są to góry w zwykłym sensie. To raczej kamienny las, armia pionowych filarów, świat odwrócony przeciwko logice poziomej ziemi. Na obszarze Wulingyuan, wpisanym na listę światowego dziedzictwa UNESCO, znajduje się ponad 3 tys. wąskich kolumn i szczytów z piaskowca kwarcytowego, z których wiele przekracza 200 metrów wysokości. Między nimi biegną wąwozy, potoki, wodospady, naturalne mosty i jaskinie. Całość zajmuje ponad 26 tys. ha w północno-zachodnim Hunan.

Pion jest tu najważniejszy. W Europie przywykliśmy do gór jako masywów, grzbietów, ścian, przełęczy. Nawet Alpy, choć potężne, mają logikę wznoszenia. Zhangjiajie wygląda tak, jakby ziemia została rozcięta i pozostawiono tylko jej kamienne żebra. Smukłe iglice wyrastają z zielonych dolin, niektóre nagie, inne porośnięte sosnami, krzewami i mchem. W czasie mgły, która w tej wilgotnej części Chin nie jest kaprysem, lecz częścią krajobrazu, szczyty zdają się odpływać od podstawy. To dlatego współczesna popkultura ochrzciła je krajobrazem „Avatara”. Jeden z filarów, dawniej znany jako Southern Sky Column, został w 2010 r. nazwany Avatar Hallelujah Mountain, po sukcesie filmu Jamesa Camerona.

Mam jednak pewien opór wobec takich etykiet. Rozumiem marketing, rozumiem skrót myślowy, rozumiem potrzebę, by człowiekowi spiesznemu podsunąć znane porównanie. Ale najciekawsze miejsca świata nie są „jak z filmu”. To filmy są czasem jak one. Zhangjiajie nie potrzebuje Pandory, żeby istnieć. Istniało wcześniej, długo przed kinem, turystyką masową i cyfrową gorączką zdjęć. Przez miliony lat woda, wiatr, mróz, roślinność i czas rzeźbiły skałę, aż powstał krajobraz tak osobliwy, że wyobraźnia człowieka musi szukać dla niego protezy w baśni.

Przez lata słyszałem słowo „zdobywać”: zdobywać biegun, zdobywać szczyt, zdobywać pustynię, zdobywać rzekę. Sam nieraz go używałem, bo język eksploracji jest językiem walki. Ale im dłużej podróżuję, tym częściej mam wrażenie, że najważniejszych miejsc nie zdobywa się nigdy. Można je tylko na chwilę otrzymać. Pustynia pozwala przejść, ale nie daje się posiąść. Dżungla pozwala przeniknąć kawałek swojej tajemnicy, ale zaraz ją zamyka. Rzeka pokazuje źródło, lecz nigdy nie oddaje całej prawdy o sobie. Zhangjiajie, choć nie znam go z własnego kroku, wyczuwam jako miejsce tego samego porządku. Tam człowiek nie powinien mówić: „byłem, widziałem”. Powinien raczej powiedzieć: „zostałem na chwilę dopuszczony”.

Jednocześnie nie można udawać, że Zhangjiajie jest ukrytą pustelnią. To słynny obszar, wyposażony w infrastrukturę, odwiedzany przez rzesze turystów, zwłaszcza chińskich. W 1982 r. Zhangjiajie uzyskało status pierwszego narodowego parku leśnego Chin, a Wulingyuan zostało wpisane na listę UNESCO w 1992 r. Dziś są tam kolejki linowe, autobusy, wyznaczone platformy, a także słynna winda Bailong, jedna z najbardziej spektakularnych konstrukcji turystycznych świata, wznosząca ludzi w szklanej kabinie wzdłuż pionowej ściany.

Ten kontrast jest znakiem naszych czasów. Człowiek najpierw odkrywa miejsce, potem je podziwia, następnie

eprasa.pl 3d3726ab61



krajobraz

FOT. SHUTTERSTOCK

organizuje, reguluje, zabezpiecza, sprzedaje, a na końcu narzeka, że utraciło dzikość. Ale czy winien jest krajobraz? Nie. Winny bywa nasz apetyt. Chcemy, by miejsca były jednocześnie pierwotne i wygodne, samotne i dostępne, autentyczne i dobrze oznakowane. Chcemy cudu, ale najlepiej w godzinach otwarcia.

Jedną z tras, o których często wspominają podróżnicy, jest Złoty Potok – Golden Whip Stream. Nie jest to nazwa, którą sam bym wymyślił, brzmi zbyt dekoracyjnie, ale miejsce podobno broni się przed banałem. Ścieżka biegnie dnem kanionu, wśród wysokich ścian i kamiennych wież. To właśnie takie przejścia interesowałyby mnie bardziej niż najbardziej widowiskowe platformy. W kanionach człowiek lepiej rozumie krajobraz, bo nie patrzy na niego z bezpiecznej pozycji obserwatora. Jest wewnątrz. Czuje wilgoć, słyszy wodę, traci orientację w skali. A skala to w podróży sprawa zasadnicza. Ona odbiera nam złudzenie dominacji.

Myślę o Zhangjiajie także przez pryzmat pustyń. Może to dziwne, bo Hunan jest wilgotny, zielony, pełen mgły, zupełnie inny od Gobi, Taklamakanu czy Badain Jaran. A jednak podobieństwo istnieje. Pustynia i kamienny las uczą tego samego: że natura nie musi być przyjazna, aby była wspaniała. Nie musi dostosowywać się do naszych potrzeb estetycznych. W Badain Jaran najbardziej zdumiewający jest paradoks – jeziora pośród olbrzymich wydm. W Zhangjiajie paradoksem jest pionowa lekkość kamienia. Skała, która powinna ciążyć ku ziemi, nagle zdaje się od niej odrywać.

To dlatego sądzę, że Zhangjiajie należy do tych miejsc, które powinny znaleźć się w cyklu „Tam, gdzie świat jeszcze potrafi zdumiewać", mimo że sam tam nie dotarłem. Być może właśnie dlatego piszę o nim z większą ostrożnością. Nie wkładam w ten krajobraz własnego wspomnienia, bo byłoby to nieuczciwe. Mogę jednak włożyć w niego własne doświadczenie podróży. A ono mówi mi, że istnieją miejsca, które nawet z oddalenia stają się sprawdzianem wyobraźni.

SYMBOL NASZYCH CZASÓW

Dziś, kiedy turystyka coraz częściej polega na produkcji dowodów obecności, Zhangjiajie może być także ostrzeżeniem. Bo łatwo zamienić je w tło dla siebie. Stanąć na platformie, odwrócić się plecami do kamiennych filarów i zrobić zdjęcie własnej twarzy na tle cudu. To symbol naszych czasów: człowiek w centrum, świat za nim jako dekoracja. Tymczasem są miejsca, które wymagają odwrócenia tej proporcji. Twarz człowieka jest tam najmniej interesująca. Najważniejsze jest to, co za nią, ponad nią, poza nią.

Nie mam złudzeń: Zhangjiajie nie jest już wyprawą w nieznane. Nie trzeba karawany, tragarzy, zezwoleń od lokalnych wodzów ani odporności na malarię. Można tam dotrzeć samolotem, pociągiem, autobusem, a potem poruszać się po parku z wygodą, o której dawni podróżnicy nie śnili. Ale oryginalność miejsca nie zawsze zależy od trudności dotarcia. Czasem zależy od tego, czy krajobraz zachował zdolność wytrącania nas z rutyny.

Zhangjiajie tę zdolność ma. W świecie pełnym gór przypomina, że góra nie musi być masywem. W świecie pełnym lasów pokazuje las bez drzew, choć drzewa uparcie czepiają się jego kamiennych pni. W świecie przeładowanym obrazami tworzy obraz, który nadal wydaje się niemożliwy. W świecie, który tak chętnie powtarza, że wszystko zostało już odkryte, odpowiada milczeniem 3 tys. skalnych filarów.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego chciałbym kiedyś stanąć w Zhangjiajie. Nie dla zdjęcia. Nie dla kolekcji miejsc. Nawet nie po to, by powiedzieć, że nadrobiłem zaległość. Chciałbym sprawdzić, czy potrafię tam milczeć. To wcale nie jest łatwe. Podróżnik, reporter, eksplorator przez całe życie zbiera słowa. Notuje, porównuje, opisuje, oswaja rzeczywistość językiem. Ale czasem prawdziwa dojrzałość podróżowania polega na tym, by nie spieszyć się z nazwaniem. Pozwolić miejscu istnieć przez chwilę bez naszego komentarza.

Wyobrażam sobie poranek w Zhangjiajie. Mgła wypełnia doliny. Z zieleni wyrastają kamienne kolumny, najpierw niewyraźne, potem coraz bardziej ostre. Gdzieś niżej płynie potok, niewidoczny, ale słyszalny. Na sosnach zatrzymała się wilgoć. Tłum jeszcze nie dotarł albo został za zakrętem. Przez kilka minut świat wygląda tak, jakby dopiero powstawał. Nie ma historii, polityki, pośpiechu, ambicji. Są skała, powietrze, woda i człowiek, który znowu musi nauczyć się patrzeć.

Zhangjiajie wygląda tak, jakby ziemia została rozcięta i pozostawiono tylko jej kamienne żebra. Smukłe iglice wyrastają z zielonych dolin, niektóre nagie, inne porośnięte sosnami, krzewami i mchem

W takich chwilach podróż odzyskuje sens. Nie jako ucieczka od życia, lecz jako powrót do jego właściwej skali. Bo najważniejsze cele podróży nie są tymi, które najłatwiej sprzedać. Są tymi, które potrafią nas skorygować. Pokazać, że nasze problemy, choć dla nas ogromne, są tylko drobnym ruchem w długiej historii Ziemi. Że piękno nie jest luksusem. Jest przypomnieniem. Że człowiek, jeśli chce pozostać człowiekiem, musi od czasu do czasu stanąć wobec czegoś, czego nie wymyślił, nie zaprojektował i nie podporządkował.

Zhangjiajie jest dla mnie takim miejscem. Jeszcze nie przeżytym, ale już ważnym. Świat jeszcze potrafi zdumiewać. Trzeba tylko nie przychodzić do niego z miną właściciela.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest odkrywcą źródeł Amazonki, survivalowym guru. Uczył kosmonautów i jednostki antyterrorystyczne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach.

eprasa.pl 3d3726ab61



JACEK KOMUDA

POCZET POLSKICH WODZÓW

Pierwszy hetman kozacki?



Henryk Sienkiewicz sławił księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, zwanego „Jaremą", magnata z ukrainnej prowincji Rzeczypospolitej. Mało kto wie jednak, że z waleczności słynął już jego dziad, książę Michał Wiśniowiecki, który w 1557 r. przejął starostwa czerkaskie i korsuńskie. Stał się założycielem królewskiej linii książąt Wiśniowieckich, gdyż jego synem był kolejny Michał, który poślubił Rainę Mohylankę. Z tego związku ok. 1612 r. przyszedł na świat wspomniany Jeremi Michał Wiśniowiecki, obrońca Zbaraża, uczestnik bitwy pod Beresteczkiem. A jedynym jego synem był nazwany na cześć dziada i pradziada Michał Korybut Wiśniowiecki, wybrany w 1669 r. na króla Polski.

Michał Korybut Wiśniowiecki zasłynął na polu chwały w roku 1550, kiedy wspólnie z Janem Herburtem i Prokopem Sieniawskim rozgromił Tatarów, którzy wpadli na Ukrainę. Od roku 1560, kiedy został starostą kaniowskim i czerkaskim, stał się kolejnym, po Eustachym Daszkiewiczu i Dymitrze Wiśniowieckim, strażnikiem granicy Wielkiego Księstwa Litewskiego. Kiedy rok później jego krewny, Dymitr „Bajda" Wiśniowiecki, porzucił służbę w Moskwie i wrócił na Litwę, poprosił Michała, aby wstawił się za nim do króla. Starosta sprawił, że krewniak odzyskał łaskę. Gdy jednak Bajda w 1563 r. wyprawił się do Mołdawii, gdzie został pobity, schwytany i wydany Turkom, Michał Wiśniowiecki wyprawiał się wraz z Tatarami na Siewierszczyznę należącą do Moskwy, oblegał zamki w Nowogrodzie Siewierskim i kilku innych miastach moskiewskich. Pochód ograniczył się do spustoszenia dużej części Siewierszczyzny, a Tatarzy jak zwykle zagarnęli kilka tysięcy jasyru.

Z kniaziem Michałem Wiśniowieckim związana była legenda, wedle której miał on stać się pierwszym hetmanem zaporoskim. W rzeczywistości starosta uprosił króla o przywilej, że jeśli przyjmie na służbę i poręczy za zbiegów, kozaków lub hultajów, którzy uciekali na stepy Ukrainy, to zostaną oni uwolnieni od zarzutów, a nawet od oskarżenia o zdradę. Z takich to właśnie awanturników, zbiegłych sług i chłopów formował pierwsze oddziały kozackie, które wykorzystywał w czasie wypraw na Moskwę i Tatarów, a także w zatargach z innymi magnatami.

W roku 1569 Wiśniowiecki został najpierw kasztelanem bracławskim, a wkrótce potem kijowskim. Do największej sławy doszedł za panowania Stefana Batorego, który postanowił zaciągnąć na służbę państwową Kozaków zaporoskich i w roku 1578 odtworzył pierwszy regestr. Porucznikiem tego oddziału został Jan Oryszowski, natomiast zwierzchnikiem regestrowych król mianował Wiśniowieckiego. Wiele lat później na Ukrainie powtarzano, że książę Michał został w ten sposób pierwszym „hetmanem" Kozaków. Jest to jednak tylko legenda, gdyż w dokumencie królewskim powołującym do życia ten oddział stwierdzono wyraźnie, że ma być tylko „starszym" nad Zaporożcami, a każdy ich ataman ma być mu posłuszny. Kasztelan kijowski nie otrzymał zatem żadnego oficjalnego tytułu hetmana, uznanego przez Rzeczpospolitą.

Gdy król Stefan Batory przygotowywał wyprawę mającą na celu odbicie Połocka, kasztelan rozpoczął pertraktacje z Tatarami, aby uzyskać pomoc ordyńców w wojnie z Moskwą. Rokowania zakończyły się sukcesem – orda białogrodzka weszła na ziemie Iwana Groźnego i wspomogła wojska Batorego zajęte obleganiem Połocka. Michał Wiśniowiecki razem z Konstantym Ostrogskim, wsparty oddziałem kozaków, wyprawił się na Siewierszczyznę, obległ Starodub i Czernihów, a jego kozacy uderzyli na Starodub i Poczep.

Gdy skończyła się wojna polsko-moskiewska, Wiśniowiecki omal nie stał się bohaterem niezwykłej historii, w której głównymi postaciami byli bracia chana tatarskiego Mehmeda Gereja – Alp i Seramet (lub według Reinholda Heidensteina: Salome i Plesi). W czerwcu 1581 r. kozacy Wiśniowieckiego pojmali dwóch mężczyzn podających się za braci tatarskiego chana Mehmeda Gereja, którzy udają się do Turcji, aby oddać się pod opiekę sułtana. Wiśniowiecki zauważył, że być może nadarza się sposobność, aby wmieszać się w sprawy wewnętrzne Chanatu Krymskiego. Alp i Seramet przyrzekali, że jeśli Rzeczpospolita udzieli im pomocy, to uznają zwierzchnictwo Batorego, ustaną też najazdy tatarskie.

Król nie skorzystał z tej propozycji, dlatego w marcu 1582 r. odesłał Gerejów do Stambułu, razem z poselstwem Hieronima Filipowskiego. Jednak już rok później bracia uciekli i oddali się pod opiekę... Wiśniowieckiego. Tym razem twierdzili, że wszyscy Tatarzy na Krymie chcą mieć ich za panów, i prosili, by starosta dał im na pomoc zbrojne wojska, a spróbują obalić Mehmeda Gereja. Niestety, Stefan Batory nie był zainteresowany taką akcją, a Wiśniowiecki zmarł w 1584 r., pozostawiając trzech synów – Aleksandra, Michała i Jerzego, a także niezałatwione sprawy z Chanatem. ©℗

eprasa.pl 3d3726ab61

BYD ATTO 2 DM-I



FOT. JAP

To obecnie jeden z najciekawszych kompaktowych chińskich SUV-ów dostępnych na polskim rynku. Na pierwszy rzut oka wśród setek podobnych modeli wyróżniają go m.in. smukłe reflektory LED oraz nowocześnie zaprojektowana tylna listwa świetlna, którą projektanci poprowadzili przez całą szerokość nadwozia. Litery DM-i świadczą zaś o tym, że auto jest wyposażone w inteligentną technologię hybrydową Plug-In ze specjalnie opracowaną wersją akumulatora Blade Battery, który pozwala wyłącznie na prądzie przejechać do 90 km.

Moc układu hybrydowego w testowanym wariancie Boost wynosi 212 KM. Mierzące 4330 mm długości auto pewnie się prowadzi. Przyjemnie tłumi także różne nierówności. Najczęściej jest też ciche niczym samochód elektryczny, choć gdy nagle potrzeba dużej mocy, to słychać, że jedziemy autem hybrydowym (nie ma tu jednak żadnego irytującego wycia). Sprint od 0 do 100 km/h zajmuje 7,5 s. Dzięki hybrydowemu napędowi ten model jest też oszczędny. W cyklu mieszanym na jednym tankowaniu może przejechać nawet 1000 km. Średnie spalanie podczas naszego testu w mieście, na drogach krajowych i autostradach wyniosło 5,6 l/100 km. Nieźle.

W kabinie miejsca na nogi i nad głową jest sporo zarówno z przodu, jak i z tyłu. Wrażenie przestronności potęguje panoramiczny dach. Ekran dotykowy o przekątnej 12,8 cala działa bez zarzutu. Na pochwałę zasługują rewelacyjna rozdzielczość obrazu z kamer 360 stopni podczas parkowania oraz potężna bezprzewodowa ładowarka o mocy 50 W. Dobrze, że na kierownicy i na drzwiach znalazły się wygodne fizyczne przyciski, ale schowanie obsługi świateł w systemie infotainment zakrawa już na sabotaż ze strony projektantów.

Testowany chiński SUV jest też uzbrojony w nowoczesne systemy zwiększające bezpieczeństwo. Przydatnym rozwiązaniem jest opcja uruchomienia klimatyzacji za pomocą aplikacji. Z kolei technologia Vehicle-to-Load (V2L) może być szczególnie przydatna podczas wakacji – pozwala bowiem zmienić auto w duży powerbank i podczas pikniku zasilić ekspres do kawy, konsolę do gier czy inne urządzenia elektryczne (do 3,3 kW). Dobrze też, że na pokładzie znalazły się mapy Google, choć akurat w testowanym przeze mnie egzemplarzu ta funkcja nie chciała działać. Nie zawsze stabilne było też połączenie z Android Auto. Szkoda.

Inne minusy? Na pewno fotele mogłyby być wygodniejsze. Klapę bagażnika trzeba zaś unosić ręcznie. Bagażnik ma 425 l pojemności. Szału nie ma, ale na weekendowy wypad wystarczy. Zwłaszcza że do dyspozycji jest sporo praktycznych schowków. Po złożeniu tylnej kanapy przestrzeń załadunkowa rośnie do 1335 l.

BYD ATTO 2 DM-i w najtańszej wersji (Active) kosztuje 114,8 tys. zł, a w testowanym wariancie Boost 127,6 tys. zł (po dopłacie do koloru Time Grey cena rośnie do 131 tys. zł).

PROJEKTOR EPSON EF-73

Ekstrawaganckie wzornictwo, dobry dźwięk, kompaktowe wymiary, wbudowane Google TV oraz niezła jakość obrazu – to największe zalety eleganckiego projektora japońskiej marki Epson.

Pełna nazwa ważącego zaledwie 3,9 kg urządzenia to Lifestudio Flex Special Lux Edition EF-73. I rzeczywiście wystarczy rzut oka na materiały i kolory – hartowane szkło, zamsz i „złote" akcenty – aby zrozumieć, że to sprzęt klasy premium dla ekstrawaganckiego klienta. Projektor może również odgrywać rolę drogiej lampki nocnej (ma wbudowane oświetlenie ambientowe) oraz bezprzewodowej ładowarki. Podstawa jest regulowana, co umożliwia rzucanie obrazu na ściany, sufit, skosy na poddaszu czy podłogę w czasie letniej imprezy.

Sam obraz – generowany przy użyciu technologii Epson Triple Core Engine, czyli systemu laserowego 3 Liquid Crystal Display – ma rozdzielczość 4K. Rozmiar projekcji waha się od 30 do 150 cali.

Po stronie zalet można wpisać obsługę HDR oraz sprawnie działający system automatycznej kalibracji (ustawianie ostrości działa błyskawicznie). Wbudowany Google TV sprawia, że projektor sprawdzi się nie tylko podczas biznesowych prezentacji, lecz także jako kluczowy element kina domowego (i nie trzeba poświęcać wejścia HDMI na oddzielne urządzenie do streamingu).



Obraz jest niezłej jakości. To zasługa m.in. wysokiego kontrastu, który wynosi aż 5 000 000:1. Kolory wyglądają naturalnie, choć czerń mogłaby być głębsza.

Głośniki Bose wspierane przez technologię Dolby Audio generują na tyle dobry dźwięk, że można obyć się bez zewnętrznego zestawu audio. Z projektora można również korzystać jak z samodzielnego głośnika Bluetooth.

Testowany model obsługuje wi-fi i Miracast. Jest też wyposażony w port USB i w wejście HDMI z eARC – można więc łatwo podłączyć do niego konsolę, laptopa czy odtwarzacz Blu-ray. Laserowe źródło światła powinno posłużyć długi czas (Epson daje gwarancję na pięć lat lub 12 tys. godzin pracy).

Wady? Po pierwsze: brak trybu Dolby Vision. Po drugie: wygląd pilota do tego modelu w żadnej mierze nie odpowiada eleganckiemu wzornictwu samego projektora. Pilot jest zbyt duży i wygląda tak, jakby Japończycy kupili go od handlarza używanym sprzętem RTV. Po trzecie: maksymalna jasność to 1000 lumenów, w słoneczny letni dzień lepiej więc przed seansem zasłonić okna.

Cena: 5999 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 3d3726ab61



SIOSTRY GOTUJĄ

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

Zdrowe i upiększające

Ktoś wyrzucał stare książki, wśród których znalazłyśmy pozycję Ireny Gumowskiej „Czy wiesz, co jesz?". Zabrałyśmy ją, bo wydana w 1989 r. przykuwała uwagę dowcipnymi rysunkami. Poza tym interesowało nas, co w czasach głębokiego kryzysu radzono ludziom jadać.

Rozdziały o strąkach, warzywach i owocach liczą stron sto, a o mięsie trzy – takie to były czasy. Doceniamy jednak dowcip i poetycką frazę autorki, poza tym – jako absolwentka Wydziału Rolnego Uniwersytetu Jagiellońskiego – miała bardzo pogłębioną wiedzę na temat żywności.

We wstępie Gumowska napisała, że w naszym organizmie trwa nieustannie „remont generalny", a efekt odbudowy zależny jest od jakości dostarczanych materiałów, czyli od jedzenia. To ważne, by mieć tego świadomość.

Jesienią podamy przepis na danie z „łzawym owocem jesieni" – jak nazwała cebulę, ale teraz skupmy się na czymś sezonowym, zdrowym i... upiększającym. Ponadto warzywo to Europa Zachodnia poznała dzięki Polakom, stąd jego nazwa w języku niemieckim „Gurke". Tak, chodzi o ogórek, który przywędrował do nas ze starożytnego Iranu przez Bizancjum i Rosję.

W tym roku obchodzimy 455-lecie obecności na polskich stołach ogórka. Jego promotorem był Sebastian Freytag, opat klasztoru cystersów, który w 1571 r. twierdził, że ogórki leczą. Uważano je też za środek kosmetyczny i odchudzający. Ogórki wybielają cerę, wygładzają zmarszczki, łagodzą podrażnienia. Wewnętrznie zaś przyspieszają spalanie tłuszczu i pomagają usuwać nadmiar wody z organizmu. Ogórek jednak niszczy witaminę C, więc nie ma sensu mieszać go w sałatce np. z pomidorem – lubi być sam.

Podajemy za Ireną Gumowską dość nietypowy przepis na ogórki faszerowane. Autorka twierdziła, że są „smaczne i śliczne", a więc sprawdźmy!

Ogórki faszerowane

• 4 duże ogórki • 3 cebule • 25 dag grzybów • 1 jajko • sól, pieprz, łyżka siekanej natki pietruszki

Ogórki obrać i wydrążyć z pestek, które trzeba dodać do farszu. Cebulę pokrojoną w kostkę poddusić na tłuszczu, dodać posiekane grzyby, jajko, sól, pieprz, posiekaną natkę. Z łyżki mąki i tłuszczu zrobić zasmażkę, rozprowadzić rosołem – może być z koncentratu (są takie smaczne w proszku), podbić śmietaną. Wymieszać nadzienie z sosem, napełnić masą ogórki i dusić, aż będą przezroczyste. Podawać posypane pietruszką. ©℗



FOT. ADOBE STOCK



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Gangsta szyk

JOANNA BOJAŃCZYK

Cztery lata temu niejaki Łukasz Żak, pędząc po Trasie Łazienkowskiej 230 km/h, wbił się w inne auto. W wyniku wypadku jedna osoba zginęła, a cztery zostały poważnie ranne. Ci, którzy śledzili tę sprawę, odetchnęli z ulgą. Facet dostał 20 lat z możliwością wyjścia po odsiadce lat 15. Osobiście dałabym dożywocie, ale wiem, że jest to kosztowne dla podatników...

Ten wyjątkowo odrażający drań w sądzie zachowywał się bezczelnie, robił uwagi m.in. na temat znanych marek mody, które zapewne w jego i jego środowisku opinii są wyznacznikiem statusu. Padły nazwy Louis Vuitton i Balenciaga.

Marka Louis Vuitton może ostatnio zanotować wzrost popularności na skutek występów w sądzie. Dopiero co wystąpiła tam w związku ze sprawą skorumpowanej urzędniczki z miasta R., która „przyjęła korzyść majątkową w postaci torebki marki Louis Vuitton o wartości 9300 zł". Owa dama obok torebki zażyczyła sobie również poncza Burberry jako załącznika do rozpatrywanej przez siebie sprawy. Na zdjęciu osoba podejrzana ma zasłonięte oczy, ale można przypuszczać, że była to pani dbająca o prestiż. Nie jestem pewna, czy jest to taki prestiż, o jaki chodzi właścicielom powyższych marek. Jednak pieniądze nade wszystko.

W modzie przedmiot istnieje nie jako taki, ale razem z całą otoczką skojarzeń, która bywa ważniejsza niż sam przedmiot. Złoty łańcuch nie był uważany za coś złego, zanim nie zaczęto kojarzyć go z gangsterami... W torebce z tworzywa nie widziano niczego nadzwyczajnego dopóty, dopóki monogram LV nie zaczął być przedmiotem pożądania...

Louis Vuitton przez kilkadziesiąt lat uważano za markę luksusową, o niewielkim zasięgu. Niepotrzebna była reklama ci, którzy mieli wiedzieć – jak moja paryska ciocia Piri – wiedzieli, i to wystarczało. W latach 70. markę kojarzono z czymś solidnym, trwałym i raczej niemodnym. Takie właśnie były klientki LV, wśród nich Piri, z pochodzenia Węgierka, poślubiona Francuzowi. Do głowy by jej nie przyszło mieć coś modnego, nie takie rejestry.

W latach 80. drobni wytwórcy wyrobów luksusowych, głównie włoscy i francuscy, zostali przechwyceni przez wielkie grupy kapitałowe. Najsłynniejsza z nich to LVMH. Pojawił się agresywny marketing, masowy luksus wydmuchano do kosmicznych cen. To, co było synonimem rzemiosła wysokiej jakości, nagle stało się obiektem „prestiżu". O taki prestiż, jak sądzę, chodziło urzędniczce z miasta R. oraz drogowemu gangsterowi Łukaszowi Żakowi.

Balenciaga już jest niemodna – napisał internauta w komentarzu do sprawy Łukasza Ż. Czyżby Ż. o tym nie wiedział? ©℗

eprasa.pl 3d3726ab61



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O Robin Hoodach Italii

Ponury dramat, który rozegrał się pięć lat temu pod sklepem jubilera Maria Roggera w mieścinie Grinzane Cavour, jest na ustach całej Italii. Siedemdziesięciodwuletni jubiler położył trupem dwóch rabusiów. Sąd w trzeciej, ostatniej instancji właśnie skazał go na 14 lat więzienia, czyli praktycznie na dożywocie. Wyrok podzielił Italię. Jedni (prawica) domagają się ułaskawienia, a drudzy (lewica) uważają, że sprawiedliwości stało się zadość. Wypowiedzieli się już wszyscy: prezydent Mattarella, premier Meloni, ministrowie, autorytety wszelkiej maści, artyści, media, a nawet Elon Musk. Jubiler rozpoczął odsiadkę.

Wszystko nagrały kamery monitoringu. Bandyci zaparkowali skradzione auto niemal pod sklepem. Jeden został w samochodzie, a dwóch weszło do środka. Sterroryzowali nożem i pistoletem żonę i córkę Roggera, skrępowali kobiety i zmusili jubilera do otwarcia sejfu. Zapakowali łup i pobiegli do auta. Roggero wyjął z szuflady rewolwer i ruszył w pogoń. Dwóch zastrzelił kilkanaście metrów od sklepu, a trzeciego zranił. Rannego kopał w głowę. Chciał go dobić, ale skończyły się naboje.

Naturalnie można tłumaczyć, że jubiler był w amoku. Na jego oczach jeden z rabusiów przyłożył pistolet do skroni jego żony. Poza tym już wcześniej padł ofiarą bandytów, którzy go obrabowali i dotkliwie pobili, nie bacząc na obecność córki.

Można też wskazać, że chciał odzyskać swoją zrabowaną własność. Ale w świetle prawa każdego demokratycznego kraju jubiler przekroczył granicę obrony koniecznej. Oczywiście można się zżymać, że w pewnym sensie prawo chroni bandytów. Swary trwają. Wicepremier Salvini i minister sprawiedliwości domagają się od prezydenta ułaskawienia. Premier Meloni oburza się, że Roggero musi teraz zapłacić rodzinom zastrzelonych bandytów, w sumie 15 osobom, które wytoczyły mu osobny proces, ponad 800 tys. euro odszkodowania. Bandyci byli jedynymi żywicielami swoich rodzin. Meloni argumentuje, że najpierw jubilera obrabowali bandyci, a teraz, w majestacie prawa, sąd. Wskazała przy tym, że rabusie wybrali sobie zawód obciążony sporym ryzykiem i sami sobie są winni.

W imieniu artystów wypowiedział się bardzo znany i popularny piosenkarz Morgan: „Jubiler robił swoje interesy i myślał tylko o zysku. W dodatku jest mordercą. Złodzieje kradli, by nakarmić swoje dzieci, bo nie umieją robić interesów. Robin Hood rabował bogaczy, by rozdać łupy biednym. Został bohaterem. Niech żyje Robin Hood!”.

Cóż, zideologizowana głupota nie śpi nigdy. Ciekawy jestem, co by Morgan mówił, gdyby to jego obrabowali. Jest multimilionerem. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Korwin-Mikke wraca

Kiedyś, dawno, dawno temu, mogliśmy być świadkami malowniczego boju samotnego posła Janusza Korwin-Mikkego walczącego w Sejmie z głosowanym wtedy nakazem zapinania pasów w samochodzie. Właściwie traktowano to jako półśmieszne widowisko – ot, skrupulatny liberał walczy o drobniutkie wolności. Co prawda, padały tam, głównie ze strony pana Korwin-Mikkego, argumenty mocno wolnościowe, typu: że jak chcę się zabić, to nikomu nic do tego, ale wyglądało to egzotycznie, ot, taka walka z wiatrakami.

Jednak pojawiające się zawsze u Korwin-Mikkego argumenty, że trzeba się pilnować przez cały czas, gdyż nasze wolności są odkrawane plasterkami, jak w salami, były zbijane, że to przecież nic takiego, pasy jakieś, w sumie to dobrze, bo ludzie nie będą ginęli itd. Jednak argument salami wraca, jak zwykle – albo dla dobra ludzkości, albo dla jej wygody. Otóż prawem europejskim (a jakże!) od 7 lipca 2024 r. każdy sprzedawany w Unii samochód musi być wyposażony w system ISA, czyli inteligentnego asystenta prędkości. Asystent ten wyłapuje z satelity dozwoloną prędkość na danej drodze i zestawia ją z prędkością pojazdu. I tu się zaczyna – raz, że zestawia, dwa – co z tym robi. W lżejszych przypadkach decyzję, co dalej, podejmuje kierowca. W pośrednich formach pojawia się lekki opór na pedale gazu, w cięższych – zmniejsza się dopływ paliwa do silnika i auto zwalnia. Wszystkie te zabezpieczenia można jednak przełamać – wszystko kasuje kierowca, jeśli tylko doda gazu.

Jednak coraz częściej mówi się, choć oficjalne źródła zaprzeczają, o rozbudowie tego systemu w format ISA2, czyli że cały system nie pozostawi żadnego wyboru kierowcy. Po prostu będzie się jechało, nie ile fabryka dała, ale tyle, na ile pozwoli automat. Już wymieniane są przypadki, kiedy te limity prędkości są odczytywane przez komputer kompletnie mylnie w jedną, spowalniającą stronę.

Ale nie to jest najważniejsze – stracimy coś więcej niż wolność niezapinania się w pasy. Staniemy się bezwolnymi pasażerami własnych samochodów jako taksówek wożących z miejsca A do B, zwłaszcza przy postępie autonomizacji samochodów i pochodu ideologii wiecznego pożyczania rzeczy, by uciec w schwabowskie szczęście nic-nie-mania.

Następne pokolenia nie będą już rozumiały staruchów z tymi swoimi pasjami do jeżdżenia, przyjemności z jazdy, niekoniecznie z przekraczającą limity prędkością. Dla wmuszanej nam wygody stracimy kolejną frajdę, pogrążając się w nudę lenistwa. Będziemy, jak ci ludzie ze statku w filmie „WALL-E” – jak bezwolne balerony, odczłowieczeni brakiem ryzyka. I miał rację Korwin-Mikke – odkrawają nas jak salami. ©℗

eprasa.pl 3d3726ab61



SPODE ŁBA

Walizka Jarosława Sellina

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Ciekawy artykuł opublikował niedawno portal internetowy Krytyka Polityczna. Nosi on nagłówek „Izraelskie lobby w Polsce i politycy, którzy mu służą” i napisany został przez Pawła Jędrala. Prowadzenie, przez różne państwa, lobbingu wśród elit politycznych i gospodarczych innych krajów wydaje się działalnością oczywistą. Zwłaszcza w ostatnim czasie wiele się w świecie pisze o „lobby izraelskim” w USA, którego działalność

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



i wpływy potwierdzane są przez najważniejszych amerykańskich polityków i uczonych. Trudno znaleźć powody, by lobby tego rodzaju, istniejące w Ameryce, Wielkiej Brytanii i innych krajach europejskich, nie zaistniało ani nie próbowało działać też w Polsce. Z tajemniczych powodów temat ten nie interesował dotychczas ani dziennikarzy mediów „głównego nurtu”, ani polskich politologów i badaczy akademickich. Krytyka Polityczna jest tu wyjątkiem.

Artykuł opisuje działalność fundacji ELNET CEE, będącej częścią międzynarodowej sieci pracującej dla budowania relacji pomiędzy Izraelem a państwami europejskimi. Choć strona polskiego ELNET-u została właśnie „w celu przebudowy” zamknięta, to jego działalność jest ciekawa. Nie ogranicza się ona do kwietniowego rozdawania żonkili. Ostatnia współorganizowana przez ELNET w Polsce konferencja (Next Tech Warsaw 2026) odbyła się w maju roku 2026. Poświęcona była zaawansowanym technologiom wojskowym, zastosowaniom AI w walce i działalności wywiadowczej, a także dronom. Uczestniczyło w niej kilku izraelskich generałów, wymienionych w programie konferencji, wielu wysokich „menedżerów” izraelskich firm zbrojeniowych, a także liczne osoby podpisane w programie tajemniczymi tytułami jak: „Yigal Unna, Former Director General, Israel National Cyber Directorate (INCD), Israel” lub „Sariel Moshe, Chief Intelligence Officer, Albatross, Israel”. W konferencji wziął też udział ambasador Izraela w Polsce.

Ta właśnie firma ELNET od lat organizuje polskim parlamentarzystom „wyjazdy studyjne” do Izraela oraz spotkania z tamtejszymi politykami i przedstawicielami biznesu. W ostatnim takim wyjeździe, w marcu roku 2025, udział wzięli posłowie Klaudia Jachira, Katarzyna Piekarska, Jan Krzysztof Ardanowski, Alicja Łepkowska-Gołaś, Anna Maria Żukowska oraz Jarosław Sellin. Przedmiotem wymiany doświadczeń były, jak to ogólnikowo określono, „zagadnienia obrony cywilnej”.

Jak ogłosiło w lipcu roku 2024 prestiżowe brytyjskie pismo „Lancet”, liczba zabitych cywili, głównie kobiet i dzieci, wynosić miała w Gazie 186 tys. Byłoby to, według przedstawionych przez „Lancet” analiz, ok. 8 proc. populacji Gazy sprzed wojny. Znacząca, w powyższym kontekście, jest obecność na poświęconym „obronie cywilnej” wyjeździe posła Jarosława Sellina. Politykowi temu, jednemu z inicjatorów i gorących orędowników powstania Muzeum Getta Warszawskiego, pojęcie ludobójstwa musiało się chyba czasem otrzeć o uszy.

O ile nie wiadomo, z jakim bagażem ruszali do Izraela inni posłowie, o tyle wiemy, co zwykł zabierać w drogę poseł Sellin, W drukowanej na łamach „Sieci” rubryce „Walizka” w roku 2022 Jarosław Sellin tak opisał zawartość swojego bagażu podróżnego: „MISTRZOWIE DUCHOWI. Lubię kontemplować dzieła moich pięciu mistrzów duchowych z ostatnich 2000 lat, a są nimi (w kolejności chronologicznej): Augustyn, Tomasz à Kempis, John Henry Newman, Faustyna Kowalska i Josemaria Escriva de Belaguer”. Odwiedzając Izrael z walizką wypakowaną tomami św. Augustyna i „Dzienniczkiem” s. Faustyny, poseł niósł też inne źródła pociechy duchowej. „Mam osiem różnych tłumaczeń polskich i dwa tłumaczenia angielskie. Zawsze każdego roku decyduję, do którego tłumaczenia będę zaglądał, i taką Biblię biorę”. Poseł zabiera też ze sobą w podróże pracę doktorską „Żydzi i judaizm w doświadczeniu Karola Wojtyły”. „W przyszłości będę zabierał książkę, by wręczać ją zainteresowanym” – zapewniał Jarosław Sellin czytelników „Sieci”. Dla zajętych popełnianiem ludobójstwa gospodarzy lektura jak znalazł. ©℗

eprasa.pl 3d3726ab61



KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Do tej samej rzeki

W niezwykle istotnych z polskiego punktu widzenia objawieniach gietrzwałdzkich jedną z głównych ról odegrał proboszcz pozostającej wówczas pod zaborem pruskim warmijskiej wsi – Augustyn Weichsel. Jego nazwisko oznacza tyle co… „Wisła".

Doprawdy nadzwyczajny to zbieg okoliczności – oto Matka Boża przemawia do Polaków po polsku, a z niemieckimi władzami wadzi się niemiecki ksiądz noszący to samo nazwisko, co królowa polskich rzek. Jednocześnie niemiecka propaganda próbowała odebrać Wiśle jej polskie znaczenie i przedstawić ją jako „królową germańskich rzek", dowód odwiecznej obecności Niemców na Wschodzie. Uregulowany nurt, wały, mosty i porty ukazywano jako dzieło pruskiego ładu, a zarazem argument na rzecz prawa do ziem, przez które rzeka płynęła.

Z niemieckiej propagandy pozostało niewiele, od czasu do czasu dziś z Niemcami dzieli nas jakiś propagandowy konflikt o inną rzekę – Odrę – którą to ponoć Polacy traktują niedobrze, a Niemcy wspaniale (jak widać, taka narracja to nic nowego pod słońcem). Ale nie o Odrze i nie o Niemcach chcę tu pisać. Tylko o Wiśle właśnie.

Mieszkam w Krakowie, pracuję tuż obok niej. Nierzadko, przyglądając się Wiśle, rozmyślam, dokąd płynie i co ze sobą niesie. Pierwszego dnia sierpnia wpatruję się w rzekę szczególnie intensywnie, dumając, co widziała na wysokości Warszawy dekady temu.

Wiem, że widziała płonące miasto, gdy niebo czerwieniało, a w jej tafli drżały odbicia pożarów. Opadały na nią dym i popiół Woli. Widziała sowieckie czołgi stojące na drugim jej brzegu i słyszała drwiące docinki ruskich żołdaków. Czuła, jak zanurza się w niej stal kolejnego wysadzonego w powietrze mostu.

Muskała po opuszkach palców żołnierzy uwięzionych w kanale, pragnących rzucić się w jej wody, ale nie potrafiących sforsować żelaznych krat. Jej krople przygarniały i wtulały w siebie łzy zrozpaczonych powstańców.

Nadzwyczajny to zbieg okoliczności – oto Matka Boża przemawia do Polaków po polsku, a z niemieckimi władzami wadzi się niemiecki ksiądz noszący to samo nazwisko, co królowa polskich rzek

Niosła fotografie, deski, kartki, meble, siatki, obrazy i inne fragmenty świata, który przestawał istnieć. Nie raz i nie dwa unosiła również ciało żyjące jeszcze ledwie kilka godzin wcześniej.

Niosła też łodzie, pontony i mokrych, umęczonych, zakrwawionych, zdesperowanych ludzi próbujących nocą przedostać się do walczącego miasta z pomocą lub wydostać się z tegoż miasta na wschodni brzeg. Niosła ich rozpacz i nadzieję, ich ból i determinację.

Chłonęła przy tym i nie oddała już innych. Tych, którym przeprawić się nie udało.

A potem płynęła dalej, gdy pośród przygnębiającej kapitulacji stolicy zmienionej w cmentarz słychać było wyłącznie szept jej wód. Pragnęła napoić umarłe miasto, którego drewniane początki doskonale pamiętała. Pamiętała, jak przeniósł się tam król, porzuciwszy miejsce, w którym przed wiekami w jej nurt skakała Wanda, gdzie mocniej niż gdziekolwiek w jej tafli odbijał się dźwięk potężnego dzwonu, gdzie pijały ją konie Tatarów. Król wyjechał, ale ona wciąż płynęła przez starą stolicę i widziała odbudowę nowej, wysiłek kolejnych przybywających pokoleń.

I płynie nadal, mijając inne miejsca. Wspominając, i pewnie za nic mając, przemarsze kolejnych wojsk podczas kolejnych wojen, złoty wiek i wiek wielkiej smuty, dwory, twierdze, spichlerze, zamki, katedry, synagogi, Krzyżaków, Prusaków, bolszewików, Rosjan, Austriaków, Szwedów, nazistów, komunistów. Chłopów, arystokratów, królewiczów, królowe i królów, mieszczan, kupców, księży, rabinów, zakonnice.

Pamięta dzieci bawiące się na brzegu. Zakochanych spotykających się pod wierzbami. Wesela, jarmarki, odpusty i wianki.

Pamięta, gdzie stanął pierwszy most, który połączył oba jej brzegi, dotąd patrzące na siebie z oddali. Pamięta cieśli wbijających pale w dno, liny naprężone nad nurtem. I ludzi po raz pierwszy przechodzących nad nią suchą stopą.

Bywała drogą handlu, drogą ucieczki, schronieniem i grobem. Bywała też granicą, ale nie znała granic. Płynęła obojętna wobec linii przesuwanych na mapach, choć i ją przecież gdzieniegdzie przesuwano.

I płynie nadal. A każde dziecko wie, że dopóki płynie, dopóty Polska nie zaginie. ©℗

eprasa.pl 3d3726ab61

KUMPEL



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOŚNICKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Aktualne stosunki USA – Izrael w odbiorze białych Amerykanów wyglądają tak: wyobraźmy sobie, że masz dobrego kumpla, współpracujecie od lat i od niedawna zacząłeś się dowiadywać, że ten kumpel robił ci przez te wszystkie lata różne świństwa. O niektórych świństwach nawet coś tam słyszałeś, ludzie ci mówili, ale uważałeś, że są do kumpla źle nastawieni i nie chciałeś im wierzyć. A teraz okazuje się, że tamte „teorie spiskowe" to jednak była prawda. Kumpel nawet sam przyznaje, że owszem, kiedyś dawno, wiesz, było coś takiego, ale to stare dzieje, nie ma po co do tego wracać. Gada z tobą, jakby nic się nie stało. Traktuje cię tak, jakbyś ty się z nim musiał przyjaźnić bez względu na wszystko.

W takiej sytuacji nabierasz naturalnej niechęci do tego kolegi. Masz prawo do złości. Może się pojawić nienawiść. Niechęć, złość, nienawiść to uczucia, a nad uczuciami człowiek nie panuje. Panować jesteśmy w stanie nad naszymi czynami, które z tych uczuć wynikają. Ktoś cię wnerwił i możesz go strzelić w pysk lub możesz się opanować i wyjść. Miłość to też uczucie i nad nim nie panujesz. Zakochałeś się w koleżance z pracy – możesz ją klepać po tyłku i zaglądać w dekolt lub możesz nad sobą panować. Nad czynami panujesz – nad uczuciami nie.

Dlatego karanie ludzi za antysemityzm jest niesprawiedliwe. Bo antysemityzm to uczucie. Za CZYNY, które wynikają z antysemityzmu, proszę bardzo – ktoś wybija szyby, bo nienawidzi Żyda, i urządził Kryształową Noc – za wybijanie szyb pod wpływem nienawiści karać należy, ale za samą nienawiść uważam, że nie. Nad uczuciami nie mamy władzy.

***

W ciągu ostatniego roku w USA nastąpiła eksplozja antysemityzmu. Tylko od razu trzeba objaśnić, o który antysemityzm chodzi, bo są dwa. Jeden jest uczuciowy, a drugi racjonalny. Uczuciowy to taki, gdy odczuwamy niechęć, ale nie wiemy, skąd się ona bierze. Uczucie i tyle. A że nieładne, to odrębna sprawa. Ktoś inny się zakochał i też nie wie dlaczego, a skoro tak, to ja mam prawo nie lubić i nie muszę znać powodu.

Antysemityzm racjonalny, czyli ten, który właśnie wystrzelił pod niebo w USA, ma uzasadnienie w faktach. Amerykanie dowiedzieli się całej masy nieprzyjemnych rzeczy o tym kumplu, z którym współpracowali od lat. Dowiedzieli się o serii świństw, które ten kumpel robił Ameryce, i z powodu tej wiedzy, z powodu FAKTÓW, odczuwają niechęć uzasadnioną rozumowo, czyli racjonalną.

***

Warto jeszcze wiedzieć, czego dotyczy antysemityzm – bo jest różnica między niechęcią do osób, ludzi, do rasy, a niechęcią do Państwa Izrael. To są dwie różne rzeczy! Kto je myli lub miesza, głupio robi. W tej chwili w USA nastąpiła eksplozja antysemityzmu polegającego na niechęci do Państwa Izrael, a nie do ludzi czy rasy. Mamy do czynienia z niechęcią ZDROWĄ – wynikającą z konkretnych zachowań Państwa Izrael szkodliwych dla Ameryki i Amerykanów.

Antysemitą niezdrowym był np. Obama. Murzyni w USA tradycyjnie nie lubią Żydów. I jest im obojętne, czy dany Żyd to obywatel Państwa Izrael czy nie oraz czy jest żydem religijnym wyznania mojżeszowego czy kim tam. Murzyni w USA nie lubią Żydów tak po prostu. Antysemitami niezdrowymi są też muzułmanie – nie potrzebują żadnych faktów ani uzasadnień – nienawidzą Żydów od zawsze. A za co ich nienawidzą? Za wszystko. Za nic. Nie wiem. Po prostu nienawidzą – na takiej samej zasadzie jak zakochany, który kocha za wszystko, i nie wie za co konkretnie.

***

Można wszystkie te odmiany antysemityzmu wsypać do jednego wora, no ale to byłoby głupie. Czym innym jest irracjonalna niechęć do sąsiada, a czym innym wybuch antysemityzmu w USA polegający na otwartej niechęci do Państwa Izrael, w sytuacji gdy Amerykanie dowiedzieli się, co Izrael od lat robił Ameryce.

Jedną z obietnic wyborczych Trumpa było odtajnienie akt zamachu na prezydenta J.F. Kennedy'ego. Trump odtajnił bardzo niewiele, bo cała reszta była ujawniona już wcześniej. Zaczernione pozostawały tylko drobne fragmenty. Jakie? Zamach organizowały amerykańskie służby – CIA z towarzyszami – a pomocy udzielał sojusznik: służby izraelskie. Amerykanie dowiedzieli się, że służby izraelskie pomagały w zastrzeleniu amerykańskiego prezydenta.

Kilka miesięcy później odtajniono akta Epsteina. I tam też można znaleźć całą masę informacji o współpracy z Izraelem. Epstein prowadził operację, której celem był szantaż. Dostarczał bogaczom i politykom nieletnie panienki, potem dzieci, potem niemowlęta i zaczynało się od zboczonego seksu, a kończyło na rytualnych gwałtach, mordach i zjadaniu noworodków. To nie jest teoria spiskowa – akta ujawniono i można je czytać na amerykańskich stronach rządowych. W tych aktach są informacje na temat powiązań Epsteina z Izraelem. Izrael zbierał haki na polityków w USA. I to ma być kumpel?

A teraz Izrael wciągnął Amerykę w beznadziejną wojnę z Iranem. I w tym momencie pod niebo wystrzelił w USA antysemityzm. Ten racjonalny, uzasadniony faktami. Izrael od dziesięcioleci robił Ameryce świństwa, doił z USA pieniądze, uzależniał polityków ze wszystkich partii, finansując ich kampanie wyborcze itp., itd.

Biali ludzie w USA niby o tym wszystkim wiedzieli, no ale Izrael to był sojusznik, więc jakoś tak wiedzieli, a jednocześnie starali się o tym nie myśleć. Teraz myślą, rozmawiają, wnerwili się, wywieszają w sieci kolejne fakty. Zadają pytania, jak to właściwie możliwe, że ktoś ma paszport izraelski i zasiada w amerykańskim Kongresie. Itd.

Ta najnowsza fala antysemityzmu to nie to samo, co wszystkie wcześniejsze. Tamte to była nieuzasadniona niechęć do wszystkich Żydów jak leci. A teraz to jest uzasadniona, oparta na faktach niechęć do tego, co Izrael zrobił Ameryce. ©℗

eprasa.pl 3d3726ab61

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PAWEŁ LISICKI:
„KREW NA NASZYCH RĘKACH?"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1363 ZŁ~~

548,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 815 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

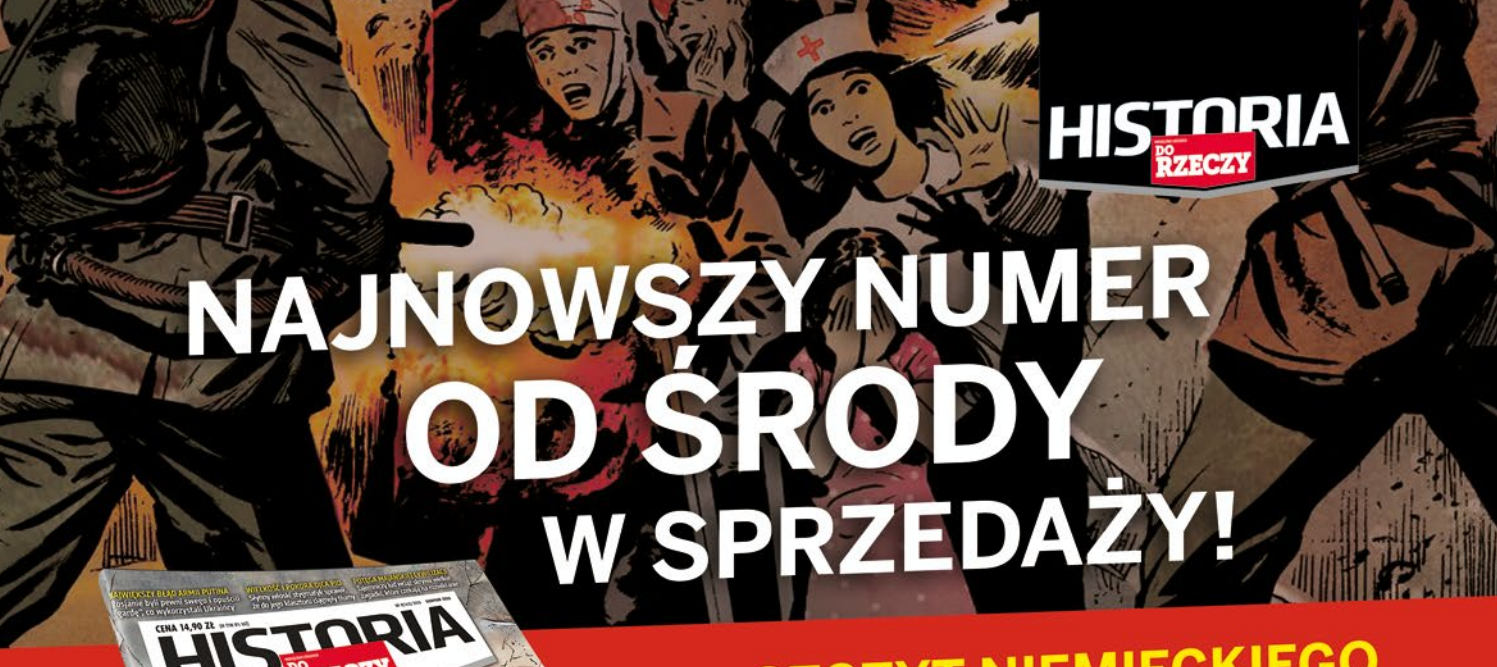
CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 3d3726ab61



NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



SZCZYT NIEMIECKIEGO BESTIALSTWA: MASAKRY POWSTAŃCZYCH SZPITALI

Czerwony krzyż w ogniu – W trakcie powstania warszawskiego Niemcy i ich kolaboranci bezlitośnie mordowali polskich chorych, rannych i personel medyczny

Majańska tajemnica – Badacze wciąż głowią się nad rozwikłaniem wielu zagadek tego niezwykłego ludu

Stygmaty o. Pio – Cuda dziejące się wokół tego świętego zakonnika ściągały do San Giovanni Rotondo tłumy pielgrzymów

Największy błąd Putina – Rosyjska armia była pewna swego. Ukraińcy byli jednak w stanie wykorzystać to, że wróg „opuścił gardę"

UPA i Żydzi – Ukraińscy nacjonaliści pomagali Niemcom w mordowaniu Żydów, wykazując się przy tym dużą inicjatywą

Polak, który pokonał Bank Francji – Banknoty podrobione przez Czesława Bojarskiego uznawane są dziś za dzieła sztuki. Na aukcjach numizmatycznych osiągają ceny wyższe od oryginałów

Ucięta „prawa ręka" Stalina – Malenkow wydawał się murowanym następcą generalissimusa. Brakowało mu jednak talentów politycznych, którymi wykazywał się jego rywal – Chruszczow

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 3d3726ab61